

ANTOLOGIA

SPOTKANIE W PRZESTWORZACH

TOM - 5

Spis treści

Epidemia 3

Prolog 3

Rozdział I 6

Rozdział II 10

Rozdział III 15

Rozdział IV 21

Rozdział V 24

Rozdział VI 29

Rozdział VII 31

Rozdział VIII 36

Rozdział IX 38

Rozdział X 40

Rozdział XI 44

Rozdział XII 47

Rozdział XIII 51

Rozdział XIV 55

Rozdział XV 56

Rozdział XVI 60

Epilog 65

Punkt osobliwy 68

Agent 76

Cosmopol 91

Imponderabilia 108

Opowiedz mi o spadających gwiazdach 118

Opowiem ci jak to było... 127

Tester 128

Nie czytaj przed snem 140

Epidemia

Prolog

Jałowe, sprażone słońcem pustkowie. Spokój. W cieniu baraków siedzą rzędem ludzie. Jedyne złożone w kostki białe kombinezony z maskami nie pasują do sceny. Na pobliskim płaskowyżu stoją, tnąc niebo kratownicami wieże szybów wiertniczych. Słońce. W przeżarte skwarem powietrze wdziera się jęk sześciocyndrowych silników i chrzęst ciężko pracujących opon. Dwa wozy transportowe w asyście łaźników pożerają metr za metrem piaszczystą drogę. Ludzie flegmatycznie ustawiają się w szereg. Na spotkanie przybyłych wyszedł niski człowiek w okularach. Po nagiej skórze głowy spływają mu systematycznie kropelki potu. Zanim wyciągnie rękę, jeszcze co najmniej trzykrotnie przetrze czoło wierzchem dłoni.

- Stoken, inżynier Stoken - przedstawia się.

- Sierżant Moient - odpowiada wysoki blondyn. - Przywieźliśmy ładunki.

Z uwagą ogląda podaną mu kartę identyfikacyjną. Przechodzą na tył transportera. Wojskowy, niby przypadkiem zasłania sobą zamek szyfrowy umieszczony na drzwiach. Po chwili stają otworem. Stoken łapczywie zerka do środka. W mroku, zablokowany amortyzatorami leży długi, srebrzyście lśniący walec.

- Dziesięć kiloton - szepcze do siebie.

Sierżant kiwa głową.

- W drugim jest to samo, ale wybaczy pan dodaje zamykając wóz - musimy poczekać na pułkownika.

Stoken jest zbyt zmęczony upałem, aby zaprotestować.

- Wicedyrektor Colins prosił, aby przekazać panu, że przybędzie razem z pułkownikiem Patonem.

Mają przylecieć - zerka na zegarek - ...za około godzinę.

- Tak - mruży Stoken zgryźliwie. - My musimy smażyć się na słońcu, a oni pewnie jeszcze do tej pory siedzą przy pełnej klimatyzacji.

Sierżant robi krok do tyłu, jakby szukał pewniejszego oparcia dla nóg.

- Pan Colins z pułkownikiem Patonem znają się już od ponad trzydziestu lat.

Stoken wzrusza ramionami.

- Czy wszystko jest przygotowane? - sierżant nie daje zapomnieć o sobie.

- Od trzech dni - ostatnie słowo zaakcentował bynajmniej nie przypadkiem. - Może byśmy zaczęli?

Sierżant pokręcił głową.

- Niestety. Nie mam uprawnień. Miałem się tylko upewnić, że wszystko jest w porządku.

- Jasne - Stoken przygarbił się i pomaszerował w stronę baraków.

Boi się, że któryś z robotników dobierze się do jego lodówki, jedyne pocieszenia w tym skwarze. Sierżant z tyłu krótkimi komendami instruuje żołnierzy.

* * *

Trzy helikoptery wyskoczyły znad wydm wzbijając tumany piasku. Gdy zamarły silniki, dało się zauważyć dwóch mężczyzn szczególnie darzonych szacunkiem przez resztę.

- Jak tam panie Stoken, doczekał się pan swojej bomby? - powiedział Colins, gdy już zbliżyli się do baraków.

- Dzięki Bogu, bo w tej prowizorce ledwie można mieszkać.

Colins roześmiał się.

- Sam pan wie, że pieniądze rzecz święta. Nie można było tu postawić całego zaplecza, bo w końcu podziemny wybuch jądrowy to nie przelewki. Jak rąbnie, to niejednemu jaja może urwać.

Stoken machnął ręką.

- Zdążymy dzisiaj odpalić?

- Musimy. Mam wieczorem miłe spotkanie - Colins uśmiechnął się obleśnie. - Mówię ci kochany, życie jest piękne.

Zawyły transportery. W samą porę dla Stokena, który miał fatalną w skutkach dla siebie odpowiedź już na końcu języka. Zbliżył się pułkownik.

- Wysłałem chłopców, aby zakładali ładunki i muszę pana pochwalić, panie Stoken. Szyby odwiercone są na medal. Będzie miał pan tyle ropy, aż sam pan się zdziwi.

- Mam nadzieję - odparł ostrożnie, maskując rozdrażnienie. - Ta cholerna skała jest tak mało przepuszczalna.

- Niech pan się nie martwi. Wybuch skruszy ją w całej okolicy. Detonujemy na kilometrze, jak było uzgodnione.

- Jasne, moi panowie - Colins poklepał ich po plecach. - Nie możemy pozwolić, aby całowanie rączek panom z rządu poszło na marne. Chodźmy do helikoptera. Zupełnie przypadkiem mam tam całą butelkę „Martini”.

Chyba obydwaj spodziewali się tego, gdyż bez słowa ruszyli za Colinsem,

* * *

- Panie pułkowniku, wszystko gotowe.

Szeregowiec najwyraźniej był przejęty całą operacją, gdy meldował z przepisowo wyciągniętymi wzdłuż szwów rękoma.

- Dobrze - pułkownik spojrzął na zegarek. - Za piętnaście minut uzbrowimy ładunki. Sygnał czerwona flara. Pięć minut później odpalamy. Sprawdźcie tylko zaczopowanie szybów.

Szeregowiec krzyknął, że rozumie i wskoczył do łoża. Siedzieli w okopie, za wysokim murem mającym zmienić kierunek ewentualnego podmuchu. Jak sądził Stoken, było to grubą przesadą. Przy sprawnie przeprowadzonym wybuchu podziemnym ani gram gazu radioaktywnego nie ma prawa wydostać się na powierzchnię. W kącie, lekko wstawiony siedział Colino i coś klarował nie wiadomo przez kogo zostawionej łopacie. Ledwo pozwolił wciągnąć na siebie pajacowaty, jak nazwał, płaszcz ochronny.

- Jesteśmy dwa kilometry od epicentrum? - spytał pułkownik, szeleszcząc peleryną przy każdym ruchu.

- Tak jak pan kazał - Stoken spojrzął z ukosa.

Pułkownik uśmiechnął się przepaszająco.

- Sam nie wiem dlaczego pytam. Może rutyna?

Zapisał sygnał.

- Słucham? - rzucił do radiotelefonu.

Chyba ten sam żołnierz co poprzednio skrzeczał przez głośnik. Znudzony czekaniem Stoken wdrapał się metr nad ziemię i wyrzwał ponad mur. Nikogo nie było widać. Po bokach, w bliźniaczo podobnych okopach siedzieli robotnicy i reszta żołnierzy. Na szczęście, za sprawą wiatru idącego od oceanu zrobiło się chłodniej. Zerknął w bok, na słońce. O ile się nie mylił, najpóźniej za dwie godziny zapadnie zmrok. Trochę żałował wieży stojącej najbliżej miejsca eksploatacji. Nie sądził, aby miała wytrzymać wstrząs. Jej to zawdzięczał wiedzę o nafcie schowanej pod tym przeklętym pancerzem litej skały. Ktoś pociągnął go za skraj peleryny. Był to pułkownik.

- Proszę zejść. Uzbrajamy ładunki.

Zeskoczył w tym samym momencie, gdy ciśnięto w górę pęk kolorowych świateł. Odruchowo wciągnął głowę w ramiona. Od tej chwili nikt nie miał prawa wyjść poza zabezpieczenia. Colins na szczęście usnął. Z pewnością obudzi się, gdy będzie po wszystkim. Wciągnęli mu maskę na twarz, o sobie też nie upominając. W powietrze wyleciała kolejna raca. Ta detonowała z głośnym hukiem. Miał on obwieścić, że każdy powinien teraz przyjąć jak najbezpieczniejszą dla siebie pozycję, gdyż pod ziemią rozpocznie się piekło.

To było piekło. Energia wybuchu spowodowała momentalne wyparowanie ładunków i przylegającej do nich skały. Fantastyczne ilości gazu topiły, rozkruszały i odparowywały otaczający ośrodek, powodując serię fal sejsmicznych o gwałtowności zdolnej zniszczyć każde umocnienie. Tony ziem poczęły się unosić ku górze i to o wiele wyżej, niż założyli technicy. Piekło stanęło otworem.

Stoken zrozumiał, iż jest niedobrze w chwili, gdy usłyszał dobiegający z ziemi głuchy łoskot i z niedowierzaniem spostrzegł, że leży na dnie okopu. Krztusząc się pluł piaskiem czując jak gruntem wstrząsają epileptyczne drgawki. Gdzieś u góry z hałasem waliły się ściany baraków. Trzaskało szkło. Z tyłu ktoś zawył. Dojrzał kątem oka Colinsa, który w obłędnym przerażeniu wspinał się na zbocze. Może by mu się to udało, gdyby nie głęboka rysa, która oddzieliła pół muru i zwała go w dół. Pułkownik szarpnął Stokena za ramię ratując od przysypania. Potoczyli się, turlani kolejną serią podrygów. Ziemia wrzała. Z rozwierających się szczelin tryskał piasek ponaglany duszącym, żółtym dymem.

Pułkownik wrzeszczał pokazując na mały przyrząd. Wskazówka opierała się o końcowy sztyft. Powietrzem leciały arkusze blachy, pewnie z baraków.

- Zdechniemy! - usłyszał. - Tu jest diabelne promieniowanie.

Pobiegli w stronę łązika. Dwóch żołnierzy szamotało się na ziemi. Minęli ich, nie starając się nawet usłyszeć krzyków. Wzajemnie się podtrzymując stanęli na górze. Coś się zmieniło w krajobrazie. Pominąwszy brak konstrukcji, deformował się sam płaskowyż.

- Zapada się - pułkownik wskazał ręką. - Może być zewnętrzna detonacja. Nie rozumiem skąd taka moc.

Ostatnie słowa zagłuszyła eksplozja stojącego w pobliżu łązika. Fiknął koziołka i wyrzwał w resztkę muru. Mieli jeszcze jedną możliwość. Wywracani co krok, pobiegli dalej. Do helikoptera pierwszy wskoczył pułkownik i wciągnął za sobą Stokena. Lewa płoza była złamana i groziła wywrotką. Ryknął silnik. Poszli w górę. W dole szalały coraz gęstsze kłęby zamieci piaskowej podrzucanej milionami wstrząsów. Byli na pięciu metrach, gdy w kabinie zajaśniało upiornie. Spojrzeli za siebie.

- Nie, Boże nie! - jęknął Stoken, lecz powstający bąbel gazu i lawy przebił powierzchnię ziemi i trysnął strzępami materii. Obrócili się na plecy, a potem raz jeszcze. Urwane łopatki poleciały w bok i wirując przez chwilę spadli w sam środek płynącego potoku lawy.

Rozdział I

Dom był cichy i niesamowity. Wydawało się, że tykanie zegara niesie ze sobą coś bardzo ważnego. Leżałem na łóżku z gazetą na twarzy i zastanawiałem się, dlaczego nic mi się nie chce. Maria miała przyjść zaraz, jak tylko załatwi sprawę z Morissonem. Mały, nieciekawy człowieczek o wiecznie brudnej koszuli. Niestety, był właścicielem sali, gdzie chciała zrobić wystawę swoich prac. Miało to być jej pierwsze wyjście do publiczności. Swoją drogą sądziłem, iż poniesie fiasko, lecz nie widziałem potrzeby, aby to mówić. Jej obrazy interesowały mnie tyle samo co i ona. Akceptowałem je bardziej na zasadzie nawyku, niż uczucia. Nie, stanowczo się z nią nie ożenię. Na dole trzasnęły drzwi.

- Jesteś tam? - pytała tylko dlatego, iż znała odpowiedź. Wiedziała, że bez stojących koło drzwi butów nie wyszedłbym na ulicę.

- Tak - wrzasnąłem, a potem zdjąłem gazetę i ryknąłem ponownie: - Leżę sobie!

- Chodź! Coś ci pokażę.

Zsunąłem nogi na podłogę i chwyciłem leżący na krześle szlafrok. Miał wyszytego na plecach chińskiego smoka i czułem się w nim jak mandaryn.

Na stole w jadalni stała wysoka chyba na pół metra rzeźba nagiej kobiety. Ciemne drewno, obrabiane zdecydowanymi, żeby nie powiedzieć brutalnymi uderzeniami dłuta, nosiło w sobie znamiona sztuki. Na twarzy zawisł uśmiech, niby niewinny, ale mimo to obiecujący wiele.

- Od Morissona?

Kiwnęła głową.

- To chyba jakaś aluzja, nie sądzisz? - głos miała ochryply.

Drewno chłodziło palce wypolerowaną powierzchnią.

- Skąd on to ma?

- Mówił, że sam zrobił.

Jeśli byłoby to prawdą, musiałbym zmienić zdanie o tym człowieku.

- Jutro pójdziemy razem do niego - mówiła. - Gdy będzie, my ustawiać obrazy, masz się na mnie rzucić i co najmniej raz namiętnie pocałować. Niech wie baran, jacy mężczyźni mi się podobają.

Kiedyś może wydawałoby mi się to zabawne. Dzisiaj już nie. Kiedyś fascynowało mnie umawianie się z nią na randki w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, krótkie spacerki, nagminne karmienie łabędzi na stawie w parku i długie duszne noce. Teraz mogłem się co najwyżej uśmiechnąć.

- Przecież on ma sześćdziesiąt lat.

- Mężczyzna zawsze jest mężczyzną, mój drogi.

Zadzwonił telefon.

- To ty Filip?

Jedyny w swoim rodzaju głos profesora Rischa spowodował, iż dałem Marii znak, że czeka mnie dłuższa rozmowa.

- Masz czas?

- Zawsze znajdę chwilę.

- Mało. Potrzebny jesteś na dwa, trzy dni.

- O! A to dlaczego?

Risch sapnął.

- Jest tu u mnie dwóch panów z wojska. Proszę mnie o konsultację w pewnej sprawie. Z tego, co mówią, wydaje mi się, że byłbyś najlepszym ekspertem.

- A tak dokładnie?

- Dopóki się nie zgodzisz, nic nie mogę powiedzieć.

- To aż tak poważnie?

- Powiem ci tylko, iż w pewnym instytucie zaczęła się panoszyć paskudna choroba wirusowa. Trzeba ją opisać i o ile się da znaleźć analogie.

- Gdzie jest ten ośrodek?

- To nie ma znaczenia. Przelot i wszelkie formalności ci panowie zobowiązali się załatwić sami.

Ramiona drewnianej dziewczyny lśniły obiecująco, gdzieś w tle hałasowała garnkami Maria.

- Zależy ci, abym się zgodził?

- Tak.

- To w porządku.

- Przepraszam, że się wtrącam.

Głos mężczyzny włączył się na linię z taką pewnością siebie, iż nawet nie przyszło mi do głowy, że jest to bezczelność.

- Słucham.

- Dziękuję, że pan się zgodził. Proponuję, aby za równe dwie godziny, to jest o ósmej, czekał pan na podwórzu szkoły mieszczącej się dwieście metrów od pańskiego domu. Wie pan, gdzie to jest?

- Tak, ale skąd ten pośpiech?

- To jest konieczne, proszę mi wierzyć. Niech pan nie bierze bagażu. Na miejscu będzie pan miał wszystko. Przyleci po pana helikopter, a to podwórze świetnie się nadaje.

- Zaskakuje mnie pan.

- Jeszcze raz przepraszam. Mogę tylko zapewnić, że zapłacimy według najwyższych stawek.

Trzasnęło na linii.

- Sam widzisz - przypomniał się Risch. - Chciałeś być wybitnym wirusologiem, to cierp.

- Dobrze, dobrze. Ty mnie wrobiłeś.

- Nie gniewaj się.

- W porządku, pogadamy za parę dni.

Coś pomamrotał jeszcze, ale pożegnał się szybko. Chyba też się spieszył, stary drań. Wiedziałem, że to jego kumanie się z instytucjami wojskowymi źle się kiedyś skończy.

Maria rozpogodziła się dopiero w chwili, gdy obiecałem jej, iż na pewno zdążę wrócić na wernisaż. Przynależem z dwoma palcami w górze, że bez względu na wszystko, łącznie z końcem świata, zjawię się w domu w sobotę. Przy pożegnaniu usiłowała mnie sprowokować robiąc jakieś głupie uwagi na temat Morissona i chyba była trochę zła, że się na nią nie rzuciłem, aby przekonać o swoim uczuciu.

Z rękami w kieszeniach kurtki stałem jak głupi pośrodku boiska do piłki nożnej i kłąłem, że nie wziąłem pod uwagę chłodnego wiatru. Brak szalika był fatalny. Poza tym zrobiłem z siebie idiotę, przechodząc przez płot, gdyż woźny albo spał albo umarł, a w każdym razie mimo głośnego łomotu do drzwi szkoły nie dawał znaku życia. Na szczęście nikt chyba mnie przy tym nie widział. Niebo ujawniało jedną gwiazdę po drugiej. W rozhuśtanym świetle oszczędzonej przez łobuziaków latarni miałem okazję dojrzeć, że jest pięć minut po terminie. Coraz bardziej zaczynałem żałować, iż nie wykręciłem się nawałem pracy. Mogłem chociażby powiedzieć, że jeszcze nie opracowałem artykułu do biuletynu medycznego. Pokręciłem głową. Maria też zdaje się miała dzisiaj ochotę na szaleństwo.

Skuliłem się bardziej, gdyż powiał szczególnie nieprzyjemny wiatr. Drzewa metalicznie zaszumiwały.

Uniosłem głowę. Pięć metrów ode mnie, błyskając światłem pozycyjnym lądował niewielki helikopter. Poczekalem, aż wirnik się uspokoi i podszedłem do kabiny. Pilot odsunął okienko.

- Kapral Wolitz - przedstawił się. - Proszę o pańskie dokumenty.

Wziął je, oświetlił małą lampką i najbezzwłoczniej w świetle schował do kieszeni.

- Takie mam polecenie - powiedział i uśmiechnął się rozbrawiająco.

Z kwaśną miną obszedłem maszynę i wsiadając uderzyłem naturalnie głową o sufit. Po zatrzaśnięciu drzwiczek spostrzegłem, iż położono mi na kolanach parę kartek papieru.

Musi pan to podpisać, jeśli chce się pan dostać na teren ośrodka.

Symulując beztróskę, złożyłem parę podpisów, nie chcąc nawet wiedzieć, co mi wolno i o czym mam później zapomnieć.

Kapral był fachowcem w swojej specjalności, gdyż gładko jak po sznurku unieśliśmy się w powietrze, przelecieliśmy rzekę, potem stadion miejski i już widać było lasy otaczające tej strony miasto. Tutaj tylko przyrządy świeciły swym blaskiem, w dole było po prostu ciemno.

- Dokąd lecimy?

Nawet nie odwrócił głowy i tylko do ust przyłożył palec na znak milczenia.

- Z tyłu fotela znajdzie pan papierosy i coś do picia. Mamy cztery godziny lotu.

Chciał być życzliwy, ale zirytował mnie tylko. Czy naprawdę każda instytucja musi się otaczać nimbem tajemniczości?

- A jak zechce mi się siusiać, to co? - spytałem zgryźliwie. Zachichotał.

- Ja to robię w locie. Wystarczy drzwiczki uchylić.

Musiał skurczybyk zauważyć, że się trochę boję wysokości.

- Tak - mruknąłem. - To chyba lepiej się prześpię.

- Zbudzę pana przed lądowaniem.

Wyciągnąłem na ile się dało nogi i z głową na oparciu usiłowałem zasnąć. Za plastikim osłonem przelatowały ciemne, nierozróżnialne szczegóły terenu.

Rozdział II

Tajne laboratorium wirusologiczne pierwszego stopnia czujności znajdowało się we wzgórzach Maclera, leżących ponad sto kilometrów od najbliższego miasta. Cała okolica leży na wielkiej płycie powstałej jeszcze w trzeciorzędzie. Jej monotonię urozmaicają gdzieniegdzie wzgórza i głębokie rozcięcia terenu. One to, sięgając do stu metrów w granitowe podłoże czynią ziemię nieurodzajną, odbierając każdą ilość wilgoci. Gdy byli tu jeszcze tubylcy, nazywali to miejsce „złą ziemią”. Tutaj to ukryty i zamaskowany przed okiem ludzką leżał jeden z najlepiej wyposażonych w świecie ośrodków badawczych. Jego sale mieściły się w wydrążonych w skale jaskiniach oddzielonych od świata zewnętrznego nieprzenikalnym granitem, oraz pancerzem ołowiu i betonu. Dodatkowe zabezpieczenia stanowiły czujniki, które w razie konieczności przywoływały na pomoc parudziesięciu żołnierzy stacjonujących w pobliskiej bazie nr 21. Jak wykazały próbne alarmy zjawiali się nie później niż w pięć minut po wezwaniu. Było to aż za szybko. Hermetycznego jak termos laboratorium nikt nie był w stanie naruszyć w tak krótkim czasie. Posiadało ono poza tym jeszcze jedno specyficzne zabezpieczenie, o którego skuteczności miałem się wkrótce przekonać. Wylądowaliśmy na paskudnym, zupełnie nie oznakowanym kawałku płaskiej skały. Gdyby nie ów nieznany świecący na zielono ekranik, w który z taką ufnością wpatrywał się kapral, to chyba ze strachu wyskoczyłbym jeszcze w locie.

- Niech pan poczeka, aż odleczę. Wtedy proszę się udać w tamtą stronę - pokazał palcem. - Wejdzie pan w otwór jaskini. Będzie widać małe światełko. Dobrze?

Kiwnąłem głową, że jest mi wszystko jedno.

- A moje dokumenty? - spytałem z ręką na kłamce.

- O ile wiem, będę pana za parę dni odwozić z powrotem. Mam rozkaz zatrzymania ich do tego czasu.

- Nie wydaje się to panu irytujące?

Musiał być zawodowym żołnierzem, gdyż bez wahania, położył ręce na sterach.

- Tam czekają na pana. Proszę się pospieszyć. Wyskoczyłem na żwir podłoża i przykucnąłem parę metrów dalej. Spokojnie, z cichym terkotem helikopter odleciał w noc. Nieźle - pomyślałem. - W ładną kabałę się wpakowałem, nie ma co. Było ciemno jak... zresztą łatwo się domyślić. Czarne niebo i podobne skały, może tylko trochę bardziej połyskujące. Wyglądało, że kamień można tu zauważyć tylko gdy już się o niego uderzy. Ruszyłem w zapamiętanym kierunku. Po trzecim potknięciu zacząłem się zastanawiać, czy twórcy lądowiska nie przesadzili z maskowaniem. Mogli chociaż z grubsza uprzętnąć teren.

Coś zajaśniało przede mną. Właściwie należałoby powiedzieć, zrobiło się mniej ciemno niż wokół. Nad głową przeleciało skrzydlate stworzenie. Dziw aż, czym to się żywi. Wyprostowałem się i szybkim krokiem dotarłem do małego, na pozór normalnego wejścia do jaskini. Tu już ktoś wylał beton na podłoże.

- Pan Stawic, prawda?

Drgnąłem słysząc pytanie.

- Tak.

- Miło mi. Proszę wejść do środka, gdyż muszę zamknąć wejście.

Uczyniłem to. Coś ciężkiego zsunęło się za mną na otwór. Zabłyśły światła. Stałem w owalnym,

wyłożonym gumopodobną wykładziną pomieszczeniu. Nad drzwiami mrugał rząd świateł. Pod nimi stał człowiek o jasnych, ufnych oczach.

- Docent Pallison - przedstawił się.

- Miło mi pana poznać - byłem szczerze uradowany. - Z przyjemnością czytuję pańskie artykuły.

Każdy jest trochę próżny. I on nie był inny.

- Cieszę się. Chociaż nie sądzę, aby mógł pan znać wszystkie - zaśmiał się do własnych myśli.

- Może pan mi powie co tu się dzieje, tak dokładniej?

- Z chęcią, ale wejdźmy do windy.

Polecieliśmy w dół, aby po chwili skrócić w bok.

- Dwa tygodnie temu zaszczepiliśmy trzy szympany wirusem Elfemii. Po paru dniach dokonaliśmy tego samego zabiegu na jeszcze trzech osobnikach. Robiliśmy to na klasycznym wyciągu z żółtka kurzego.

- Moment. Dlaczego stosujecie małpy? Przecież podłoża są o wiele lepsze.

- Niezupełnie. Nawet na hodowlach próbowkowych wirus Elfemii nie chce się rozwijać. Dokładnie mówiąc, rozwija się ale traci większość interesujących nas cech; przede wszystkim zjadliwość.

Był zniecierpliwiony moim pytaniem, ale nie mogłem się powstrzymać.

- Jeszcze jedno. Elfemia jest chorobą paskudną, ale ze względu na klimat, o bardzo ograniczonym działaniu. Dlaczego was interesuje?

Oczy Pallisona zmatowiały.

- Badamy wiele chorób, nie tylko Eufemię. Mogę powiedzieć jedno. Jest to laboratorium wojskowe i musi pan o tym pamiętać. Sądzę, że lepiej będzie, jeśli ograniczy pan swoje zainteresowania do samej konsultacji i niczego więcej.

Zrobiło mi się nieswojo.

- Myślę, że zrozumiałem. Kiwnął głową.

- Dwa dni temu, kiedy osiągnęliśmy trzy czwarte cyklu inkubacyjnego zaczęliśmy testy hamujące.

Dałem znak oczami, że rozumiem. Chodziło o znalezienie antymetabolitu mającego zahamować proces rozmnażania.

- Po trzech seriach A, B i amonowej, jeden z asystentów, Helgstrom, począł testować jady. Swojego czasu miał w tym niezłe osiągnięcia. Pozwolił sobie, za naszą milczącą zgodą zaserwować inną substancję, nie stosowaną popularnie. Był to jakiś związek organiczny, który sam wyodrębnił i przyniósł do laboratorium. Mówię - jakiś, bo nie znamy jego pochodzenia.

- A laborant? - spytałem odruchowo.

- Nie żyje. Był na terenie wiwarium, kiedy małpy dostały szau.

Winda zatrzymała się.

- Zaraz dokończę. Niech pan zdejmie ubranie i zostawi tutaj. Musimy przejść do komory radiacyjnej.

Za drzwiami windy znajdował się ponury korytarz. Jasne pasy luminoforów starały się zatręć przykre wrażenie, iż człowiek znajduje się kilkadziesiąt metrów pod ziemią, otoczony zewsząd masywnością skał przeszedłem na drugą stronę. Drzwi, podobne do tamtych, otworzyły przede mną widok na pomieszczenie podobne do smukłego, metalowego jaja.

- Tam jest ubranie - wskazał szafkę. - Ale ubierzemy się dopiero za paręnaście minut.

Drzwi zasunęły się bezgłośnie, jak w każdej porządnej instytucji. Byłem oszołomiony szybkością biegu wypadków.

- Opowiadam dalej. Nie znamy dokładnie kolejności zdarzeń. Ale najprawdopodobniej chłopak nie rozumiał grozy sytuacji, nawet w chwili, gdy jedna z małp przegryzła mu kombinezon. Przyznaje, iż sądziłem, że jest to niemożliwe.

Staliśmy do siebie plecami, mimo okularów krępując się naszą nagością.

- Nie zawiadomił o tym centrali, chciał jak widać sam opanować sytuację, a może stracił głowę. Faktem jest, że w czasie co dwudziestominutowej kontroli znaleziono go prawie nieprzytomnego w części manipulacyjnej wiwarium. Na nieszczęście nie zacisnął kołnierza hermetycznego. Zakaził i to pomieszczenie. Naturalnie wszystko pokazały nam kamery. Nikt na teren wiwarium nie wchodził. On, zanim dostał drgawek, zdążył wydusić co ostatnio testował, ale szczegółów nie powiedział. Zmarł w dziesięć minut później.

- Niesamowita szybkość.

- Można by rzec fantastyczna. Objawy u niego, poza atakiem szału w końcowej fazie, były identyczne, jak u małp. Paraliż, trudności w oddychaniu, wręcz monstrualne powiększenie węzłów chłonnych i, co ciekawe, mały tylko wzrost temperatury. Ale trzeba pamiętać, iż mierzyliśmy ją za pomocą czujnika fotoelektrycznego.

- Nie staraliście się go wynieść stamtąd?

Pallison westchnął głęboko.

- Jeśli zakażeniu ulega część manipulacyjna, to aby się tam dostać musimy izolować cały poziom. Zabiera to około 15 minut. Kiedy dotarły do niego wózki automatyczne, był już martwy. Dla pewności wpuściliśmy do środka gaz ksylonowy. Wie pan co to jest?

Wiedziałem. Nie ma istoty wyższej, która by to przeżyła.

- Później zrobiliśmy sekcje, próby białkowe i to wszystko co pan, jak sądzę, również by zrobił. Proszę uważać. Nie znaleźliśmy w tkankach wirusa Elfemii. Także u części małp nie było specyficznych uszkodzeń jakie on zostawia. Mam na myśli ciałka Boriewa. Wyglądało, jakby zwierzęta nigdy nie były zarażone. Co równie ciekawe, nie znaleźliśmy w komórkach innych wirusów.

- Próba na pasaż?

- Ze wszech miar pozytywna. Wyciąg z płynu mózgowego mimo filtrowania i odwirowania zakaza ze stuprocentową gwarancją inne osobniki. Nie żyją dłużej niż godzinę.

- Bardzo wysoka wirusowość.

W kabinie zaczęło mrugać na zielono i zgodnie z poleceniem Pallisona zacząłem się ubierać w białe płócienne spodnie i koszulę.

- Podkreślam. Żadne metody morfologiczne ani biologiczne nie wytropiły dotąd źródła choroby.

- A co z ciałem asystenta?

- Podobnie. Również historia choroby jest dla nas bezprecedensowa. Tutaj liczymy najbardziej na pana. Jest pan, jak sądzę, najlepszym histopatologiem co najmniej w naszym kraju.

Jajowate pomieszczenie, w którym staliśmy, gdzie się przemieszczało.

- Jeszcze jedna formalność - zatrzymał mnie Pallison, gdy stanęliśmy. - Musimy wypić litr płynu filtracyjnego. Jak dotąd nie wymyślono nic, aby polepszyć jego smak.

Miał rację. Płyn był tak obrzydliwy, że tylko zacisnięte gardło uratowało mnie przed kompromitacją.

- Powinien mnie pan lubić - powiedział Pallison z szelmowskim uśmiechem, gdy wycierał usta w gazetę. - Piję to tylko dlatego, że zachciało mi się wyjechać po pana na powierzchnię.

Pokiwałem głową, że bardzo to sobie cenię.

Za drzwiami był już normalny korytarz, biegnący lekkim łukiem i chyba tylko brak okien mógł przywołać myśl o niecodzienności tego miejsca.

- Przywiozłem profesora Stawica - mówił Pallison do telefonu na ścianie.

Mijały nas długonogie dziewczyny i samo się rozumie, że wolałem uśmiechać się do nich, niż słuchać wywodów docenta. Dziewczyny były jakieś takie paskudnie poważne, że nawet nie zauważyły moich wysiłków. Facet pchający za nimi wózek miał również nieszczęśliwą minę, z tą różnicą, że był nieapetyczny na gębie. Przypominał ofiarę nieudanego lecz sadystycznego eksperymentu.

- Jest poważniej niż sądziłem - mówił szybko docent, gdy skończył rozmowę.

- Wszystko wskazuje na to, iż sąsiednia sekcja też uległa zakażeniu. Badaliśmy tam ospę. Idę to sprawdzić. Pan poczeka u mnie w gabinecie.

Przeszliśmy parę metrów na wprost. Potem zakręt i znów kilkanaście metrów. Mijali nas zdenerwowani ludzie. Widać to było na pierwszy rzut oka.

Pallison nie przepuścił mnie pierwszego do gabinetu. Najwyraźniej się spieszył.

- Tu są zdjęcia i wykresy, a na monitorze może pan odtworzyć sobie ostatnie dziesięć minut przed zgonem Helgstroma. Może coś się panu skojarzy. Jak wrócę, to będziemy przeglądać razem. Wyjaśnię czego dotąd nie powiedziałem i radzę z nikim nie dyskutować: Nie ma z kim - dodał.

Usiadłem w fotelu. Po prawej stronie miałem klawisze magnetowidu.

- Co będzie jeśli wirus zainfekuje inne sekcje?

Moje pytanie zatrzymało go w drzwiach. Spojrzał nieobecny wzrokiem.

- Na zewnątrz nie wyjdzie. Jest to niemożliwe.

Zostawił mnie samego. Chcąc nie chcąc musiałem zacząć się przyglądać agonii zupełnie nieznanego mi człowieka.

Jestem wirusologiem od dziesięciu lat, od piętnastu lat miałem okazję oglądać najróżniejsze przypadki, ale tym razem przecucie mówiło mi, że stanąłem twarzą w twarzą z czymś nowym i nieznanym. Jeszcze zerkałem na papiery jeszcze robiłem notatki, lecz zdawałem sobie sprawę, że jest to przypadek niespotykany i wszelkie analogie są bezsilne.

Wysoki blondyn z plikiem fotokopii w garści otworzył gwałtownie drzwi. Speszył się na mój widok.

- Docenta Pallisona nie ma?

- Mówił, że idzie sprawdzić sekcję przylegającą do wiwarium.

Człowiek zmarszczył brwi, jakby zapomniał o co mnie pytał.

- Aha - ocknął się, - Dziękuję!

Wszedł. Przewinąłem taśmę i człowiek na szklanym monitorze zaczął umierać po raz wtóry.

Rozdział III

Pallison ciągle nie wracał. Dzwoniła tylko jakaś dziewczyna, przedstawiając się jako sekretarka nieznanego mi profesora Holya. Prosiła w imieniu docenta i profesora żebym się nie niepokoił i dodała, że konsylium przewidziano za dwie godziny. Na pytanie o sytuację bąknęła coś niezobowiązująco i przepraszając rozłączyła się.

Miałem na kartce wypisane tylko dwie pozycje. Przypuszczenia, same przypuszczenia. Na dole było jeszcze jedno zdanie, podkreślone czerwonym flamastrem.

„Zbadać substancję dawkowaną przez Helgstroma”.

Liczyłem jeszcze na własną, nie opublikowaną przeze mnie metodę rozpoznawania wirusów, a dokładniej ich cech rodzinnych. Opierało to się na pewnych odczynnikach krystalicznych. Niecierpliwiłem się. Nikogo tutaj nie znałem, a wychodząc sam na poszukiwanie Pallisona mogłem się zgubić w potężnym, jak dało się zauważyć, kompleksie laboratorium. Z roztargnieniem zacząłem się przyglądać fotografii niemłodej już kobiety, postawionej dyskretnie w kącie biurka.

Chyba skądś ją znam? - pomyślałem.

Ale już wiedziałem. Mała tak sarno ufne oczy jak Pallison. Drzwi otworzyły się gwałtownie. Pallison zamknął je za sobą dysząc oparł się o nie. Wstałem z fotela.

- Idziemy na konsultację?

- Tak i to szybko.

Wyszedłem z biurka. Rzadko kiedy można widzieć tak zdenerwowanego człowieka. Po prostu wypchnął mnie za drzwi.

Zostawiłem dokumentację! - zdążyłem krzyknąć.

- Szybko, to nie ma znaczenia.

Szedł takim tempem, że aby mu dorównać musiałem biec. Korytarz był pusty. Białe, aseptyczne ściany i dyszący oddech Pallisona. Zza uchylonych drzwi dobiegały odgłosy intensywnej kłótni. Nawet się nie zatrzymaliśmy. Boczny korytarz.

Dostanę zawału albo ksenofobii - przeszło mi przez głowę.

W ścianie tkwiły duże drzwi.

- Masz szczęście, że ja też czytuję twoje artykuły - powiedział trochę bez sensu, przekręcając koło dociskowe.

Nawet nie zauważyłem, że przeszedł na „ty”. W środku szerokiej sali stały rzędy stołów laboratoryjnych, pudeł i części manipulacyjnych.

- Tu mamy się konsultować? - zdobyłem się na ironię, lecz jego odpowiedź odebrała mi chęć do żartów.

- Zgłupiałeś? Żadnych konsultacji nie będzie. Laboratorium jest załatwione. Poszło pięć następnych sekcji, dziesięć osób kona tam teraz.

Wrosłem w podłogę.

- Można chyba izolować hermetycznie cały poziom?

- Nic z tego - mruknął i nie wiadomo po co zaczął odsuwać na bok pudła spod jednej ściany.

- Pomóż mi - sapnął.

Ruchy rąk i przenoszenie ciężarów nie pozwalało na zebranie myśli. Odezwał się pierwszy.

- Kiedy stwierdziliśmy niesamowitą wirusencję, odcięliśmy cały poziom, łącznie z sekcjami gdzie badaliśmy ospę. To było w tym czasie, kiedy wyjechałem po ciebie. Przegrody między poszczególnymi sekcjami teoretycznie nie są idealne, dlatego też zakażenie sąsiedniej sekcji nie było tragedią. Jednak godzinę temu stwierdziliśmy identyczne objawy na wyższym poziomie. Docent Pasos wyczuł, że coś z nim niedobrze i zameldował nam. Ale było za późno.

Pallison odsunął już widać co chciał i spojrzał na zegarek.

- Szlag by to trafił! - krzyknął. - Zapomniałem.

Podbiegł do jednego z pudeł. Na pozór było fatalnie zakurzone. W środku znajdowały się aparaty tlenowe zamkniętego obiegu.

- Wkładaj! - rzucił mi jeden. - Szybko, bo ja już głupieję.

- Po co to?

- Wkładaj, chyba nie chcesz, aby cię diabli wzięli.

Włożyłem.

- Co ty w takim razie robisz? Trzeba im pomóc?

Chwycił mnie za materiał na torsie.

- Jeśli powiesz teraz choć słowo na temat człowieczeństwa, to ci rozwalę łeb - mówił z ryjem maski przed moją twarzą.

Ledwie rozumiałem słowa.

- Posłuchaj. Jest to laboratorium pierwszego stopnia i bada się tutaj tak kurewskie świństwa, że nie mają się one prawa wydostać na zewnątrz. Dlatego też ma ono specjalne zabezpieczenie, o którym nikt poza mną tutaj nie wie.

Potrząsał mną całym. Szybką maski pokryła mu para.

- Tym zabezpieczeniem jest cały system podsłuchu wizualnego i fonicznego. Jest tu od cholery kamer i mikrofonów. Po ich drugiej stronie siedzi w bazie paru facetów, którzy w przypadku epidemii mają rozkaz nas załatwić, a laboratorium zalać ciekłym azotem.

- To niemożliwe - wybełkotałem. - Nikt tego nie uczyni z zimną krwią.

- Gówno prawda. Ich jest kilku, a tylko jeden ma prawdziwy podgląd na nasze laboratorium, inni mają podstawione nagrania i zawsze ten decydujący może mieć uczucie, że to próbny alarm. Zresztą oni takich alarmów mają kilka na dzień i już dawno przestali kojarzyć nas z prawdziwymi ludźmi - W końcu zabijali na niby tyle razy...

- Jak zabijali? Najpierw puszcza się gaz obezwładniający, potem ksyłowy, do każdego pomieszczenia. Nie masz pojęcia jak sprytnie jest skonstruowany nasz ośrodek. Następnie sprężarki wciągają do zbiorników powietrze podając na jego miejsce azot. - Po godzinie laboratorium ma temperaturę niemalże próżni kosmicznej. Nie przypadkiem powiedziałem w windzie, że jest zbudowane jak termos.

Spojrzał jeszcze raz na zegarek.

- Sądzę, że zaczęli wpuszczać gaz.

- Skąd ty do jasnej cholery wiesz o wszystkim?!

- Mój bystry i genialny przyjacielu. Gdybyś miał za kochankę panienkę obsługującą jednocześnie faceta, który projektuje takie zabawne pomieszczenia jak to, wiedziałbyś to samo.

Przełknąłem wiadomość.

- Chcesz uciekać?

- Naturalnie. Jak nam się poszczęści obydwaj zwiejemy. Tu, za ścianą, powinna być pochylnia, którą za kilka dni zjadą automaty, aby pogrzebać w naszych trupach i dowiedzieć się, co tak naprawdę nas

wykończyło. Tym na górze główka pracuje. Ani pół wirusa nie wydostanie się na powierzchnię z tej prostej przyczyny, że nic stąd już się nigdy nie wydostanie.

Przesuwał palcami po ścianie, najwyraźniej czegoś szukając.

- Nie martw się. My tędy wyjdziemy - dodał.

Schylił się i zaczął obmacywać listwę przy podłodze.

- Niech to diabli, kiedyś sprawdziłem, że po drugiej stronie jest pochylnia, ale nie oznaczyłem wichajstra. O, jest! - zawołał radośnie.

Rozglądając się wokół skojarzyłem pewne fakty.

- Tutaj nie ma kamer?

Zaśmiał się.

- Były. Zanim przyszedłem po ciebie, zdążyłem je nieco uszkodzić. To samo zrobiłem w dwóch sąsiednich pomieszczeniach. Pomyślą, że zasilanie wysiadło.

Szarpnął listwę do góry. Zwinęła się wraz ze ścianą, jak żaluzja. Dalej były szerokie metalowe drzwi.

- Wyjdź na korytarz. Upewnij się, czy już ich załatwili. Gdyby ktoś się jeszcze ruszał, to nie wchodź mu w drogę i uważaj na maskę.

Zawahałem się. Zrozumiał mnie, gdyż życzliwie klepnął po ramieniu.

- Nie bój się. Nie pójdę bez ciebie. Chcę tylko wiedzieć, ile mamy jeszcze czasu.

Jego uwagi były nieaktualne. Na korytarzu nikt się nie ruszał. Dotarłem aż do drzwi, gdzie przedtem słychać było kłótnię. Rozglądając się czujnie, pchnąłem je do środka. Coś przeszkadzało. Było to młody mężczyzna z rozerwaną na piersi koszulą. Jego nogi zagradały przejście. W głębi na podłodze leżały dwie kobiety, a z głową opartą o blat biurka siedział ten sam facet, który pytał się przedtem o Pallisona. Nie żyli. Zwiększyłem dopływ mieszanki i zataczając się pobiegłem z powrotem.

Tylu ludzi wykończyli - jęczałem. - Tylu ludzi.

Ściana, przy której grzebał Pallison w czasie mojej nieobecności uległa kolejnej metamorfozie. Ziała w niej paszcza szerokiego wejścia, za którym ciągnęła się stromo pod górę pochylnia. Zdałem krótką relację. Pokiwał głową.

Za parę minut zaczną podawać azot. Idziemy. Mamy sto metrów pod górę.

Chwyciłem go za ramię.

A wirusy nie dostaną się przez pancierz do gruntu, nawet, po zalaniu azotem?

Nawet jeśli będą aktywne, to pancierz ich nie przepuści. Ten chociaż jest idealnie szczelny. Chyba, że to świństwo potrafi przejść przez lity metal.

Wyszczrzył zęby.

Sądysz, że to mutacja?

Skinął głową i szybkim krokiem ruszył w górę. Gdy zanurzałem się za nim, wydawało mi się, że z kątów magazynu poczęły się unosić, znikające na razie szybko, obłoczki białej pary.

Szło się ciężko i chyba trochę za późno wyszliśmy. Za nami biegło chłodne powietrze. Jeśli w ogóle to było powietrze. Pallison coś mamrotał, że nie potrafił zamknąć od środka wejścia na pochylnię. Idąc prawie na czworakach, ledwie dysząc w tej przeklętej masce, starałem się podążać za jego ciemną sylwetką. Biegące w nieskończoność smugi luminoforów kończyły się w dole coraz mniejszą plamką wejścia. U góry wydawały się nie mieć końca. Pomyślałem o swojej twarzy. Musiała być sina, z obrzękniętymi oczyma i astmatycznie sapiącymi ustami. Już nie mogłem iść tak szybko. Pallison, starszy ode mnie, rwał do przodu tempem, o jakie nigdy bym go nie podejrzewał. Nie miałem sił, aby zawołać. Luminofory były coraz słabiej widoczne. Chociaż... tak, to był azot. Myśl sprawiła, iż uczułem mróz jaki nas otaczał. Obróciłem głowę. Pochylnią pełzła w górę mleczna mgła. Była kilkanaście metrów z tyłu,

gęsta jak śmietana. Nasze szczęście polegało na tym, że tu gdzie stałem, u góry korytarza zgromadziło się cieplejsze powietrze. Tam na dole, już by człowiek nie żył, nawet z aparatem tlenowym. Zamarzłby. W takiej temperaturze to kwestia paru minut. Na osłabłych nogach szedłem dalej.

Pallison stanął. Uniósłem wzrok. Zwarte wargi ciężkich drzwi były nie więcej, niż dziesięć metrów przed nami. Mimo mrozu ścinającego skórę twarzy uśmiechnąłem się. Pallison też się uśmiechnął, ale kiedy ruszał dalej, nie wiem jakim sposobem poślizgnął się i uderzając głową o ścianę upadł jak długi. Jednak nie był tak świeży jak sądziłem. Podbiegłem do niego lecz poderwał się błyskawicznie na nogi. Zatrzymałem się niepewnie i patrzyłem jak szamocze się chwilę z aparatem tlenowym Z wściekłością zrzucił go na ziemię. Butle potoczyły się w dół. Ze zmaconym wzrokiem spojrzał na mnie. Twarz szczerwieniła mu od zatrzymanego tchu. W ostatniej chwili zrozumiałem, że teraz mamy tylko jeden sprawny aparat. Uchyliłem się przed ciosem pięści i z desperacją chwyciłem go za nogi. Upadł w tył. Musiał nabrać tchu, nic nie mógł poradzić. Jeszcze próbował wstać, ale torsje rzuciły go z powrotem na kolana. Uskoczyłem, Wstrząsany drgawkami, coś charcząc, toczył się w dół pochylni. Dopiero teraz skojarzyłem, że przecież mogliśmy oddychać na zmianę, po jednym wdechu, ale on już zniknął we mgle.

Jęczęc ze strachu pobiegłem do góry. Z sercem w gardle uderzyłem zgrabiętymi pięściami w metal drzwi. Rozejrzałem się rozpaczliwie czując, że zamarza mi oddech na masce, Z boku była tylko jedna rękojeść. Napisu nie miałem czasu czytać. Szarpnąłem z całej siły. Chwila wyczekiwania i gdy już miałem zacząć wrzeszczeć, wejście rozsunęło się na boki. Skoczyłem do środka w ostatniej chwili, gdyż nie wiadomo dlaczego, moment po otwarciu, płyty metalu znów naszły na siebie. Pewnie ten napis wytłumaczyłby mi to. Rozejrzałem się, gdzie jestem. Pomieszczenie przypominało mi tamto, gdzie spotkałem po raz pierwszy Pallisona. Było tylko znacznie większe. Woląc się nie upewniać, czy jest tu powietrze zdatne do oddychania zacząłem iść wzdłuż ściany.

W przeciwległym rogu sali wiły się spiralnie ku górze metalowe schodki. Kierunek mi odpowiadał, więc rozprostowując palce zacząłem się wspinać na podest pod sufitem. Znów jakby śluza. Na ścianie wisi skrzynka z rękojeścią i tabliczką pod spodem.

- Otwarcie ręczne. Nie używać bez zgody nadzoru.

Szarpnąłem. Ukazała się mała śluza. Wskoczyłem nauczony doświadczeniem i słusznie. Zdażyłem tylko dostrzec, jak z tyłu w sali gaśnie światło. Obejrzałem się i zamarłem. Następne drzwi nie posiadały niczego, czym można by je otworzyć. Te za mną, również. Załkałem. Nerwy zaczynały odmawiać posłuszeństwa i kiedy kabinę począł wypełniać jadowicie fioletowy dym miałem dwa wyjścia. Albo zwariować, albo przyjąć, że to normalna procedura dezynfekcyjna. Drżąc, oparłem się o ścianę. Myśli rozbiegały się wokół każdej z przypominanych scen, jakie przeżyłem w ciągu ostatnich godzin. Chyba kończył się tlen, gdyż coraz ciężiej było z oddychaniem. Właśnie doliczyłem do pięciuset, gdy drzwi otworzyły się. Nie bacząc na nic przeskoczyłem próg. Metal zasuważąc się otarł o moje plecy.

Tu było inaczej. Nie zapaliło się żadne światło. Miałem wrażenie, że krótki korytarz, w którym stoję, kończy się dużą ciemną salą. Zdezorientowany ruszyłem tam. Krok, jeszcze jeden. Dopiero zgrzyt żwiru pod stopami uświadomił mi gdzie jestem. Przyklęknąłem na jedno kolano i zdarłem maskę wystawiając twarz do wiatru. W górze świeciły gwiazdy. Płacząc schowałem głowę w dłoniach.

Rozdział IV

Biegłem już bardzo długo. Chociaż słowo „biegłem” jest lekką przesadą w odniesieniu do tego, co robiłem. W głowie tłukło się przysłowie o żołnierzu, który maszeruje najpierw tyle ile może, a potem tyle, ile musi. Ja musiałem.

Od chwili, gdy tam, przy wyjściu usłyszałem warkot silników, gnały mnie już tylko dwie myśli. Jeśli zabili tyle osób to bez wahania, dla czystej dezynfekcji unicestwią i mnie. Po drugie, zbyt długo byłem wirusologiem, aby wątpić w perfidię chorób zakaźnych. Nie miałem żadnej gwarancji, że nie jestem zarażony. Chociaż, gdyby tak miało być, to powinienem już nie żyć, a ja wciąż biegłem.

Głęboki parów, do którego zsunąłem się nocą ciągnął się w nieskończoność. Gdy patrzyłem teraz na jego ściany, włos jeżył mi się na głowie. Nigdy nie zgodziłbym się na ponowne zejście. Słońce szło coraz raźniej w górę i powietrze nagrzewało się z minuty na minutę. Bieg, ciągły bieg.

Myśl, że brakuje mi sił, nadeszła moment przed tym nim upadłem na kamieniste dno suchego teraz jak popiół strumienia. Uniosłem się na rękach. W tańczących plamach czerwieni dostrzegłem, że kilkadziesiąt metrów dalej wąwóz pnie się ku górze dość ostrym podejściem. Prędzej bym umarł, niż wdrapał się tam teraz. Obróciłem z wysiłkiem głowę. Niedaleko, zaraz za kępą suchych traw wrzynał się w ścianę mały jar Podciągnąłem się w jego stronę. Długie, tnące jak brzytwy trawy wydawały się nie do przebacenia. Podeszedłem metr w górę i tam, trzymając się skały, ominąłem ten jedyny ślad życia na pustkowiu. Jar skończył się rychło czymś na kształt skalnego okapu. Rosły tu małe krzaczki. Niestety, nic jadalnego na nich nie dostrzegłem. Były za to dość miękkie. Kładąc się, czułem wszystkie mięśnie.

Obudził mnie lekki ból głowy, pragnienie i upał. Odruchowo podczołgałem się do okapu. Twardy piasek był przyjemnie chłodny. Przewróciłem się na plecy i z uwagą zacząłem obserwować skały nad sobą. Z boku lekko dmuchał wiatr, przynosząc ziarenka piasku. Ale było to lepsze, niż duszne stojące powietrze. Zamknąłem oczy. Musiałem wytrzymać do nocy. Jeśli nie pojawią się oznaki choroby, znaczyć to będzie, że mogę szukać ludzi. Naturalnie ostrożnie, abym zdążył im wytłumaczyć, że jestem bezpieczny dla nich.

Wyliczałem w myślach wszystko, co wiem na temat choroby, ale szło mi to ciężko. Podpierając się na łokciu ściągnąłem koszulę i podłożyłem pod głowę: Trochę lepiej.

Odpowiedzią na nurtujące mnie pytania było jedno słowo: mutacja. Niestety, aby się całkowicie upewnić należałoby dokonać kompleksowych badań. Parę zdjęć, które dał mi Pallison nie rozstrzygało sprawy. Metody dyfuzyjne i polaryzacyjne dają lepszą gwarancję. Są jeszcze moje kryształy. Tak myśląc, zasnąłem po raz drugi i śniło mi się dużo wody, chłodnej, takiej do picia.

Tym razem zbudził mnie chłód. Fizycznie może i byłem mniej zmęczony, ale przy pierwszej próbie wydostania się spod skały stęknąłem z wysiłku Mięśnie miałem wręcz zmumifikowane. Zesztywniałe od leżenia plecy poczułem dopiero, gdy grzmotnąłem nimi o sklepienie. Jak automat z przetrąconą stabilizacją wygramoliłem się z mojej kryjówki. Igła rozpalonego pragnienia przypomniła mi, że od piętnastu godziny nic nie piłem. Aż się zatoczyłem. Dla odzyskania równowagi zrobiłem parę przysiadów. Wyglądało na to, że wykpiłem się tylko lekkim osłabieniem. Podrapałem język, ale nieciekawego na nim nie znalazłem. Węzły chłonne były w normie.

Chyba jestem zdrowy - pomyślałem.

Słaby, zagubiony nie wiadomo w jakiej części kraju, ale z pewnością zdrowy. Przypomniałem sobie stary indiański sposób. Oderwałem guzik od koszuli i począłem go żuć. Podobno wzmacnia to wydzielanie śliny i pozornie łagodzi pragnienie. Chociaż Indianie używali do tego z pewnością kawałków skóry a nie plastikowych guzików.

Zapadła ciemność. Wszedłem na otwartą przestrzeń i spojrzałem w niebo. Wąski pasek księżyca tkwił nad wzgórzami. W ciągu dnia, gdy drzemałem, nadśluchiwałem helikopterów wojskowych. Nikt mnie jednak nie szukał. Możliwe było, że jeszcze nie weszli na teren laboratorium, albo przeoczyli brak mojej osoby. Z każdym metrem, proporcjonalnie do liczby siniaków, poprawiał mi się wzrok. Teraz droga pięła się pod górę. Przyznaję, że się bałem, ale tylko ktoś bez wyobraźni nie odczuwałby lęku, będąc sam w takiej scenerii. Zimno, ciemno i tylko wyznaczona bryła czerni krawędź wąwozu. Niech jeszcze spadnie temperatura, a gorączka murowana. Obrazy z pamięci podsycaly niepokój. Co chwilę wydawało mi się, że to już, już. Ale nie, droga uporczywie wyłaniała swoje nowe szczegóły. Ile kilometrów od laboratorium mogę być? Dziesięć, dwadzieścia - gdzieś w tych granicach.

Wreszcie stanąłem na górze. Płaskowyż. Ruszyłem do przodu. Godzina, półtorej; ciągle twardy piasek i rzadka trawa pod stopami. Czasami schodziłem w dół, czasami piąłem się pod górę. Łagodne pagórki ciągnęły się jak okiem sięgnąć. Chwilami zatrzymywałem się dla złapania oddechu, aby zapomnieć o dręczącym pragnieniu. Znajdowałem większy kamień i patrzyłem w niebo. Liczyłem spadające gwiazdy i przez moment byłem szczęśliwy. Szczęśliwy, że nie muszę iść, że nic mi nie grozi. Byłem sam, odcięty nocą od wszystkich ludzi. Myślałem. Myślałem tej nocy o rzeczach dawno nie wymawianych. Tych, które schowałem w pamięci, bądź uznawałem za oczywiste.

Całe moje życie. Może stąd pochodzi potwierdzenie, że przed śmiercią człowiek widzi wszystkie zdarzenia jakie przeżył. Nie, nie miałem zamiaru umierać. Po prostu byłem sam; zagrożony, ale jeszcze nie przytłoczony możliwością przegranej. Potem szedłem dalej.

To, że schodzę z płaskowyżu, zrozumiałem po piętnastu minutach ciągłego marszu w dół. Wydawało mi się, że niżej dostrzegam długą, powykrecaną smugę o jednolitym zabarwieniu. Jeszcze paręset metrów i już byłem pewien. To była szosa; nawet asfaltowa, pominąwszy bezlik zdobiących ją dziur. Nie pozostało mi nic innego jak podążać nią dalej.

Było już bardzo zimno. Suche powietrze zachłannie zabierało ziemi ciepło. Szczękałem zębami, rozumiejąc, że chłód przenikający mnie nie tylko z powietrza pochodzi. Zgęstniała krew wolno sączyła się w żyłach. Starłem się nie myśleć o obrzydliwym smaku, jaki mam w ustach. Po wieczornym przyptywie sił przychodził gwałtowny ich spadek.

Warkot. Nie dowierzając odwróciłem głowę. Jeszcze chciałem uciec, schować się, lecz ciało zaprotestowało bezruchem. Światła były coraz bliżej. Zmniejszyłem oczy od blasku. Chyba machałem ręką. To tylko jeden wóz; zwykły, cywilny.

- Co się dzieje? - grubas wyszedł na zewnątrz i z ręką na dachu przyglądał mi się z zaciekawieniem.
- Proszę mnie zabrać - wyszeptalem tak cicho, że musiałem zaraz powtórzyć. - Miałem wypadek. Już od kilkunastu godzin staram się stąd wydostać.

Nie dziwiłem się, iż mi nie dowierza. Moje białe laboratoryjne spodnie i koszula prędzej wyglądały na strój penitencjarny, niż normalne ubranie. W natchnieniu dodałem:

- Sprawilem sobie niedawno helikopter. Za daleko poleciałem i wysiadł mi.

Widziałem, że to był już gotów kupić. Jeszcze chwilę gapił się na mnie. Potem spojrzał w ciemność. Nie wiem czy wiele dostrzegł, ale najwyraźniej zadowolili się tym.

- W porządku. Wsiadaj.

Odblokował drzwi. Bez pytania owinałem się w leżący na tylnym siedzeniu koc. Nic nie powiedział, tylko podał mi termos. Oczy wyszły mu na wierzch, kiedy ujrzał z jakim tempem go opróżniam.

- Masz chłopie szczęście, że mnie spotkałeś.

Szczękając zębami przytaknąłem. Ruszyliśmy.

- Jeszcze trochę, a byłbyś pierwszą ofiarą tych okolic od czasów kolonizacji - zarechotał, wyraźnie oswajając się z moją obecnością.

- Niech pan będzie taki uprzejmy i odstawi mnie do najbliższego miasta - powiedziałem. - Dalej już sobie poradzę.

- Dobra, dobra. Nie martw się, za sześć godzin będziemy w Malison - zawahał się moment. - A jeśli to, co cię tak urządziło nie było helikopterem, to też się nie martw. Jak ktoś jest w porządku, ja się do jego spraw nie mieszam.

Gestem ręki uciął moje wyjaśnienia.

- Mówię ci, masz szczęście. Tą drogą mało kto jeździ, chociaż jest niezłym skrótem; ponad sto kilometrów się oszczędza. Tylko diabli wiedzą dlaczego nie jest oznaczona na mapach. Słyszysz? - spytał.

Ale ja już nie słyszałem.

Rozdział V

- Lubię takich facetów jak ty - powiedział Mazzoni, gdy pożerałem trzecią porcję parówek.

Nie wiedziałem dokładnie o co mu chodzi, ale na wszelki wypadek uśmiechnąłem się porozumiewawczo. Od godziny jechaliśmy bardziej uczęszczaną drogą, mijając coraz więcej drzew i zieleni. Opuszczałem krainę „złych ziem”. Byłem z tego zadowolony. Jedynym kłopotem był fakt, że Mazzoni, wzorowy rolnik, dobry ojciec rodziny, jechał do domu i za nic nie dawał się uprosić o to, aby odwieźć mnie do miasta z lotniskiem, albo chociaż - większym dworcem. Śpieszyło mu się i chyba trochę złośliwie pocieszał mnie, że raz na dwa dni z jego miasteczka odjeżdża autobus. Najwyraźniej uważał, że należy mu się moje towarzystwo do końca podróży.

W knajpie najwięcej ludzi stało przy barze, większość w drelichowych spodniach i identycznie skrojonych bluzach. Jedyna w tym gronie kobieta sprawiała wrażenie zawstydzonej. Dopiero później zrozumiałem, że jej wypieki pochodzą z ginu którego szklaneczkę dzierżyła w dłoni. Właściciel stał spokojnie za ciżbą klientów i z nostalgią przecierał szkło. Wytarłem usta i odsunąłem talerz. Mazzoni zarechotał. Wyglądał na człowieka ceniącego dobre jedzenie. Wyszliśmy na zewnątrz. Byłem syty, w zasadzie wyspany, a letni wiatr rozpogodził mnie do reszty. Staliśmy pośrodku placu otoczonego paroma domami z czerwonej cegły. Były odrapane i aż prosiły o remont. Między nimi stał masywny budynek z wieżyczką, gdzie duży zegar miał albo kilkugodzinne opóźnienie, albo był zepsuty.

- Ty się spieszysz? - spytał niespodziewanie Mazzoni.

- Tak - odparłem z radosną nadzieją w głosie.

- Więc masz pecha - odparł i zaśmiał się aż jego wielki brzuch zaczął podskakiwać na wszystkie strony.

Zauważyłem, że ma przepoconą koszulę nad sprzączką paska od spodni.

- Mam tutaj jedną sprawę do załatwienia - wyjaśnił, macając się po kieszeniach. - Zrób mi przysługę za przysługę i poczekaj na mnie. Dobra?

Podeszliśmy do wozu. Otworzył drzwiczki.

- Włącz sobie radio i posłuchaj muzyki. Za godzinę powinienem wrócić - uśmiechnął się podejrzanie i zarechotał.

O Boże! - pomyślałem. Gdybym miał taki śmiech, to do końca życia chodziłbym ponury.

Włączyłem na pełny regulator pierwszą lepszą stację i z uwagą obserwowałem jego kroki. Szedł zdecydowanie, ku sobie wiadomemu celowi. Czekałem w pozornym rozluźnieniu do chwili, gdy skręcił za jeden z murowanych domów. Wyskoczyłem z auta i pobiegłem za nim, opatrności zostawiając pilnowanie dobytku. Z myślą, iż ostatnio często mam okazję do biegów dopadłem ściany budynku. Spokojnie, aby nie zwrócić uwagi przechodniów wychyliłem się zza rogu.

Mazzoni wchodził właśnie do drzwi małego domku o białych ścianach i nic nie wskazywało, aby był to posterunek policji. Drzwi momentalnie zamknęły się. Stałem ważąc decyzję. Gdy Mazzoni wchodził do środka, dostrzegłem jedną rzecz, co do której chciałem się upewnić. Zrobiłem krok, potem następny.

- Witaj kotku - powiedziała korpulentna pani, gdy zapukałem dwukrotnie do drzwi.

Nawiasem mówiąc, nie mam pojęcia dlaczego do drzwi tych instytucji puka się zawsze w ten sam sposób.

- Można? - spytałem z rozbrajającym uśmiechem.

- Naturalnie - odparła, lustrując mnie z góry do dołu. - Nie chcę być nachalną, ale sądzę, że kąpiel by ci się przydała.

Rozwiąła moje ostatnie wątpliwości.

- Wedle pani uznania.

Roześmiała się i pociągnęła za policzek.

- Pierwszy raz u nas jesteś?

Kiwnąłem głową i westchnąłem z ulgą. W holu, do którego weszliśmy nie było Mazzoniego, tylko dwie przeciętne dziewczyny. Zmrużyły oczy na mój widok. Posłałem im radosny uśmiech.

- Tam są łazienki - pokazała ręką. - Odśwież się, a potem zapoznam cię z dziewczynami.

Ze szmerem chichotów zamknąłem drzwi. Po prawej stronie były kabiny i momentalnie wiedziałem, w której znalazłbym Mazzoniego. Podśpiewywał i rechotał w sobie tylko właściwy sposób. Na palcach podszedłem do, okna. Było starannie zamknięte, lecz nieokrętowane. Kilka ruchów, podskok i już byłem na zewnątrz. Zostawiłem je uchylone i po paru minutach byłem już w samochodzie. Z ręką na schowku przemyślałem parę faktów. Wyszło mi, iż Mazzoni nie wyjdzie stamtąd zbyt szybko i jest to dla mnie jedyna szansa na rychły powrót do stolicy. Wyciągnąłem kable, postękałem, zadrapałem dłoń, ale już druty miałem spięte na krótko. Wytoczyłem wóz na drogę. Teraz już wiedziałem, że mam przed sobą kilkanaście godzin jazdy. Z boku na siedzeniu rozłożyłem mapę. Przyznaję, że uśmiechnąłem się od ucha do ucha, gdy uzmysłowiłem sobie, iż to Mazzoni będzie musiał korzystać z tego, kursującego co dwa dni autobusu. Jedyne, w czym czułem się nie w porządku, to świadomość, że on już chyba nigdy nie weźmie autostopowicza. Westchnąłem na tyle głośno, żebym usłyszał, iż mam wyrzuty. Opony z sykiem pożerały taśmę asfaltu.

Dwukrotnie po drodze musiałem nabierać benzyny, ale najwyraźniej posługiwanie się cudzą kartą kredytową miałem we krwi.

Wreszcie stolica. Nie miałem zamiaru jechać do domu, wydawało mi się to zbyt ciche. Zaparkowałem z tyłu uniwersytetu tak, aby samochód z odległą rejestracją nikomu nie rzucał się w oczy. Tylnym wejściem, po schodach pożarowych wszedłem do środka. Był wczesny ranek i spodziewałem się zastać Rischa już u siebie w gabinecie. Zawsze przychodził najwcześniej z nas wszystkich. Zapukałem do sekretariatu i wszedłem. Panienska miała refleks, gdyż zdążyła wrzucić do szuflady książkę zanim ukazałem się jej oczom.

- Jest profesor? - spytałem.

Na twarzy jej mieszało się zdziwienie z uspokojeniem.

- A, to pan? Nie, nie ma go.

- Jeszcze nie przyszedł?

- Dzisiaj go w ogóle nie będzie. Prosił, żeby zostawić mu wiadomość, jak będzie coś pilnego.

Odezwało się we mnie przecucie tak natrętne, że nie mogłem go powstrzymać.

- Pewnie ma pracę dla wojska, prawda?

Panna Ruff kiwnęła odruchowo głową i aż się zaczerwieniła.

- Panie profesorze, on prosił, abym nikomu o tym nie mówiła.

Posłałem uśmiech, jakim podrywam dziewczyny.

- Sam mi o tym mówił parę dni temu, tylko wyleciało mi to z głowy.

Zrobiłem świadomie pauzę.

- Więc kiedy wiem co on robi, niech pani powie, gdzie mogę go teraz znaleźć. Bardzo mi na tym zależy.

Pokręciła główką.

- Ale powie mu pan, że wyjątkowo dałam adres?
- Oczywiście, przecież tak właśnie było.
- Departament Zdrowia, ulica Długa 5.
- Dziękuję - cmoknąłem ją w policzek i wyskoczyłem na korytarz.

Panna Ruff coś tam jeszcze szczebiotała.

Departament Zdrowia mieścił się w dzielnicy banków i przedstawicielstw handlowych. Ciągły hałas, spaliny i ruch przez okrągłą dobę stanowiły humorystyczne miejsce na umieszczenie tego typu instytucji, ale nie to miałem teraz w głowie.

Przez główne wejście bez trudu dostałem się do środka. Dopiero, gdy minąłem okienko z napisem „informacja” i ruszyłem ku schodom, zaczął się mały rozgardiasz. Zza biurka sprytnie schowanego za palmami wyszedł smutny mężczyzna. Głowę bym dał, że poza nim ożywiło się w okolicy jeszcze parę osób.

- Proszę o przepustkę!
- Przepustkę? - jęknąłem w duchu. - Ja nawet dowodu nie mam.
- Przepraszam - udawałem głupiego. - Chcę się widzieć z profesorem Rischem z Uniwersytetu.
- Przykro mi, ale taki pan u nas nie pracuje.
- Ja wiem, że on tu nie pracuje, ale sądzę, że znajduje się teraz na terenie gmachu.

Pokręcił przecząco głową.

- To niemożliwe, musiałbym o tym wiedzieć.

Zerknąłem na schody. Myśl, aby umknąć dyżurnemu i samemu poszukać Rischa wydała mi się niedorzeczna. Przyszło mi do głowy, że mam jednak pewien atut.

- Proszę mnie wysłuchać - zaryzykowałem. - Niech pan sprawdzi, czy przypadkiem nie poszukujecie człowieka o nazwisku Filip Stawic. Ja nim właśnie jestem.

Musiał sobie coś przypomnieć, bo tylko na pozór powolnym krokiem wrócił do biurka. Nachylił się nad małym monitorem i pogmerał przy klawiszach. Nawet specjalnie długo nie wpatrywał się w wydruk.

- Więc twierdzi pan, że jest pan profesorem Stawicem - spytał z miną świadczącą, iż nie jest zbyt dobrym psychologiem.

Kiwnąłem radośnie głową

- Niech pan słucha... - zaczął, ale jak się okazało była i czysta forma.

Dwóch, nie wiadomo kiedy zmaterializowanych mężczyzn chwyciło mnie pod ramiona i zrobiło coś takiego z rękoma, że chcąc nie chcąc musiałem prawie dotknąć czołem podłogi.

- Zaprowadzić do izolatki - usłyszałem z góry głos dyżurnego.

Ze świadomością, że zaraz połamię mi ręce, byłem niesiony do windy, potem prowadzony korytarzem, a następnie już chyba z nadgorliwością wepchnięty kopniakiem do małego pokoiku. Trzasnął zamek. Z twarzą na gumowym obiciu zacząłem odgadywać, gdzie mam ręce i nogi.

Pozwolono mi czekać nie więcej jak dziesięć minut. Jeślibym nawet wątpił czy to głos Rischa, to pierwsze słowa jakie usłyszałem rozwiały wszelkie wątpliwości.

- Filip, czy ty wiesz na jakie niebezpieczeństwo nas narażasz?

Stary, poczciwy Risch. Nie dziwi się, że żyję. Nie cieszy się, iż nie zalano mnie azotem, a za to w imię obrony ogółu karci mnie za inicjatywę.

- Słyszysz mnie?

Poszukałem wzrokiem oczka kamery, ale obite ściany były tak jednolite, że już miałem im pogratulować dobrej roboty.

- Słyszę. Posłuchaj mnie lepiej. Opowiem wszystko, co dotyczy ostatnich dni. Później, jeśli uznacie że jestem chory, to możecie napuścić gazu i rozwiązać definitywnie sprawę.

Risch coś zabalgotał, ale ostro mu przerwałem. Proszę mnie posłuchać, to wam się przyda.

Opowiedziałem wszystko, o laboratorium, o ucieczce z Pallisonem, ukrywaniu się na wzgórzach i tak dalej. Gdy skończyłem poproszono mnie, abym poczekał. Czas ciągnął się jak guma. Starałem się myśleć o czymś innym.

Siedziałem tyłem do drzwi i nawet nie zauważyłem, kiedy je otworzono. Ujrzałem, iż umieszczono za nimi plastikową śluzę z wpustami manipulacyjnymi.

- Podejdz do drzwi. Musimy pobrać krew.

Podąłem rękę anonimowym rękawicom. Podciśnieniowa strzykawka bezboleśnie wyssała mi parę centymetrów krwi. Poproszono, abym wrócił na miejsce i drzwi zamknięto z powrotem.

Przyszli po godzinie. Głośny hałas świadczył, iż tym razem obeszli się ze służą bez ceregieli. Pierwszy wszedł profesor, za nim dwóch wojskowych ze zmieszanyimi minami. Żeby nie było wątpliwości, Risch miał na sobie mundur w randze majora. Stałem niepewny aż objął mnie ramionami i mocno uścisnął.

- Jesteś zdrow. Wybacz, że to tak długo trwało, lecz musieliśmy się upewnić.

- Znaleźliście go? To był mutant?

Risch uśmiechnął się do dwóch facetów. Odpowiedzieli mu blado.

- Nie mówiłem, że to zdolny chłopak? - pchnął mnie ku wyjściu. Właśnie wczoraj uzyskaliśmy ostateczną pewność. Ta diabelska Elfemia przyjęła trudną do wykrycia formę prawie nie wykrywalną w cytoplazmie, ale mamy ją.

- Wiecie już co wywołało mutację?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Jeszcze nie. Właśnie nad tym pracujemy.

Zwrócił się do jednego z mężczyzn.

- Proszę o formalne dołączenie profesora Stawica do naszej grupy w charakterze eksperta.

Wojskowy przymknął potakująco oczy.

- Dobrze, wyrażam zgodę.

Byłem znów sobą.

Rozdział VI

Jeden z trzech osobników zapukał do mieszkania zajmującego pół piętra, co w tej dzielnicy świadczy o dużych możliwościach finansowych właściciela. Otworzył im chudzielec około trzydziestki. Ubrany był w wytarte levisy, niedopiętą koszulę dżinsową i śnieżnobiałe adidasy. Chyba żałował, że nie zdążył ich jeszcze wybrudzić. Jeden z przybyłych podsunął mu pod nos rękę z otwartą legitymacją.

- Można? - spytał popychając drzwi.

Właściciel spokojnie przytrzymał je, z uwagą skonfrontował zdjęcie z twarzą i dopiero wtedy zdjął łańcuch. Weszli do pokoju.

- Proszę wybaczyć, ale wyjeżdżam z kraju na parę miesięcy i muszę skończyć pakowanie.

Spojrzeni na siebie, porozumiewawczo błyskając oczyma.

- Nie zajmujemy panu dużo czasu. Chcemy tylko dostać jedną informację.

On rzeczywiście wyjeżdżał. Otwarte szafy, meble zakryte pokrowcami i parę spakowanych walizek było wystarczającym alibi. Gdy rozmawiał, do ostatniej walizki pakował starannie owinięte w plastik koszule i bieliznę.

- Jestem do panów dyspozycji.

- Pan zna Jorga Helgstroma?

- Tak, od kilku lat.

- Czy pan wie czym on się zajmuje?

- Jest bakteriologiem, czy coś koło tego. Nigdy tym się dokładnie nie interesowałem. Czy coś mu się stało?

Ten z legitymacją zrobił nieokreślony ruch ręką.

- Miał wypadek i przez najbliższych, parę dni będzie nieprzytomny. Niestety, posiada on bardzo ważną dla nauki informację. Mianowicie dostarczył swojemu laboratorium interesujący środek chemiczny, który może być świetnym lekiem na zaburzenia układu krążenia, jak nas poinformowano. Wypadek spowodował, iż instytut dysponuje tylko minimalną ilością tego środka, co naturalnie przerywa tok badań. Z zapisków dowiedzieliśmy się, że to od pana dostał on ów specyfik. Czy mógłby pan udzielić informacji na ten temat?

Tamten już od paru zdań słuchał ich z większą uwagą.

- Domyślam się o co może chodzić - odezwał się po chwili i wyszedł do drugiego pokoju.

Najwyższy z przybyłych zrobił parę kroków do przodu tak, aby móc zerknąć przez uchylone drzwi.

- To będzie ta sprawa - powiedział człowiek wchodząc z kartką w rękę. Kiedyś zajmowałem się hodowlą kwiatów, teraz od kilku lat nie pozwalają mi na to obowiązki, ale jeszcze od czasu do czasu dostaję przesyłki z tej dziedziny.

Podał kartkę.

- Przesyłkę dostałem od nieznanego mi hodowcy z okolic Karlbone. Z listu wynikało, iż na bazie jakiegoś endemitu wyhodował Heliozę; kwiat o niecodziennym zapachu. W celu rozreklamowania wysyłał po kraju próbki nektaru. Prawdą jest, że miał on niesamowity zapach. Kto wie, gdyby nie mój wyjazd, może poprosiłbym o bliższe szczegóły.

- Czy ten nektar dostał od pana Helgstrom?

- Tak, wziął prawie wszystko. Zaraz, moment! - zamachał rękoma i rzucił się ku stoliczkowi nocnemu. Z szuflady wyjął plastikowe pudełko z brązową, już pomarszczoną kulką substancji na dnie.

- Zostawiłem sobie trochę.

Otworzyli i z wyraźną obawą powąchali.

- Przecież to w ogóle nie ma zapachu.

Człowiek roześmiał się.

- Zgadza się. Hodowca zaznaczał, że nektar po kilku tygodniach traci swoje właściwości i jest już do niczego. Dlatego chciał tym zainteresować kogoś z większą gotówką. Rozumiem, iż musi mieć dużą plantację, jeśli chce na to zwrócić uwagę przemysłu kosmetycznego.

Mężczyzna stojący dotąd z tyłu chrząknął.

- Rozumiemy. To chyba będzie wszystko, jako że adres hodowcy, jeśli się nie mylę, jest na firmówce listu.

Ten z legitymacją potaknął.

- W takim razie dziękujemy za informację i przepraszamy, że zwróciliśmy się w tak urzędowej formie. Ale pracownicy służby zdrowia bali się, że tylko policji powierzy pan tajemnicę.

Roześmieli się wszyscy, łącznie ze znajomym Helgstroma.

- Przekażcie panowie Jorgowi pozdrowienia ode mnie, jeśli będziecie mieli okazję.

Przytaknęli. W drzwiach minęli się z dwoma bagażowymi z napisem „Linco” na czapkach. Była to nazwa portu lotniczego, skąd odlatywały odrzutowce transkontynentalne.

Rozdział VII

Na jedynym wolnym od wykresów i zdjęć kawałku biurka kończyłem pisać sprawozdanie, gdy do pokoju wszedł Risch. Gestem ręki poprosiłem, aby mi nie przerywał. Parę uwag i wątpliwości, które należy wyjaśnić i już mogłem pod spodem złożyć podpis.

- Gotowe powiedziałem na głos, zadowolony z efektu kilkugodzinnej pracy.

- Nie da się odwołać wybuchu? - spytałem, ale on zajęty czytaniem, tylko pokręcił głową.

Trzy osoby miały decydujący głos w całej sprawie. Risch jako inspektor Departamentu Zdrowia, nieznany mi szef sztabu na Okręg Północny Kowers i znany mi z telewizji sekretarz Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego Steve Keler Or to podjęli decyzję, że po zebraniu wszystkich danych przez automaty cały ośrodek ma zostać unicestwiony ładunkiem nuklearnym. Motywowano to nieodwracalnym skażeniem laboratorium i chęcią posiadania całkowitej pewności, że przez jakiś głupi przypadek wirusy nie wydadzą się na zewnątrz. Niestety testy wykazały, że po ogrzaniu odzyskują normalne cechy.

- Dobrze - powiedział Risch odkładając na stół sprawozdanie. - Widzę, że doszliśmy do identycznych wniosków.

Uśmiechnąłem się pod nosem.

- Ten cholerny mutant ma tak niecodzienną budowę, że nic dziwnego, iż Pallison i jego współpracownicy nie mogli wpaść na ślad. Zresztą mieli na to za mało czasu.

- I nie mieli aparatu autodyfuzyjnego - dodał Risch. - powinniśmy dziękować Japończykom, że bez wahania przystali nam swój prototyp.

- Nie zapominaj, że obiecałem opisać im za to moją metodę krystaliczną.

Roześmieliśmy się, wiedząc, że w interesach nie ma uczuć.

- Mimo to sytuacja jest niejasna. Ciągłe nie wiemy, co było przyczyną mutacji.

- Ludzie z departamentu szukają źródła, skąd pochodziła owa Helioza.

- W porządku, ale czy ona była przyczyną?

- Widziałeś zdjęcia dziennika Helgstroma. Ostatni zapis mówi, że zaczyna dawkowanie roztworu z Heliozy. Dalej kartki są puste.

- To wszystko prawda, ale wciąż wydaje mi się, że zapomnieliśmy o jednej rzeczy.

Zamilkłem i wstając zza biurka zacząłem się przechadzać po gabinecie tam i z powrotem.

- Powiedz mi, czy to możliwe, aby rzadki, lecz w zasadzie dawno poznany wirus mógł w zastraszającym tempie przeistoczyć się w coś aż tak odmiennego. Mam przeczucie, że grał tu rolę jeszcze jakiś czynnik, który przeoczyliśmy.

Risch był zmęczony i akceptował moje wywody, nie mając zamiaru wtrącać swoich trzech groszy. Swoją drogą jakież walki wewnętrzne musiałem toczyć, aby się przekonać do tego człowieka. Na studiach, kiedy był jeszcze docentem, nazywaliśmy go Kalafior i przyznam szczerze, nie pamiętam dlaczego. Ludzie, gdy się przyzwyczajają do złośliwości, nie mogą z niej zrezygnować, chociażby powód konfliktu dawno był nieaktualny.

- Moment! - krzyknąłem tak głośno, że aż Risch wzdrygnął się w fotelu.

- Chyba wiem, co mi się nie podoba. Trzeba to sprawdzić.

Stałem przy drzwiach.

- Chodźmy. Muszę przejrzeć zapisy.

Risch poddał się memu zapałowi z chęcią wskazującą, że sam potrzebuje czegoś nowego.

Nigdy bym nie przypuszczał, że baza wojskowa może być tak wygodna. Tego typu obiekty zawsze kojarzyły mi się z surowymi bunkrami, wysokim, posypanym tłuczonym szkłem murem i każdym pomieszczeniem wypełnionym pod sufit bronią. Tej ostatniej, jak mi powiedziano, rzeczywiście nie brakuje, lecz to nie powód aby nie panowały tutaj znośne warunki. W końcu mieszkali tu ludzie. Kilka gabinetów, urządzone ze smakiem sypialnie, na korytarzach normalne dywany i gdyby nie mundury, w których chodzono, nigdy bym nie pomyślał, że jestem w ośrodku wojskowym.

Kiedy schodziliśmy po schodach, ktoś zawołał za nami. Obróciłem się.

- Przepraszam, czy pan jest tym Stawicem, któremu udało się uciec z laboratorium?

Zerknąłem na Rischa, ale ten tylko wzruszył ramionami. Mężczyzna, który zadał to pytanie był średniego wzrostu, silnej budowy, gruby w karku, o poczciwej twarzy. Nie znałem go.

- Tak, a dlaczego pan pyta?

Pociągnął nosem.

- Ma pan niesamowite szczęście - odparł. - Ja zaś za to, że nie dość czujnie sprawdzałem kontrolki dostałem nagane.

- Przykro mi.

- Ależ nie! Dlaczego ma być panu przykro?! - zawołał. - Analiza pańskiej ucieczki pozwoli na uniknięcie takich przypadków w przyszłości.

Podrapał się w głowę.

- Ma pan szczęście - dodał i bez słowa oddalił się korytarzem.

- Słyszałeś? - zwróciłem się do Rischa, ale ten nie podjął tematu.

Weszliśmy do sali kontroli. Stąd kierowano automatami, które zjechały do laboratorium. Miały tam zostać na zawsze, śluzę zalano zaraz potem betonem i plastikiem. Rząd siedzących wzdłuż ściany ludzi patrzył ze skupieniem w monitory śledząc ruchy robotów. Na najbliższym ekranie widać było fragment korytarza z leżącą na jego dnie cienką warstwą azotu. Był błękitny jak niebo i tylko leżący w nim powykęcany człowiek psuł cały efekt. Operator za pośrednictwem wysięgników automatu sprawnie dostał się do puszki mózgowej i wycinał właśnie kawałki tkanki do analizy. Nauczyłem się, że w bazie o całej historii w laboratorium mówi się jako o nieszczęśliwym wypadku. Martwy człowiek, ofiara nieszczęśliwego wypadku polegającego na tym, że inni ludzie z obawy o własną skórę otruli go, a potem zamrozili, stał się z podmiotu zwykłym przedmiotem.

Ciekawe, czy w wypadku zdrady tajemnicy cały personel bazy też się rozstrzeluje? - pomyślałem w duchu i na tym poprzestałem.

Wszedłem do kabiny razem z Rischem. Dzięki temu żądany materiał dostałem po minucie. Po raz czwarty miałem oglądać zgon Helgstroma. To obrzydliwe, ale nawet teraz nie wydawał mi się bliższym człowiekiem. Mimo kopiowania, taśma odtwarzała wszelkie szczegóły tak samo dobrze, jak w pokoju Pallisona.

- ...obróciłem się i to już się stało... Helgstrom charczał wyraźnie tracąc oddech. - Zauważyłem, że Margaritt, Melza i Metody zataczają się jak pijane... powietrze, ze świstem przechodziło mi między zębami. Myślałem, że to jakaś reakcja powstrząsowa...

Twarz nie była cała objęta przez kamerę. Zasłaniał ją blat stołu.

- Inne mały chowały się po kątach... potem nagle się zaczęło... w tle nagrania słychać było odgłosy szamotaniny i zwierzęce wrzaski.

Wyłączyłem taśmę. Wiedziałem, co znajdę dalej. Pytania Pallisona, coraz bezładniejsze odpowiedzi, majaczenia i tak aż do końca. Zapaliłem światło w kabinie i wyjąłem zabrany z góry odpis.

- Posłuchaj, coś ci przeczytam - zwróciłem się do Rischa. - Jest to opis dotyczący przyczyn zgonu małp w wiwarium.

Risch milczał. Widać było, że jeszcze nie rozumie o co mi chodzi.

- Zauważ, iż raport posługuje się imionami małp. Było to możliwe, gdyż posiadają one tabliczki na szyi. Czytam: w wiwarium znajdowało się sześć osobników... tak... trzy z nich Margaritt, Metody i Melza zdechły w wyniku ekspansji wirusa, u trzech następnych Olgi, Olstera i Ora zgon był kwestią minut, ale został przyspieszony przez użycie gazu ksylonowego. Świadczą o tym ślady w płucach, wybroczyny... i tak dalej. Rozumiesz?

Risch myślał jak diabli.

Może nie wiesz, lecz w laboratoriach jest taki zwyczaj ze małpy z kolejnych transportów nazywa się imionami na tę samą literę alfabetu. Ułatwia to potem orientację. Ze słów Helgstroma i raportu wynika, że tylko u małp na literę „M” nastąpiła mutacja. Małpy na literę „O” uległy już wtórnemu zakażeniu. One to przecież miały w komórkach ciała Boniewa.

Mówiłem szybko, jakbym się bał, że mogę zapomnieć.

- Pallison mi mówił, że małpy były szczepione w dwóch grupach, w odstępie trzydniowym. Wniosek jest jeden. W ciągu tych trzech dni laboratorium, bądź sama sekcja zostały poddane jakiemś wpływowi, który uczynił wirus Elfemii gotowym na mutację.

Szturchnąłem go palcem.

- Rozumiesz? Ten cholerny środek mógł być tylko katalizatorem, mutacja mogła nastąpić wcześniej.

Risch nigdy nie wydawał mi się tak rześki jak wtedy, po moich słowach. Zerwał się z fotela.

- Poczekaj tu. Muszę sprawdzić jedną rzecz - powiedział i wyszedł.

Zagłębiłem się w fotel i jeszcze raz prześledziłem moje rozumowanie.

Risch wrócił wściekły jak diabli.

- Miałeś rację. Ci głupcy nic mi nie powiedzieli - kłapał na fotel. - Wyobraź sobie, że spytałem oficera z nadzoru jakie były warunki fizyczne w dniach 12-15 kwietnia, bo jak sprawdziłem, te dni miałeś na myśli.

Potwierdziłem.

- Ten dureń zaczął coś oględnie mówić, że wszystko było w normie, ale wyczułem, że kręci i jak wsiadłem na niego z rurdą to skierował mnie do Kowersa. Ten niechętnie wyjaśnił, o co chodzi. Wyobraź sobie, że ni mniej, ni więcej, tylko około stu pięćdziesięciu kilometrów stąd, dwunastego kwietnia miał miejsce nieudany podziemny wybuch jądrowy. Żeby było beznadziejniej, sama sprawa nie była zbyt czysta. Ktoś tam kogo podplącił i w efekcie niejaki koncern „Oilex” dostał zgodę na detonowanie dwóch ładunków. Chcieli w ten sposób zwiększyć filtrowość skał.

Uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- Wybuch okazał się dwudziestokrotnie silniejszy niż oczekiwano. Kowers twierdzi, że trudno ustalić przyczynę z powodu olbrzymich zniszczeń, podobno wszyscy tam zginęli. Najprawdopodobniej pod ziemią znajdowały się złoża pierwiastków naduranowych i bomba atomowa zadziałała jak zapalnik; ale to zmartwienie dla geologów.

- Jak można zatuszowywać taką sprawę?! - nie wytrzymałem.

- Zgadza się. Kowers chyba jest idiotą, bo powiedział mi, iż nie sądził, aby wzmożone promieniowanie jonizujące, jakiemu było poddane laboratorium kilka tygodni wcześniej, miało znaczenie. Przecież to było ponad pięć jednostek Galla.

Rany Boskie, aż dziw, że personel się nie rozchorował, ani ci żołnierze.

Łamigłówa rozwiązana - Risch aż kipiał. - Należą ci się wielkie brawa, że nie dałeś się zamęcić.

Puściłem to mimo uszu.

- Więc tak, dwunastego szczepiona jest seria na „M”, tego samego dnia pod wpływem promieniowania wirus ulega mutacji i najprawdopodobniej przechodzi do postaci utajonej, druga seria małą szczepiona piętnastego ma zwyczajną Elfemię. Potem Helgstrom dawkuje środek, pobudza on zmutowany wirus i lawina toczy się...

Zamilkłem, gdyż przysłała mi do głowy myśl, Sprawiała, że poczułem się tak, jakby ktoś mi położył na karku lodowatą dłoń.

- Trzeba się dowiedzieć, jaki zasięg miało promieniowanie i czy przypadkiem nie objęło jeszcze kogoś chorego na Elfemię.

Risch zrozumiał. Ujrzałem to w jego oczach.

- O zasięg się pytałem, nie wyszedł poza nasz kraj. Chyba nie wyobrażasz sobie, że w naszym klimacie ktokolwiek mógłby chorować na klasyczną dla tropików chorobę.

Mówił za dużo. Znaczyło to, że próbuje przekonać samego siebie.

- Przecież nigdzie indziej nie prowadzi się badań nad Elfemią, sprawdzałem to.

- A sprawdziłeś w raportach medycznych, czy przypadkiem nie przywłókł ktoś tej choroby z zagranicy?

- Nie, ale przecież od tylu lat...

Nie dokończył. Wiedziałem, że tak zrobi. Może tylko sądziłem, że wyjdzie normalnie, ale on po prostu wybiegł. Przyjrzałem się odbiciu w szkle monitora i zacząłem obgryzać paznokcie.

Po ponad półgodzinie czekania poszedłem na górę. Znalazłem go siedzącego w gabinecie ze świeżym teleksem w ręku. Uczynił ruch, jakby chciał mi go podać, ale ręka opadła na blat.

- Miałeś rację - powiedział cicho. - Zanotowano jeden przypadek Elfemii. Jedenastego kwietnia, na campingu w Nel Grando. Po tygodniowej kwarantannie, kiedy objawy ustąpiły uznano orzeczenie za pomyłkę i zwolniono wszystkich do domu. Na tym campingu było sto piętnaście osób.

Usiadłem w fotelu.

Rozdział VIII

Kiedy Risch odłożył raport, Kowers - szef sztabu na okrąg północny, jeden z trzech wiceministrów broni, chyba po raz pierwszy w swojej karierze był blady.

- Panie generale - zwrócił się do niego Keler - domyśla się pan, co prezydent powiedział po zapoznaniu się z tym raportem.

Kowers opuścił głowę.

- To mój zastępca, generał Slayton podpisał zgodę na detonowanie ładunków.

- Pana były zastępca - odparł oschle Keler.

Kowers najwyraźniej potrzebował kogoś, kogo mógłby trzasnąć w głowę.

- Tak - wydusił. - Po otrzymaniu telefonu z kancelarii prezydenckiej udzieliłem mu natychmiastowej dymisji. Wiem, że będzie miał o to pretensje cały sztab.

- To mnie nie interesuje. Prezydent pamięta, że oddał pan dla kraju nieocenione usługi i tylko dlatego zgodził się nie zauważyć, iż faktycznie akceptował pan nieobliczalne posunięcia generała Slaytona.

Kowers milczał.

- Ładunki nuklearne to nie marchewka, którą można handlować. Jak poza tym można było nie przeprowadzić dokładnych badań geologicznych, opierając się na tendencyjnych raportach koncernu „Oilex”? Prezydent życzy sobie również, aby pan osobiście wyjaśnił metody, jakimi generał Slayton starał się ukryć całą sprawę - spojrzał wyczekująco.

- Zapewnię pana prezydenta, iż sprawę wyjaśnię do końca.

- Mam nadzieję - odwrócił głowę. - Proszę, panie profesorze, o przedstawienie sytuacji w Nel Grando.

Risch objął wzrokiem pozostałych mężczyzn.

- W dniu jedenastego kwietnia na campingu w Nel Grando zachorował człowiek o nazwisku Roland Cobb, będący pracownikiem centrali handlu zagranicznego. Tuż przed chorobą wrócił on z jednego z państw środkowoafrykańskich, gdzie został wysłany w misji handlowej. Zaraz po powrocie wziął miesięczny urlop i przyjechał bezpośrednio do Nel Grando. Lekarz, który go badał, stwierdził jako przyczynę choroby wirusowe zakażenie Elfemią. Temu człowiekowi, jego zdecydowaniu, możemy dziękować, że nie doszło do większej tragedii. Przekonał on komendanta tamtejszej policji o konieczności zamknięcia campingu i niewypuszczania nikogo do czasu przyjazdu komisji lekarskiej. Na czwarty dzień przybyła ona z Maxo i stwierdziła, że żadna z osób nie przejawia objawów Elfemii. Chorobę Rolanda Cobba uznano za nietypową grypę. Nasz lekarz musiał nasłuchać się z pewnością wielu nieprzyjemnych słów. Kwarantanna została zniesiona.

Odłożył kartkę i wziął do ręki zapiski.

- Teraz pozwolą panowie, że przedstawię interpretację zgodnie z obecnym stanem naszej wiedzy. Jedenastego kwietnia u Rolanda Cobba wystąpiły pierwsze objawy Eufemii. Jako że okres zakaźny dla tej choroby zaczyna się równi w tym czasie, możemy być pewni, że jedynymi osobami, które Cobb mógł zakażać byli ludzie z campingu i służba lekarska w Nel Grando. Następnego dnia w wyniku promieniowani wirus uległ najprawdopodobniej mutacji i wszyscy zakażeni łącznie z Cobbem, przestali odczuwać jego skutki. Mutant przeszedł w stan ukryty. Zaznaczam, że nie mamy pewności, że to się stało,

ale wiele na to wskazuje.

Steve Keler, sekretarz Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego zawsze z krystaliczną precyzją zadawał najkonkretniejsze pytania.

- Przyjmijmy to. Co i w jaki sposób może spowodować aktywizację choroby?

- Z tego co wiemy, zaszczepienie roztworu Heliozy daje stuprocentową pewność. Ale jest możliwe, że wystarczy sam kontakt węchowy.

- Czyli powąchanie tego kwiatu może wywołać reakcję?

- Nie możemy tego wykluczyć.

- Rozumiem - chwilę milczał. - Mogę teraz panom przekazać resztę informacji. Niestety, są one złe.

Ciężkie powieki Kowersa uniosły się w górę. Już obydwaj z Rischem czekali na słowa tego człowieka.

- Jak mi doniesiono przed samą konferencją, w domu ogrodnika, który wyhodował Heliozę miała miejsce kradzież. Według zeznań właściciela jakie złożył wtedy policji, ukradziono mu dwie paczki po sto sztuk nasion każda. Dzisiaj w nocy próbowano kradzieży po raz drugi, tym razem sprawca został ujęty.

Chwila ciszy, gdy oswajali się z tą wiadomością.

- Panie sekretarzu, to niemożliwe, aby sprawca wiedział jakie potencjalne niebezpieczeństwo kryje w sobie ta roślina. Albo jest to przypadek, albo ingerencja konkurencji.

- Zgadzam się z panem, profesorze. Dlatego poleciłem majorowi Zoltke, jednemu z najinteligentniejszych ludzi mego departamentu, aby za wszelką cenę wyjaśnił wszystkie okoliczności. Rekapitulując, w całej sprawie są dwa nurty. Pierwszy to ludzie z campingu, którzy w tej chwili mogą nosić uśpioną chorobę, a drugi to Helioza. Za wszelką ceną nie możemy dopuścić do ich połączenia się. Gdy tak się stanie, nie opanujemy sytuacji.

Risch uśmiechnął się blado.

- My będziemy robić wszystko, aby znaleźć antidotum.

Chyba każdemu zabrakło pewności w jego słowach:

Rozdział IX

Pokój był czarno-biały. Gdyby miano tu kręcić film kolorowy, byłoby to czystym marnotrawstwem taśmy. Teraz można by było z równym powodzeniem ograniczyć się do filmu niemego. Siedzący po jednej stronie biurka major Zoltke sennie palił papierosa. Na krześle po drugiej stronie tkwił mały przykurcz o twarzy recydywisty i uśmiechał się z wyższością. Pilnujący drzwi dwaj policjanci byli kamiennie obojętni. Zoltke zgasił papierosa tak, aby aresztant widział, że została ponad połowa. Przełknięcie śliny było jedynym dowodem na to, że lubi palić.

- Więc twierdzisz, że włamałeś się do szklarni Froma po raz pierwszy tej nocy?

- Nie włamałem, ale wszedłem. Chciałem przenocować.

- Naturalnie. Masz tak rozwinięty instynkt, że przeszedłeś przez płot dokładnie w tym samym miejscu, co włamywacz sprzed tygodnia, tak samo jak on zarzuciłeś na mur koc, aby się nie pociąć i dokładnie wiedziałeś, które kraty są podpiłowane.

Facet wzruszył ramionami i ze spokojem patrzył, jak Zoltke rusza ku niemu.

- Ty głupi, śmierdzący knocie, jeśli myślisz, że mi zależy na tym abyś siedział, to się mylisz - mówił, jakby od niechcenia. - Chcę tylko się upewnić, czy to ty przed tygodniem ukradłeś nasiona ze szklarni, a jeśli tak, to dla kogo. - Powiesz mi to, rozumiesz?! - syczał Zoltke facetowi w samą twarz. - Powiesz mi kto cię przysłał. Ja to po prostu muszę wiedzieć.

Tamten zaczynał się bać, ale szedł na zaparte.

- Proszę tu podejść - zwrócił się Zoltke do siedzących przy drzwiach.

Podeszli.

- Podwińcie mu lewy rękaw i mocno trzymajcie.

Zrobili co kazał, i ze zdumieniem patrzyli na jego czynności. Prowincjonalny posterunek w Karlbone nie był przyzwyczajony do takich metod. Facet zresztą też. Zaczął się już denerwować, gdy Zoltke wyjął z torby strzykawkę i parę ampułek.

- Mam prawo do adwokata - coś sobie przypomniał.

- Nie żartuj - odparł major i ostentacyjnie powoli napełnił strzykawkę.

- Mam nadzieję, że nie dostaniesz zakażenia - dodał wbijając igłę w przedramię.

Mimo iż facet wygiął się w uścisku policjantów, trafiła go prosto w żyłę.

- Będziesz za to siedzieć - czał facet. - I tak wam nic nie powiem.

- Chłoptysiu - Zoltke ujął go pod brodę. - Jeśli myślisz, że był to środek na mówienie prawdy, to grubo się mylisz.

Ręką odesłał policjantów na miejsce. Facet siedział sztywno jakby połknął kij i z niepokojem wsłuchiwał się w organizm.

- Jest to pewien specyfik, który sprawi, że za chwilę dostaniesz zawału serca. Naturalnie nieprawdziwego, ale zapewniam cię, że będziesz się czuł, jakbyś miał ich dwanaście naraz. Czyżby? - spytał się dobrodusznie, gdyż tamten ze skurczem bólu na twarzy chwycił się za serce.

- Będzie cię to boleć tak długo, jak ja zechcę. A jeśli uważasz, że przetrzymasz każdy ból to zapewniam cię, że po paru godzinach tak sobie rozpierniczysz serce, że długo nie pociągniesz. Rozumiesz?

Facet krzyknął przeraźliwie i spadł na podłogę. Cierpiał, gdyż nogi rytmicznie waliły o biurko. Zoltke spokojnie napełniał w tym czasie strzykawkę zawartością drugiej ampułki. Jeden z policjantów, chyba bardziej nerwowy, wyszedł z pokoju. Zoltke nachylił się nad leżącym.

- Słyszysz mnie, prawda?

Naprężona szyja nieomalże tryskała krwią, a palce jakby chciały wyrwać źródło bólu z piersi. Charczał i skomlał jednocześnie.

Jeśli mi powiesz teraz wszystko, to dam ci ten środek - podsunął mu strzykawkę przed oczy. - Zaraz ci przejdzie.

Głowa faceta podskakiwała nierytmicznie, jakby podrzucana na niewidocznych wybojach.

- Zrozum - Zoltke zbliżył usta do ucha leżącego. Ja muszę się tego dowiedzieć. Jeśli mi nie powiesz, to będziesz kaleką do końca życia. Będziesz już do niczego. No... powiedz, czy to ty włamałeś się tydzień temu?

Ślina tocząca się z ust przeszkadzała tamtemu w mówieniu.

- Tak... - powiedział wraz z wielkim bąblem płwocin.

- Dobrze - łagodnie odpowiedział Zoltke. - A teraz podaj kto cię wysłał. Zaraz ci wstrzyknę odtrutkę.

- Firma „Kipso”, wicedyrektor Zayfel; chcieli sami hodować ten kwiat - dyszał. - Oni siedzą w kosmetykach.

Zoltke skinął głową.

- Po co włamałeś się po raz drugi?

Tamten twarz miał idealnie siną, z grubymi na palec żyłami

- Chcieli więcej nasion... miałem przywieźć im dwie paczki... a jedną zgubiłem na lotnisku.

- Zgubiłeś? Na pewno?

- Jezu! Przecież bym nie kłamał, wszystko ci mówię. Daj zastrzyk ty zafajdany kapusiu! - wyglądało, że traci oddech.

Po zastrzyku prawie momentalnie jego ciało rozluźniło się i opadło na podłogę. Dał się wyczuć w powietrzu ostry zapach potu. Zoltke był przy oknie, kiedy do pokoju wrócił policjant z komendantem posterunku.

- Panie majorze! Niech pan nie stosuje takich metod u mnie. Tak nie wolno.

Patrzył się to na Zoltkego, to na leżącego człowieka.

- O jakie metody panie komendancie? Już po wszystkim. Przesłuchanie skończone. Można go zabrać do celi Pana zmartwieniem niech będzie jego pilnowanie, a nie ocenianie mojej działalności. Dobrze?

Leżący ciężko oddychał przez usta. Komendant spojrzał na niego leżąc na stole strzykawkę i pokiwał głową

- Rozumiem. Niech pan się nie martwi, będziemy go pilnować.

Przed wyjściem majora podali sobie ręce.

Rozdział X

Wyspa Ormoz znajduje się dwanaście kilometrów od lądu stałego i już na pierwszy rzut oka nie można się spodziewać po niej zbyt wiele. Wysokie grzywacze biją tu zaciekle o skaty prawie przez cały rok, a czarny i skalisty brzeg nie pokryty żadną roślinnością powinien zniechęcić każdego nowo przybyłego. Tylko ktoś o dobrym wzroku i wyjątkowym szczęściu do pogody może dojrzeć stąd ląd, jeśli wybierze się nad brzeg, nie bojąc się wiatru czy często padających deszczy. Jedyne osłonięte miejsce jest płytką zatoczką, gdzie po bokach na błocie leży zawsze gęsta piana. Wiedzie tutaj umocniony rzez beton kilkunastometrowy kanał. W basenie zatoczki mogą się pomieścić dwa, może trzy kutry motorowe. Na samą połączyć wyspy trzeba się wdrapać ścieżką, biegnącą wydmuchanym przez wiatr żlebem wciętym w stromy brzeg wyspy. Tam zaś znajdują się budynki, postawione prawie sto lat temu przez nie istniejący już zakon Molezów, który, jak się okazało, bardziej interesował się przemysłem, niż medytacjami. Wszystkie ich dobra, jak i samą wyspę przejął przed kilkunastu laty Departament Bezpieczeństwa Narodowego i używał w wiadomym tylko sobie celu. Główny gmach zakończony był wysokim na parę metrów masztem telewizyjnym oplecionym pajęczyną dodatkowych anten.

Taki mniej więcej widok ukazał się moim oczom, kiedy przywieziono mnie tutaj helikopterem, abym mógł zgodnie z życzeniem Rischa zająć się ludźmi podejrzanymi o chorobę, których postanowiono ściągnąć z całego kraju. W pierwszej chwili wahałem się nad decyzją, ale wieść, że wernisaz Marii był wielką plajtą i świadomość, że szuka ona teraz pocieszenia, stanowiły dla mnie ostateczny argument. Zdobyłem się tylko na jedną rozmowę telefoniczną i sądzę, że stanowiąc dla niej wystarczający pretekst, aby znaleźć sobie nowego adoratora.

Osobą, która rządziła na wyspie był komendant Fligerty, człowiek wyraźnie lubujący się w porządku i mający tendencję do zamordyzmu. Podejrzywałem go o to, że śpi z regulaminem pod poduszką. Już pierwszego dnia po przylocie, wieczorem, przyszło mi przeprowadzić pierwszą z nim rozmowę.

- Panie Fligerty, proszę mi powiedzieć ile osób może pomieścić ten budynek, przy zapewnieniu znośnych warunków?

Komendant myślał dobre kilkanaście sekund zanim się odezwał.

- Z pewnością trzysta osób tu się zmieści.

- Pańska załoga i personel medyczny liczą w sumie nie więcej niż czterdzieści osób.

Skinął głową.

- Pan inspektor Risch przekazał mi listę osób, które mają być przywiezione tutaj na kwarantannę. Jest ich sto osiemnaście. Do tej pory przybyło osiemdziesiąt sześć. Prawda?

Mówiłem tak ładnie, że nie sądziłem, iż wyczerpię jego cierpliwość. Był jednak człowiekiem konkretnym.

- W porządku. Sądzę, że wiem o co panu chodzi. Chce się pan spytać, dlaczego w jednym z pawilonów trzymamy ponad dwadzieścia osób nie pozwalając wychodzić im na zewnątrz.

- Zgadza się.

- Niech pan posłucha. Moim osobistym przełożonym jest sekretarz Keler i jego decyzje muszę wykonywać. Osoby, o których mówimy, przy próbie dostarczenia ich tutaj stawiały opór i nie chciały zgodzić się na izolację. Nie znam szczegółów, ale wiem, że ich obecność u nas jest konieczna. Mam

rację?

Przytaknąłem czując niesmak do całej tej sprawy.

- Dlatego kazano mi trzymać ich w zamknięciu. Poza tym opiekują się nimi lekarze.

- Opiekują?! - wydałem wargi. - Przecież oni trzymają ich na środkach oszałamiających. Równie dobrze mogliby ich związać.

Fligerty głośno wytarł nos i uśmiechając się do siebie schował chusteczkę.

- Panie profesorze, powiedzmy sobie szczerze, przysłano pana tutaj nie do opieki nad pacjentami, ale do robienia jakichś tam badań. Niech pan to robi, a resztę zostawi nam, bo my jesteśmy odpowiedzialni za tych ludzi.

Pożegnałem się oschle i wyszedłem na korytarz. Nowo przybyłych łatwo dawało się rozróżnić po niepewnych minach i zagubionym spojrzeniu. Oficjalnie powiedziano im, że choroba, na którą zapadł Cobb na campingu przed dwoma miesiącami była rzadko spotykaną odmianą, tu wymieniano łacińsko brzmiącą nazwę, i ze względu na to, że okres inkubacyjny może przeciągnąć się do pół roku, taki czas muszą zostać pod opieką lekarską. Żadne wizyty ani kontakty telefoniczne nie wchodziły w rachubę. Zgodzono się jedynie na listy. Zapewniono ich, że nie będą mieli najmniejszych kłopotów z pracą, gdyż opiekę nad nimi miał przejąć minister tego resortu. Przydzielono również człowieka, który miał dbać o ich interesy bankowe i urzędowe. To, że wszelkie pisma i listy były starannie cenzurowane, nie mówiąc o tych, które przychodziły z zewnątrz, już nikt nie musiał wiedzieć. Co bardziej ciekawskich straszono przepisami zdrowia, mamiono obficie zaopatrzoną barem, biblioteką bądź salą gier. Tych najbardziej zadziornych i dociekliwych odizolowywano od ogółu i umieszczano w bocznym pawilonie, gdzie całymi dniami leżeli naszpikowani środkami psychotropowymi. Ale nie zdarzało to się zbyt często. Chociażby dlatego, że wszystkich ludzi już zawczasu podzielono na cztery grupy, nie mające praktycznie ze sobą kontaktu.

Ja mogłem się poruszać po całym terenie, ale sugerowano mi niedwuznacznie, że moje miejsce jest w pracowni. Tam też większość czasu spędzałem. Mając do pomocy asystenta i dwóch analityków sporządzałem zestawy i próbowałem jeszcze coś wyssać z materiałów zebranych w laboratorium. Ono samo już nie istniało. Podobno poza niewielkim uszkodzeniem pobliskiej bazy wybuch przebiegł bez zarzutu. Niestety wszelkie analizy porównawcze i dodatkowe odczyty. Nie przynosiły nic nowego. Naturalnie, wiedziałem coraz więcej o budowie mutanta, o zmianach chorobowych, ale nie mogłem wpaść na trop jakiegokolwiek przeciwsrodka. Swoją drogą, od momentu, kiedy uznano, że nie będzie się przeprowadzać doświadczeń na aktywnym wirusie, domyślałem się bezowocności dalszych działań. Ale sam przyznawałem, że ryzyko było zbyt wielkie.

Zostały mi jeszcze badania samych pacjentów. Pobierałem im krew i wycinki tkanki, ale zgodnie z oczekiwaniami wirus nie ujawnił się. Nie było to rzeczą zaskakującą, jako że miał się znajdować w stanie latacyjnym.

Najbardziej byłem ciekaw wyników Rolanda Cobba, który z całą pewnością był zarażony i wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi powinien być nosicielem mutanta. Przez trzy dni męczyłem go na wszelkie możliwe sposoby i nic. Gdybym nie znał sytuacji mógłbym mu przypiąć tabliczkę z napisem „okaz zdrowia”. Ale trzeba przyznać, że ten człowiek zainteresował mnie również z innych powodów.

Krępy, lekko siwiejący na skroniach, nosił grube okulary. W chwilach zdenerwowania jego twarz przypuszczalnie nabierała żywych kolorów. Mówię przypuszczalnie, gdyż nigdy nie zdarzyło mi się go widzieć zdenerwowanym. Zawsze spokojny, sumiennie zgadzał się na wszystko, co z nim wyrabiałem. Ostatniego dnia badań, kiedy wiedziałem już, że jego osoba nie przyniesie nic nowego medycynie, popatrzył na mnie znad opuszczonych okularów i najspokojniej w świecie powiedział.

- Jestem pewien, że nie powiedzieliście nam wszystkiego o całej sprawie.

Gdyby był w tej chwili w pokoju ktoś poza nami, musiałbym wystąpić z całą serią okrzyków oburzenia i zdziwienia, ale w tej sytuacji mogłem milczeć. Patrzył na mnie, a potem pokiwał głową.

- Rozumiem, dyskrekcja przede wszystkim. Pan jest w porządku, ale ci ludzie Fligerty'ego nie podobają mi się.

- To są lekarze służb wewnętrznych, mają wysokie kwalifikacje.

- Medyczne może, nie znam się na tym, ale moralności w nich nie ma za grosz.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Przecież to się rzuca w oczy. Ich największym zmartwieniem jest to, aby nikt stąd nie uciekł. Poza tym domyślałem się, na czym polega ten rozstrój psychiczny, któremu tak nagle ulega część z nas.

Na Boga - pomyślałem. - On mówi o tych z pawilonu.

- Dlatego też siedzę na gębie i nawet nie chcę wiedzieć co tu jest grane. Nie chcę wiedzieć w każdym razie do chwili, gdy nie wymyślę jak stąd można uciec. Gdy już będę wiedział, wtedy się zastanowię. To mi polepszy punkt widzenia.

- Dlaczego pan mi to wszystko mówi?

- Dlaczego? - rozszerzyły mu się oczy. - Jedziemy na tym samym wózku. Pan przecież pracuje na uniwersytecie.

Skinąłem głową.

- Tacy ludzie nie mieszają się do podobnych spraw, chyba że przypadek ich zmusi.

Wstał widząc moje zaskoczenie.

- Umiem dużo wypić, a gadane też mam, dlatego ochrona pozwala mi na trochę więcej niż innym. Może wymyślę, jak można opuścić ten uroczy zakątek.

Był już u drzwi, kiedy zawołałem za nim.

- Proszę się nie martwić!

- O co?

- To, co pan mówił zostanie między nami.

- Sądzi pan, że gdybym tego nie wiedział, mówiłbym cokolwiek?

Zostawił mnie z chaosem w głowie. Przypomniał mi też, że od czasu, gdy przestałem widywać Rischa straciłem rozeznanie, co się dzieje na zewnątrz. Jak to Risch powiedział?

- Pamiętaj, tutaj pilnujemy tylko jednej sprawy. Jest jeszcze druga, z tą może być o wiele gorzej.

Rozdział XI

Przez kratownicę pól, w stronę jedynej ocalałej przed rekultywacją kępy drzew jechały transportery wojskowe i gazik. W nim to na rozkraczonych nogach, trzymając się rękoma ramy, jechał generał Kowers. Wręcz czuł w ustach smak goryczy, tej którą były zaprawione jego myśli.

Dlaczego akurat mnie musiało to spotkać? - przeżuwał z wściekłością. - Zawsze takie sprawy załatwiano się po cichu, a tu taki cholerny zbieg okoliczności.

Wiedział, że musi teraz uważać na każdy swój krok, gdyż nawet najmniejsze potknięcie może definitywnie pogrzebać dalszą karierę. Poczucie bezradności utrzymywało się z każdym przejechanym metrem. Bezmyślnie patrzył na mur otaczający posiadłość Eskina Froma, człowieka, który wyhodował Heliozę. Przez niskie zarośla można było dostrzec błyski dachów szklarni ustawionych równymi rzędami, prostopadłe do drogi. Jeszcze parędziesiąt metrów i zatrzymali się przed zamkniętą bramą. Chłopcy najwyraźniej wzięli sobie do serca jego słowa o zdecydowanym zachowaniu, gdyż już dwóch przeskoczyło bramę. Dwa cięcia i droga stała otworem. Niszcząc gazon przed wejściem zatrzymali się przy ścianie niewielkiego, ale pamiętającego z pewnością ubiegły wiek dworku. Przez duże drzwi wyszedł na ganek Eskin From.

Był chudym i drobnym człowieczkiem, około pięćdziesiątki, zadbanym, eleganckim i obrzydliwie cynicznym. Wystarczyło raz zobaczyć jego twarz, aby zrozumieć, że poglądy i czyny tego człowieka zależą wyłącznie od ich opłacalności. Wąskie, bezkrwiste wargi potrafiły się uśmiechać do wszystkiego, co mogło przynieść pieniądze. Teraz ich jeszcze nie czuł i dlatego, mimo wczesnej pory, stał na stopniach z gładko ulizanymi na tył włosami i naciągniętym na twarz grymasem oburzenia.

- Czy mogę wiedzieć jakim prawem wjechaliście na mój teren i zniszczyli mi kwiaty?

Z gazika stojącego akurat pośrodku połamanych tulipanów wysiadł Kowers. Jego leniwe i pozornie nieruchome oczy wycelowały w twarz Froma.

- Pan jest właścicielem? - spytał, jakby mogły być co do tego wątpliwości.

- A... - From aż się jękał - pan myślał, że kim?

Kowers sapnął.

- Wolę nie mówić, gdyż nie chcę mieć sprawy o zniesławienie.

From wybałuszył oczy.

- Jak pan powiedział?

- Uspokój się pan, dobrze?

Wyskakujący z wozów żołnierze w biegu otoczyli półkolem rozmawiających mężczyzn. Trzeba przyznać, że From dostrzegł to i już nie powiedział paru wyrazów, które przyszły mu na myśl.

- Jestem generał Kowers, wiceminister broni - przedstawił się jego antagonistą. - Powiem krótko, bo nie mamy czasu. Dzisiaj nad ranem przelatujący nad pańską posiadłością samolot, w wyniku awarii komory zrzutowej zgubił kilka pojemników z, nazwijmy to, czynnymi biologicznie substancjami. Jest sprawą najwyższej konieczności, aby nastąpiło jak najszybsze unieszkodliwienie ich. W każdej chwili może nastąpić skażenie gleby i powietrza. Skutki będą nieobliczalne.

From zawinął poły szlafroka i usiadł na stopniu.

- Ale ja mam pecha - jęczał. - Najpierw włamanie, teraz wy. Szybko znajdźcie te pojemniki, żeby mi

tylko terenu nie zniszczyły.

- My musimy je natychmiast zniszczyć, panie From.

- A kto zapłaci za szkody?

- Pan mnie nie zrozumiał. My nie mamy czasu na ich szukanie. Dla pewności spalimy całą pańską posiadłość, łącznie z domem i to w przeciągu najbliższych godzin.

From uniósł głowę ku górze tak powoli, jakby miał tam kilkukilogramowy odważnik.

- Czy pan zwariował?! Cały mój dobytek, ja tu mieszkam od trzydziestu lat... cały mój dobytek - głos rwał mu się z przejęcia.

Twarz Kowersa nie wyrażała ani zdumienia, ani przestachu z tej prostej przyczyny, że nie wyrażała żadnych uczuć.

- Ma pan piętnaście minut na zebranie dokumentów, pieniędzy, biżuterii, czy diabli wiedzą czego jeszcze. Naturalnie to wszystko będzie poddane profilaktycznemu odkażeniu. Ile osób znajduje się w tym domu poza panem?

Hodowca był tak oszołomiony, że zanim zaczął ponownie wrzeszczeć odpowiedział.

- Moja narzeczona, pomocnik i trzy osoby służby. Czyście...

Kowers po prostu zamknął mu usta dłonią. From coś bulgotał, lecz wielka mięsista łapa dusiła słowa.

- Niech pan wysłucha do końca. Sprawdziliśmy wartość całej pańskiej nieruchomości i urząd podatkowy podał wartość sześciuset tysięcy. Zakładając, że jak każdy uczciwy podatnik zaniżył pan oszacowanie, czynniki odpowiedzialne za zgubienie pojemników zgodziły się wypłacić odszkodowanie na półtora miliona.

Uwolnił usta Froma.

- Jakże ja mam gwarancje?

- Moje słowo - warknął Kowers. - A także świadomość, że dyskutuję z tobą, kiedy w każdej chwili może nas szlag trafić.

Odwrócił głowę.

- Niech pan, kapitanie, weźmie sześciu ludzi i pomoże temu człowiekowi zabrać rzeczy, tak samo zróbcie z resztą domowników.

- Wyście oszaleli, albo to ja zwariowałem - stękał From człapiąc pod górę i tylko sprawne ucho wychwyciłoby subtelny zmianę w jego głosie, jaka nastąpiła od chwili, gdy padła suma półtora miliona.

Pół godziny później sześć osób w asyście żołnierzy odjechało wozem sanitarnym do punktu, gdzie miano się przekonać, czy przypadkiem w zabranych rzeczach nie znajdują się jakieś nasiona. Setka żołnierzy przeszukiwała teren posiadłości. Kowers nie chciał mieć na sumieniu czyjegoes życia.

Dwie godziny później, pięć „Kobr” przystosowanych do zrzucania ładunków powietrznych przyleciało znad pól. Ułożyły się w koło i zawisły wysoko nad posiadłością Froma. Kiedy oddalony od nich o parę kilometrów Kowers uznał, że nadeszła pora, wysłał rozkaz rozpoczęcia akcji. Od helikopterów momentalnie oddzieliły się duże, podobne do cystern pojemniki. Z furkotem otworzyły się nad nimi zasze spadochronów. W miarę, jak helikoptery na pełnej prędkości uciekały za widnokrąg, z pojemników począł się wydobywać gęsty aerozol zawiesiny. Tryskając pod dużym ciśnieniem pokrywała całą przestrzeń nad parkiem, opadając na drzewa, dom, szklarnie. Z daleka wyglądało jakby ktoś zrzucił wielką górę waty cukrowej. Kiedy pojemniki opadły na wysokość kilkunastu metrów, rozpoczął się ostatni akord całego przedsięwzięcia. Z ustawionego w bezpiecznej odległości wozu pancernego trysnął cienką smugą promień lasera i pomknął ku chmurze zawiesiny. Igła energii wbiła się w mgłę, która w mgnieniu oka, bez żadnych płomieni czy kłębow dymu przybrała barwę przerażającej bieli. W ogniu dorównującym temperaturze żaru atomowego wyparowywały drzewa, dom, metal, ziemia i szkło - Gdyby ktoś spojrział w stronę tego piekła, mógłby nieodwracalnie uszkodzić wzrok. Z rykiem dobiegającego

gromu snop bieli podniósł się w górę i zalewając blaskiem całą okolicę znikł w chmurach. Fala podmuchu przygniotła ich do ziemi. Kiedy podnieśli głowy, z chmur zaczynał opadać ciężkimi i tłustymi kroplami deszcz. Spadał na wielki szklisty placek, parując i z sykiem uciekając z powrotem ku niebu. Deszcz wiedział, co robi. Był tu bezużyteczny. Na tym obszarze, stopionym wiele centymetrów w głąb gruntu, już nic nie miało rosnąć. Plantacja Eskina Froma przestała istnieć.

Rozdział XII

Jeśli wyjedzie się ze stolicy szosą oceaniczną, to około dwóch kilometrów za ostatnimi budynkami można zauważyć wysoki biały parkan otaczający kompleks parterowych budynków. Gdyby komuś przyszło do głowy zatrzymać się przy nich, to niewątpliwie zwróciłby jego uwagę dziwny zapach snujący się po okolicy. Kiedy wciągnie się go do nosa, człowieka ogarnia zaskoczenie, gdyż zbyt wiele źródeł mu się z nim kojarzy. Tutaj to właśnie ma swoją wytwórnę firma „Kipso”, mająca apetyt na zajęcie czołowego miejsca wśród wytwórców kosmetyków i perfum. Aby tego dopiąć, utrzymuje ona sześć plantacji dostarczających całkiem pokaźną ilość materiału do przeróbki. Dwie z nich były efektem udanej fuzji z mniejszym, ale szczyjącym się paroma rewelacjami zakładem. Naturalnie słowo „udana” odnosi się tylko do firmy „Kipso”. Jasnym jest, że każda progresywna instytucja musi dysponować reprezentacyjnym lokalem mieszczącym biura i salony, gdzie można olśnić klienta i przeprowadzić z nim rozmowę w miłym otoczeniu. Warunki te spełnia czteropiętrowy budynek leżący w luksusowej dzielnicy miasta stołecznego. Cały biały, ze świecącym nocami dyskretnym neonem korzystnie prezentuje się na tle otaczających go banków.

Pewnego letniego dnia szklane drzwi przekroczył mężczyzna z czarną teczką i zwiniętym rulonem gazety giełdowej w ręku. Dziewczyna z informacji uśmiechnęła się serdeczniej, niż to było w jej obowiązku. Pracowała tu już od paru miesięcy, a poza mechanikiem z garażu jeszcze nikt nie zainteresował się nią poważniej. Ten zaś mężczyzna pasowałby w sam raz.

- Chciałbym znaleźć wicedyrektora Zayfela.

- Musi pan wjechać na drugie piętro - poprawiła pozornie niedbałym gestem włosy. - To będzie pokój 213.

- Dziękuję bardzo - odparł i odwrócił się ku windzie.

Dziewczyna kwaśno uśmiechnęła się do jego pleców.

Mężczyzna szybko odnalazł odpowiedni pokój i zapukał.

- Proszę - odpowiedział kobiecy głos.

W środku, przy biurku, za pokaźnych rozmiarów maszyną do pisania siedziała młoda i ładna kobieta.

- Czy zastałem pana Zayfela?

Załamana ręce w rozpaczy.

- Och... niestety, pan dyrektor jest bardzo zajęty i obecnie nie dysponuje czasem. Proszę podać swoje nazwisko...

- Momencik - przerwał jej mężczyzna. - Jestem major Zoltke z Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego. Proszę zanieść panu Zayfelowi tę kopertę. Sądzę, że to go przekona.

Już przy słowie „departament” dziewczyna zerwała się na równe nogi. Na stojąco była jeszcze piękniejsza, wysoka, proporcjonalnie zbudowana.. Popatrzyła na Zoltkego i uruchomiła interkom.

- Panie dyrektorze - zawołała głośno. - Musi pan natychmiast przyjąć jedną osobę.

W głośniku coś szemrało, słychać było kobiecy chichot i szuranie.

Kto to jest? - warknęło.

- Major Zoltke z Departamentu Bezpieczeństwa.

- Aha - powiedział Zayfel i umilkł.

Minęło parę minut, w których Zoltke zdążył zapoznać się dokładnie z wystrojem sekretariatu. Przez uchylone drzwi wyszła z gabinetu chuda jak śledź wywłoka, zrobiła do niego oko i ignorując sekretarkę wyszła na korytarz. Zdążył jeszcze raz przyjrzeć się obrazom na ścianie, gdy sekretarka poprosiła go do środka.

Dyrektor Zayfel, grupy jak hipopotam, siedział rozlany w fotelu i miętosił papiery wyjęte z koperty. Oddychał przez usta, przewracając przy tym przekrwionymi oczami. Policzki pulchne jak zjełczały bekon, miały mniej więcej taką samą, co i on barwę.

- Nie rozumiem, dlaczego ten człowiek oskarża mnie w swoich zeznaniach - wydusił. - Sądzę, że ktoś chce mnie skompromitować.

Zoltke pogardliwie wyszczerzył zęby i zapalił camela. Z papierosem w ustach studiował twarz Zayfela.

- Pracuję nad firmą od kilkunastu lat i nigdy nie zhańbiłem się jakąkolwiek nieprawością. Chyba sam pan nie wierzy, abym mógł się parać szpiegostwem przemysłowym, jak wy to nazywacie. Zapewniam pana, że nigdy nie widziałem tego człowieka na oczy i nie pozwolę, aby czyjaś prowokacja zrujnowała mi firmę. Zbyt wiele pracy w nią włożyłem.

- Tym więcej pan straci, jeśli nie powie pan prawdy.

Zayfel gwałtownie wstrzymany w swej elokwencji, nie mógł wydusić ani słowa i ciężko dyszał. Zoltke zgasił na wpół wypalonego papierosa w popielniczce i powiedział:

- Mamy zeznania tego człowieka - co było prawdą - i posiadamy świadka, który zaręczy, że widział was razem - co już nie było prawdą.

Zayfel milczał.

- Niech pan zauważy, że jestem z departamentu, a nie z policji. Zapewniam pana, że zrobię wszystko, aby odzyskać całą partię nasion dostarczonych tutaj. Jeżeli pan mi je odda gotowi jesteśmy zapomnieć o całej sprawie.

Przechylił się do przodu.

- W przeciwnym razie zgnoimy całą tę firmę, a pana postawimy w stan oskarżenia o zdradę stanu. Ekipa specjalna tylko czeka na mój sygnał, aby przeszukać ten budynek, fabrykę, pański dom i parę innych miejsc. Przypadkiem o całej aferze dowiedzą się dziennikarze i z pewnością zepsują wam opinię, na którą pan tak ciężko pracował?

Zayfel nie był pewien czy zrozumiał.

- Panu chodzi tylko o te nasiona?

- Tak - potwierdził Zoltke tonem zmęczonej cierpliwości. - Z powodów, których nie muszę ujawniać, są one dla nas niezbędne - uniósł palec w górę. - Wszystkie. Wiemy ile było w jednym pudełku.

- Ależ - hipopotam rozpływał się. - To przecież nie jest dla nas tak ważne.

Uniósł się i podszedł do okna.

- Powiedzmy, że rzeczywiście dostały się w moje ręce - bełkotał odsuwając kotary.

Zabawne było to, że zamiast okna stała tam duża szafa pancerna. Zayfel niemal rozpląszczył się na niej, aby zasłonić wykręcany kod. Zoltke już po chwili trzymał w ręku tekturowe pudełko. Wyjął z teczki kuwetę i małą szufelkę. Nie zwracając większej uwagi na Zayfela począł przeliczać nasiona. Były wielkości słonecznikowych pestek o brązowej i spękanej powierzchni.

- Zgadza się - powiedział Zoltke, gdy skończył. - To jest połowa, proszę mi teraz dać drugie pudełko.

Zayfel zamachał rękoma.

- To nieprawda! To jest wszystko.

- Nieprawda? Przecież w zeznaniach jest wyraźnie napisane, że za pierwszym razem dostarczono panu dwie paczki nasion.

- Ależ to kłamstwo! - skomlił z czerwonymi plamami na twarzy. - Ten człowiek miał przywieźć dwie paczki, ale jedną zgubił na lotnisku. Kretyn, dla ostrożności, jak sam to nazwał, trzymał jeden pakunek w kieszeni marynarki, a drugi w plastikowej torbie. Poszedł się napić do baru i zapomniał ją zabrać. Gdy wrócił po paru minutach, torby nie było na półce.

- Ja mam w to wierzyć? - Zoltke spytał sceptycznie.

- Ależ tak było. Gdybym wiedział jakiemu patałachowi płacę, to nigdy bym go nie zatrudniał. Przecież dlatego kazałem mu iść tam po raz drugi. Myśli pan, że trzymałbym nasiona w szafie, gdyby ich ilość była wystarczająca?

Zoltke ostrożnie uniósł telefon z biurka i położył go sobie na kolanach.

- Ja w ogóle mało myślę, panie Zayfel - odparł unosząc słuchawkę. - Wolę działać, gdyż widzę, że z panem dogadać się nie można.

Zayfel krzyknął i potykając się dopadł jego ręki.

- Niech pan nie robi rewizji! To nie ma sensu. - krzyczał opryskując śliną Zoltkego. - Ja naprawdę nie kłamię, proszę mi wierzyć.

Major strząsnął go z ręki i chustką przetarł twarz.

- W porządku, chciałem się tylko upewnić.

Hipopotam sapnął i z ręką na sercu doczłapał się do fotela.

- Panie majorze - stęknął. - Proszę mi uwierzyć.

Zoltke starannie zebrał rozrzucone fotokopie i położył na trzęsącym się brzuchu Zayfela.

Gdy przechodził przez sekretariat odwrócił głowę ku dziewczynie.

Niech pani da mu coś na serce, chyba się zdenerwował.

Sekretarka odprowadziła go spojrzeniem do drzwi.

Rozdział XIII

Z każdym dniem pobytu na wyspie moja samotność pogłębiała się, wyzerając wszelkie chęci i siły do pracy. Brak jakiegokolwiek informacji od Marii świadczył, iż próba rozstanie się z nią udała się i to aż za dobrze. Kto wie, gdyby było inaczej poprosiłbym Rischa o zwolnienie z tutejszych zajęć. Już od dawna wiedziałem, że osiągnąłem maksymalny pułap wiedzy przy dostępnym mi materiale. Jedyne wybuch epidemii mógł zmienić stan rzeczy. Swoistym było to, iż już dawno przestałem się obawiać tej możliwości. Nie wiedząc co począć, byłem bliski stanu, kiedy człowiek jest przekonany, że to wszystko, co robi, co go otacza, jest bez sensu. Zmiana w mojej degrengoladzie moralnej nastąpiła w parę dni po ściągnięciu na wyspę wszystkich osób, które przebywały na campingu w Nel Grando.

Wyszedłem po południu na spacer poza obręb budynków i mimo zacinającego deszczu wytrzymałem tam ponad godzinę. Ogłuszony szumem fal, zmarznięty, w przemoczonym ubraniu wróciłem do środka z zamiarem wykonania natychmiastowej kąpieli w gorącej wodzie z dodatkiem szklaneczki whisky. Dlatego w pierwszej chwili nie zrozumiałem sceny, jaka rozgrywała się na korytarzu przed jednym z pokoi. Dwóch sanitariuszy - mieli postury goryli - próbowało wejść do środka, czemu uporczywie przeszkadzał człowiek za drzwiami.

- Przyślijcie komendanta! - krzyczał. - Powiedzcie mu, że muszę wrócić do mojej żony. Won chamy!

Wokół szamoczących się mężczyzn zdążył zgromadzić się mały tłum. Stali i patrzyli nie mówiąc ani słowa. Tylko jedna z kobiet zaczęła cicho płakać. Gruchnęły wyłamane zawiasy i dwaj sanitariusze wpadając do środka pochwycili umykającego mężczyznę.

- Zbrodniarze! Zabijecie moją żonę! - wrzeszczał, ale słowa przestały być zrozumiałe, gdy pociągnięto go w głąb pokoju.

Tłum nie poruszył się i chyba stałby tak długo, gdyby nie posiłki ludzi z ochrony. Stanowczo, nie starając się specjalnie zachować pozorów, rozproszono ludzi po korytarzu. Na mnie, dzięki znaczkowi w klapie nikt nie zwracał uwagi. Po kilku minutach już tylko nieliczne osoby mogły dostrzec nosze niesione przez sanitariuszy w kierunku pawilonu. Obsługa naprawiała drzwi i porządkowała pokój.

Ktoś położył mi rękę na ramieniu, był to Cobb.

- Widziałeś?

Pokiwałem głową.

- Wczoraj z nim rozmawiałem - opowiadał nie przejmując się moim milczeniem. - Pojechał z żoną do Paryża. Jest tam klinika onkologiczna. Mówił, że tylko tam potrafią operować raka piersi, a w każdym razie dają nadzieję. To kosztuje dużo. Zadłużył się, spekulował, ale osiągnął swój cel. Ludzie z departamentu wywlekli go z hotelu i w tajemnicy przed policją francuską przywieźli do kraju. Prosił ich, aby poczekali choć parę dni, gdyż jego żona właśnie tego dnia miała operację. Chciał być przy niej. Mówił, że będzie go potrzebować, lecz nic z tego. Przywieźli go tutaj i chyba dzisiaj nie wytrzymał.

Patrzyliśmy z Cobbem na siebie w milczeniu. Lekko drgał mu lewy policzek. Znów położył rękę na moim ramieniu.

- Jesteś przemoczony, idź odpocznij. Wpadnę do ciebie po kolacji i z kimś cię zapoznam - pchnął mnie dłonią.

Otumaniony obróciłem się w nadanym mi kierunku.

- Filip! - zawołał jeszcze.

Gdy odwróciłem głowę, uśmiechnął się satanicznie i teatralnym szeptem powiedział:

- Wiem już, jak można stąd uciec. Zapamiętaj to - przymrużył oko i poszedł w głąb korytarza.

Dopiero w pokoju przypomniałem sobie, że jestem przemoczony.

* * *

Zgodnie z obietnicą przyszedł koło ósmej. Miał na sobie koszulę nie pierwszej świeżości, o zbyt małych guzikach najrozmaitszych kolorów. Niewiele mówiąc, poprowadził mnie korytarzem, a potem schodami na niższe piętro. Zanim zapukał do drzwi powiedział parę słów szeptem.

- Nie pozuj. Bądź sobą, to cię polubi.

Pewności nie mam, ale jestem święcie przekonany, że już wtedy zdawał on sobie sprawę, czym możemy się stać dla siebie, ja z Jolą. Gdy ujrzałem ją pierwszy raz, siedziała sama w pokoju, robiła na drutach zerkając od czasu do czasu na telewizor. Miała ciemnoniebieskie, wpadające w zieleń oczy, figurę, którą obcisły fason wełnianej sukni uwydatniał wyraźnie, giętką i pełną. Drobne stopy i nogi o łydkach rasowej klaczy. Spodobała mi się. Mało, zachwyciła ód pierwszego spojrzenia. Nie pamiętam już, gdzie Cobby ją poznał i jak mnie przedstawił. Wiem tylko, że świadomie wyszedł po niecałej godzinie zostawiając nas samych sobie. Mówiliśmy o wszystkim, badając i rozgryzając się nawzajem. Ona, w przeciwieństwie do mnie, nie unikała tematu naszego pobytu na wyspie. Wiedziała sporo, a domyślała się jeszcze więcej. Nie powiedziałem jej wszystkiego, nie wtedy. Śmiała się w cudowny sposób, tak spontanicznie wkładając całą duszę w swoją radość. Potrafiła momentalnie przejść z nastroju na pozór ponurego do gwałtownej, szczerej wesołości.

Kilkakrotnie złapałem się na tym, że staram się położyć dłoń na jej ręce czy ramieniu, ale za każdym razem trafiałem na pustkę, bądź oparcie kanapy. Figlarne ogniki w jej oczach świadczyły, że nie był to przypadek.

Była inteligentna, nie w sensie zarozumiałej, komputerowej maszynki; wprost przeciwnie. Wielu rzeczy, o których opowiadałem nie znała i z chciwym zachwytem słuchała nowości. Ale wystarczył moment, abym przybrał trochę zarozumiały, bądź pewny siebie ton, a już jednym celnym zdaniem obalała mnie na ziemię. Później nazwałem to mądrością życiową i zabójczą intuicją. Miała ją.

Dlatego też, tego pierwszego wieczoru, wyrzuciła mnie od siebie właśnie w chwili, gdy zaczęło mi się wydawać, iż chyba jej się podobam. Na pożegnanie dała mi pstryczka w nos i śmiejąc się, zamknęła drzwi.

Oszołomiony i rozpierany dawno zapomnianą radością wróciłem do pokoju. Leżałem długo w noc nie mogąc zasnąć. Zapomniałem, że mogą istnieć takie dziewczyny. Otraskany przelotnością uczuć, powszedniością gestów, zrozumiałem, że napotkałem fenomen, coś jedyne w swoim rodzaju; w każdym razie dla mnie.

Następnego dnia do południa praca, mimo bezcelowości, szła mi jak po maśle. W czasie obiadu nastąpił przełom. Wyszedłem wcześniej od innych i zacząłem przechadzać się po budynku, mając nadzieję, że napotkam ją wcześniej czy później. Do jej pokoju nie odważyłem się pójść. Niestety, mimo wydeptania kilku kilometrów podłogi, nie napotkałem szukanej twarzy. Cobb też gdzieś zniknął. Podejrzywałem go, iż wykorzystując znajomości u ochrony wyszedł na zewnątrz. Przez okno widać było, iż deszcz pada bez przerwy cały dzień. Parszywy klimat.

Po kolacji czując się tak, jakbym połknął garść błota, poszedłem do baru. Wszyscy pili tu na umór.

Nic dziwnego, przy tak niskich cenach aż się o to prosiło. Kilku najbardziej ponurych facetów wyglądało na rekonwalescentów z pawilonu. Alkohol robił równie dobrą robotę jak brom, widać to było na pierwszy rzut oka. Najstraszniejsza była cisza, w jakiej wszyscy doprowadzali się do stanu nieprzytomności. Żadnych rozmów, śmiechów bądź przekomarzań, tylko twarde i tępe zdecydowanie, aby się urząnąć. Nic dziwnego, że z biblioteki nikt tu nie korzystał.

Nie pijąc ani kropli wyszedłem na korytarz i ciągnięty za kołnierz dotarłem do pokoju na parterze. Radość z jaką mnie powitała nasuwała przypuszczenie, że nie była całkowicie pewna wizyty. Skórę na delikatnych kościach policzkowych pokrył blady rumieniec. Otwarta książka świadczyła, że czytała. Znów siedzieliśmy naprzeciwko siebie i mówiliśmy. Mogło mi się zdawać, ale dzisiaj w jej oczach, w głosie było coś nowego, bardziej osobistego. Coś, co z reguły trzyma się głęboko schowane w zakamarkach duszy i tylko czasami okazuje komuś, jednemu. Zdawała się nie dostrzegać, iż już od paru minut trzymam rękę na jej dłoni. Nie ruszałem palcami, czy coś w tym rodzaju. Wydawało mi się to zbędne, burzące przyjemność jaką czerpałem z ciepła ręki.

Tego wieczoru Jola mówiła o sobie, wylewając olbrzymi zapas słów nagromadzony w czasie tygodni odosobnienia. Nie starałem się być partnerem w dyskusji, wolałem słuchać i uśmiechać się od czasu do czasu. Mój Boże! Nigdy bym nie przypuszczał, że pewne rzeczy mogą mnie jeszcze bawić. Było już dobrze po północy, kiedy to się stało. Ostatnim błyskiem intelektu pojąłem, że przestaję rozumieć, co ona do mnie mówi. Krew dudniła w uszach.

- Jola - powiedziałem. - Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że się spotkaliśmy - zachichotałem. - Temu draniowi Rolandowi powinienem postawić dużą wódkę.

- Tylko uważaj, on ma wszelkie cechy przyszłego alkoholika - odparła, patrząc z uwagą na moje manewry.

Aby być bliżej, przyklęknąłem na jedno kolano.

- Lubisz mnie trochę?

- Tak, tylko nie chcę, abyś mówił przez zęby.

Na moment powstrzymałem moje wędrujące ręce.

- Wcale nie mówię przez zęby - powiedziałem z takim skurczem szczęk, że aż się obydwójce roześmieliśmy.

Ręce drżały mi jak nowicjuszowi.

- Podobam ci się? - spytałem, czując przez sweter sprężystość jej ciała.

- Tak - chwyciła moje dłonie. - Ale nie psuj wszystkiego.

Poczułem zapach, jej zapach. Nie używała perfum, nie musiała.

- Kocham cię - szepnąłem i zanurzyłem się głową tam, gdzie sweter krył unoszące się w rytm oddechu pełne piersi.

Moje dłonie szukały, pieściły i obejmowały w zafascynowaniu nowością. Szarpnięcie i dostałem w twarz dwa razy. Mocno.

- Wyjdz natychmiast! - krzyknęła zrywając się z kanapy.

Stałem, nic nie rozumiejąc. Wypchnęła mnie za drzwi i głośno trzasnęła zasuwką.

Po półgodzinie siedzenia na ławce w korytarzu, poszedłem do baru i kupiłem pół litra. Siedząc u siebie w pokoju, patrząc na własne stopy, z premedytacją urząnąłem się w sztok.

Następnego dnia, ja z kolei cały dzień siedziałem w pracowni. Mój pogląd na świat ulegał tak kolosalnym zmianom, że zapomniałem o wyspie, chorobie i całym tym cholernym bałaganie.

Wieczorem, na korytarzu, ona zaczepiła mnie pierwsza. Ani słowem nie wspomniała o tym, co się zdarzyło. Ponownie znalazłem się u niej w pokoju i tak jak pierwszego dnia wyleciałem z niego w chwili, gdy zaczynało mi się coś tam wydawać. Tym razem przy pożegnaniu zapięła mi guzik od koszuli.

Kilka następnych dni minęło podobnie. Mniej więcej po tygodniu, kiedy zaczynałem się przyzwyczajać do sytuacji, zaraz po moim przyjsciu pchnęła mnie na fotel i demonstracyjnie zamknęła zasuwkę. Następnie, opierając ręce na moich ramionach, powiedziała parę rzeczy na mój temat. Potem zgasiła światło i tej właśnie nocy zrozumiałem, iż spotkałem dziewczynę swojego życia.

Rozdział XIV

Keler, Kowers i Risch siedzieli razem od paru godzin. Sekretarz był zdumiewająco spokojny. Risch przez ostatnie dni miał okazję pojąć, że nie przypadkiem ten człowiek piastuje swoją funkcję.

- Podsumowując - mówił powoli, dobitnie akcentując poszczególne słowa - przesłuchania i rekonstrukcja wypadków jednoznacznie ustaliły, że sto nasion Heliozy rzeczywiście zostało zgubionych na lotnisku „Betleya”. Mimo ogłoszeń i innych prób kontaktów z przypadkowym znalazcą, ten się nie zgłosił. Racje stanu nie pozwalają na otwarte ogłoszenie całej sprawy, przede wszystkim dlatego, iż nie ma pewności, że odniesie to skutek. Groziłoby to nieobliczalną paniką. Tak więc, mimo znalezienia i odosobnienia wszystkich potencjalnych chorych, celu nie udało się osiągnąć. Mówiąc alegoriami, jeden z naszych potoków umknął nam z rąk. W takiej sytuacji nie wolno nam podejmować ryzyka.

Umilkł, gdyż Kowers przechylił się do przodu, jakby chciał coś powiedzieć. Ale sięgał tylko po butelkę wody mineralnej.

- Właśnie - Keler jak zahipnotyzowany patrzył na pijącego.

- Pan, profesorze Risch, czytał nam przed chwilą prognozę biegu wypadków, jakie by nastąpiły, gdyby chociaż jedna osoba uległa chorobie. Liczba czterech milionów zgonów w pierwszym tygodniu, z dalszym ich wzrostem w dniach następnych jest możliwością jakiej za wszelką cenę musimy uniknąć. Powtarzam - za wszelką cenę.

Risch był blady i wyglądało na to, że zaraz zwymiotuje.

- Powtarzam raz jeszcze. Prezydent zrzucił ciężar podjęcia decyzji na nasze głowy. Mówił dużo na temat wszechstronnego przeanalizowania sytuacji, ale wiadomym jest, że zaakceptuje każdą decyzję. Więc jaka ona będzie?

Kowers westchnął.

- Jestem za unieszkodliwieniem tych ludzi.

- To będzie morderstwo - powiedział cicho Risch.

- Pan, lekarz, specjalista, tak mówi? - Keler chciał mieć jednomyślną decyzję, albo posługiwał się maksymą: zbiorowa odpowiedzialność to żadna odpowiedzialność,

- Dobrze - Risch schował twarz w dłoniach. - Zgadzam się.

- Niech tak będzie.

- A więc zadecydowaliśmy - odparł Keler ocierając pot z czoła. - Ja zajmę się opinią publiczną, rodzinami. To trzeba rozegrać delikatnie. Niestety będzie to nas trochę kosztowało.

- Nikt się nie odezwał.

- Czy pan, panie Risch, zajmie się szczegółami?

Risch rozpaczliwie ruszał powiekami, zanim zrozumiał co Keler ma na myśli. Skinął głową.

- Sądzę, że należy zakończyć tę przykrą sprawę w ciągu pięciu dni, dla dobra ogółu - dodał sekretarz, nie mogąc się nie podeprzeć czynnikiem nadrzędnym.

Wydawało się, że padną jeszcze jakieś słowa, ale na szczęście był to już w zasadzie koniec narady.

Rozdział XV

Wróciliśmy z Jolą ze spaceru po wyspie. Znaleźliśmy cudowne miejsce. Osłonięte od wiatru, z falami walącymi w skały pod stopami, akurat pasowało do naszego nastroju. Owinięci płaszczem opowiadaliśmy tam, tylko dla siebie stworzone historie, czekając na decyzje co do naszego przyszłego losu. Byliśmy optymistami i było to normalne, gdyż zakochani zawsze są takimi.

Rischa zastałem w pokoju. Był tak zajęty, że nawet nie pozwolił mi zdjąć płaszcza.

- Pojutrze wieczorem likwidujemy wyspę - zaczął. - Taka zapadła decyzja.

- To znaczy, że wracamy do domu?! - było to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.

Risch spojrzał na mnie błagalnie.

- Nie, Filip - pokręcił głową. - Uznano, że należy ich wszystkich... zabić - głos mu drżał.

Usiadłem mając idiotyczne przeświadczenie, że taką scenę już kiedyś w życiu widziałem.

- Zwariowaliście?!

Patrzył na mnie swoimi oczyma krótkowidza i wyglądało na to, że za chwilę się rozpłaczę.

- Zaginęła część nasion Heliozy. Nie można pozwolić na najmniejsze ryzyko, że ktokolwiek z tych ludzi zetknie się z nimi. A trzymać ich tutaj w nieskończoność nie można. Lepiej zrobić to wcześniej.

Chyba tylko instynkt podszeptał mi, że należy siedzieć spokojnie. Ależ z jaką rozkoszą chwyciłbym go wtedy za gardło, zrzucił na podłogę i walił tą żalostną mordą o ścianę, aż by cały obryzgał się krwią i mózgiem. Robiło mi się niedobrze. Nie słyszałem nawet co mówi.

- Słyszysz, Filipie? Leć ze mną. Nie ma powodu, abyś asystował przy tym do końca. A to już jest koniec, rozumiesz?

Potrząsnąłem głową.

- Nigdzie nie jadę. Zostaję tutaj.

- Na co ci to? Obydwoj wiemy, że starałeś się, ale badania, które robiłeś tutaj niczego nie wniosły.

Przez te parę dni nic się nie zmieni.

Zrzuciłem płaszcz i z całym spokojem stanąłem przy drzwiach.

- Zostaję. Zobaczymy się po wszystkim.

Wzruszył ramionami.

- Może masz rację. Nie wiem.

Gdy wychodził, zadałem jedno pytanie.

- Kiedy to będzie i jak?

- Pojutrze wieczorem. Do kolacji domiesza się pewien środek - westchnął. - Przynajmniej będzie bezbolesne.

Zamknąłem starannie drzwi i stanąłem przy oknie. Dojrzałem jego sylwetkę, gdy wsiadał do helikoptera. Milknący łoskot był świadectwem, iż pozbyłem się go na jakiś czas.

Siedzieliśmy we trójkę: Jola, Cobb i ja. Do zmiernychu brakowało niewielu minut. Obecnie wiedzieli już tyle samo co ja.

- Nie ma sensu ujawnianie przed ludźmi ich sytuacji - mówiłem. - Po pierwsze jest nas za mało, a obsługa zbyt mocna. Po drugie nie są oni zdolni do żadnej zorganizowanej akcji, a tylko taka może przynieść skutek. Pamiętajmy, że pilnują nas pracownicy departamentu. Kwestią minut byłoby przybycie posiłków.

Cobb chrząknął.

- Nie mamy technicznej możliwości dostarczenia ich na brzeg. Przy tej pogodzie dla większości byłaby to pewna śmierć.

Silny wiatr wiejący od rana zapowiadał zmianę pogody.

- Trzeba uciec tak, aby możliwie najpóźniej się spostrzegli. - Jola zawsze była konkretna. - Trzeba się dostać do którejś z redakcji stołecznych gazet.

Zgodziliśmy się z nią.

- A więc uciekamy we trójkę - skwitowałem. - Tylko w jaki sposób?

Cobb uważnie przecierał szkła okularów.

- Mówiłem wam, że trochę zaznajomiłem się z ochroną - mówił - - Oni lubią wypić. Szczególnie ci, co pilnują przystani. Wiem, że dzisiaj jeden z nich ma imieniny i jestem pewien, że będzie moment, w którym bez kłopotu da się zejść ścieżką.

- Ale tam też pilnują.

- Tej nocy nie będą, ręczę wam. Popatrzcie na niebo, zbliża się sztorm.

Miał rację. Było za ciemno jak na tę porę dnia. Pierwsze bicz deszczu chlasnęły w okno.

- Alkohol i sztorm to za dużo, aby chciało im się uważać.

- Sądzisz, że nam się uda dopłynąć?

Głos Joli był troszkę za spokojny.

- Sądzę.

Trzęsącymi się dłońmi wygładziłem serwetkę na stole.

- Czym będziemy uciekać, chyba nie ścigaczem?

- Nie. Dzisiaj jest wtorek, a we wtorki, nie wiem czy wiecie, przyplęwa tutaj kuter rybacki dowożący zaopatrzenie. Wraca zawsze w środy. Jest to solidne bydlętko, swojego czasu zdążyłem mu się przyjrzeć.

- Poradzisz sobie z nim?

Kiwnął głową

- Musimy się spieszyć - dodał. - Przygotowujcie się do drogi i nie zabierajcie niczego, poza tym co można włożyć na siebie. Weźcie ciepłe rzeczy, ale nie krępujące ruchów. Idę do nich i gdy stwierdzę, że są gotowi, przyjdę do was tutaj, do pokoju.

Kiedy wyszedł, Jola spojrzała na mnie takim wzrokiem, że bez słowa przytuliłem ją do siebie. Rozpłakała mi się w ramionach.

* * *

Wiatr wył jak wariat. Żelazny uścisk jego porywów dusił za gardło i tamował oddech. Tnący zakosami deszcz oślepił, odbierając ciepło. Cobb zbliżył się do nas, aby lepiej go było słyszeć.

- Dziesięć minut temu siedzieli wszyscy w środku. Idę się upewnić. Czekaście.

Oddalił się w ciemność ku jasnym plamom domku strażniczego. Obok niego przebiegała ścieżka,

jedyna droga, którą przy tej pogodzie można zejść do przystani. Oślizgłe kamienie zbrocza były gwarantowanym samobójstwem dla każdego, kto chciałby wybrać inną trasę. Jola drżała w moich ramionach.

- To nie ze strachu - szeptała. - Tak mi jest lepiej.

Mnie też było lepiej. Deszcz ustał na moment, kiedy Cobb szarpnął mnie za rękaw. Jak duch wynurzył się z ciemności.

- Szybko - powiedział.

Starając się nie poślizgnąć zbiegliśmy w dół. Mijając domek usłyszeliśmy odgłosy pijackiej awantury. Chyba się tłukli. Miałem nadzieję, że nie za mocno, i że nie ściągną na nas uwagi. Podziwiałem Cobba. Był już po czterdziestce, na pozór zwykły pracownik handlu, a ruchy miał jak komandos bądź traper. Sądziłem, że wiele ciekawych rzeczy znalazłbym w życiorysie tego człowieka.

Wreszcie przystań. Tu wiatr prawie nie dochodził. W słabym świetle jedynej latarni dostrzegłem fale na wodzie. Wyglądała jak misa z gęstą oliwą niesiona w drżących rękach olbrzyma.

Łódź była nieduża, ze sporym pokładem i kabiną na końcu rufy. Poza trójką ludzi i kołem sterowym praktycznie nic więcej nie mogło się tam pomieścić. Na pokładzie stało parę skrzynek. Wyglądały na nie rozładowaną część transportu. Nie przywiązywaliśmy do nich większej wagi. Kuter nie był w ogóle zabezpieczony, tak że po zrzuceniu dwóch cum byliśmy wolni. Kabina po zamknięciu była nawet przytulna. Cobb trzymał rękę na rozruszniku, kiedy go powstrzymałem pokazując na domek strażniczy. Pokręcił głową.

- Nie usłyszą. Wiatr.

Zrozumiałem jak wiele będę zawdzięczał temu człowiekowi. Motor zaskoczył za pierwszym razem. Wpłynęliśmy między dwie boje znaczące początek kanału. Lekki zakręt. Pełna szybkość i myślałem, że zemdleję widząc to, co ujrzałem.

W blasku rozpalającej niebo błyskawicy zobaczyłem obsypane pianą wodne góry sunące ku nam z zadziwiającym impetem. Nigdy nie sądziłem, że morze jest czarne jak smoła. Wbiliśmy się w wodę, która zalała nas całych. Skrzynki stojące na pokładzie zdmuchnęło jak piórka. Jedna, tylko o centymetry minęła kabinę. Palce Joli z zapalem robiły mi siniaki na ramionach. Kazałem jej usiąść na podłodze. Cobb, aby utrzymać równowagę, oparł się o ścianę kurczowo trzymając koło sterowe.

Kolejna błyskawica i dalsze miażdżące ciosy wiatru. Rufa raz po raz tonęła w pianie, a dziób wyskakiwał ku niebu jak oszalały. Potem następował huk i kuter nieomal rozłaząc się w szwach zapadał się w kolejny odstęp między górami wodnymi.

Cobb coś wrzeszczał. Chyba dokładnie nie wiedział z której strony jest ląd. Nic dziwnego. Kuter tańczył na falach schodząc z kursu w najmniej spodziewanych momentach. Pod nami wciąż charczał, dławił się bijąc chwilami śrubą w powietrze silnik. Domyślałem się, że tylko jego praca utrzymuje nas jeszcze przy życiu. Chciałem pomóc Cobbowi, ale pokręcił przecząco głową. Woda bez przerwy tłukła w okna i już nie wiedziałem czy to fale czy deszcz.

Potem niebotyczny wał wodny rozbił wszystkie szyby. Nie czując bólu osłaniałem Jolę. Ciężkie, bijące z kilku stron fale z uporem dobijały kuter ale nie Cobba. Odwrócił się ku mnie i błysnął zębami. Z rozcięcia na czole skapywała krew, zmywana kolejnymi potokami wody. Jeśli tak nie będzie wyglądał koniec świata, to znaczy, że nie mam wyobraźni. Fale stawały się jakby mniejsze i kąśliwsze. Rozpaczliwie, co chwilę się wywracając szukałem w kabinie jakiegokolwiek kamizelki ratunkowej. Niestety.

Kolejna błyskawica uświadomiła nam źródło zmian jakie zachodziły w wyglądzie morza. Brzeg. Ogromna, gęsta masa ciemności z piaszczystą wąską plażą. Fala odrzucała nas z powrotem. Cobb przechylił się na kole starając się dojrzeć obecność skał. Coś krzyczał. Jednak nie dojrzał. Ostry koniec

wyskoczył przed samym dziobem nie dając nam żadnych szans. Jeden trzask i kadłub pękł jak skorupa orzecha. Wyleciałem do przodu łamiąc swym ciężarem resztki ramy okiennej. Upadku już nie czułem.

Rozdział XV

- Odzyskuje przytomność - usłyszałem głos Joli i otworzyłem oczy.

Byłem rozebrany do kąpielówek i owinięty w suchy, ciepły koc. Leżałem na tylnym siedzeniu jakiegoś samochodu wsparty o Jolę. Jechaliśmy szosą między drzewami. Prowadził Cobb. Poznałem go po głosie.

- Jak się czujesz?

Chciałem powiedzieć, że nieźle, gdy poczułem ból nogi. Dopiero teraz zrozumiałem, że mam ją owiniętą i usztywnioną. Jola wstrzymała moją rękę.

- Masz złamaną nogę i trochę się potłukłeś - wyjaśniła.

- Aha - odparłem. - Boli.

- To normalne - powiedział z przodu człowiek o chyba nieograniczonych możliwościach.

- Która godzina? - spytałem.

- Niedługo będzie świtać - odparł. - Opowiedz mu Jolka, jak tu się znalazł, bo pewnie umiera z ciekawości.

Pogładziła mnie po głowie.

- To on nas wyciągnął, kiedy morze wyrzuciło kuter na skały - mówiła cichym głosem. - Kiedy wciągnęliśmy cię na górę, okazało się, że po drugiej stronie cypla leży mała wioska. Poszedł tam i po godzinie wrócił z samochodem. Nie masz pojęcia jak się bałam. Było tak ciemno, a ty się nie ruszałeś.

- Ukradł samochód?! - spytałem z podziwem, lecz z przodu dobiegł tylko cichy śmiech.

- Potem zdjął z ciebie mokre ubranie i założył łupki. W bagażniku były koce i swetry. Właściciel tego wozu chyba prowadzi sklep.

- Gdzie jedziemy?

Tym razem Cobb pospieszył z odpowiedzią.

- Według mapy za parę kilometrów będzie miasteczko, które biegnie linia kolejowa do portu Dawind. Możliwe, że się rozdzielimy.

- Dlaczego?

- Może jeszcze nie wiedzą o naszym zniknięciu, ale to kwestia najbliższych godzin. Będą szukać dwóch mężczyzn i kobiety. Jeśli będziemy podróżować osobno utrudnimy im zadanie. Poza tym łatwiej będzie się przedrzeć przez obławę.

- Nie pomyślałem o tym.

Jechaliśmy w milczeniu.

- Sądzisz, że znajdą resztki kutra?

- Z pewnością. Wystarczy, że się rozjaśni. Mają przecież ciężkie helikoptery transportowe na każdą pogodę.

Po bokach wyskoczyły domy miasteczka. Puste ściany z zasuniętymi żaluzjami sklepów. W takich miejscach bez kłopotu znajduje się dworzec kolejowy. Już po paru minutach zatrzymaliśmy się na opustoszałym parkingu.

Zostałem sam w wozie, poszli sprawdzić rozkład. Starając się nie urazić nogi wyjrzałem przez szybę. Był już świt. Właśnie gaszono neon nad wejściem. Obok muru siedł ktoś w mundurze. Wcisnąłem się

głębiej w siedzenie, ale człowiek stanął na tle nieba i dojrzałem, że jest to kolejarz. Odetchnąłem z ulgą.

- Jola ma pociąg za godzinę - powiedział Cobb, wracając sam z dworca.

- To ona jedzie?

- Tak będzie najlepiej. Prosiłem ją aby została już na dworcu.

- Ależ Roland?!

Uspokoił mnie gestem ręki.

- Uwierz mi, tak będzie najlepiej. Ty nie możesz jechać a ona sama nie poradziłaby sobie z tobą.

Miał rację.

- Powiedziałem jej, aby starała się dostać do redakcji „Obserwatora”. Jeśli i tam departament ma wtyki, to ma je wszędzie.

Ruszyliśmy.

Piętnaście kilometrów za miasteczkiem skręciliśmy w boczną drogę. Cobb twierdził na podstawie mapy, że odległość jest taka sama, a mniej będziemy się rzucać w oczy z naszym kradzionym wozem. Po dziesięciu kilometrach samochód zakrzusił się, przejechał rozpędem paręnaście metrów i stanął.

- Gówno - powiedział Cobb, gdy uniósł się znad maski. - Ten grat ma do niczego paliwomierz. Bak jest suchy jak pieprz.

Znów musiałem włożyć zimne i ciężkie teraz jak ołów spodnie. Deszcz już nie padał ale trawa, na której Cobb mnie posadził, była wciąż mokra. Sapiąc wepchnął samochód w gęstsze zarośla. Odszedł parę metrów i najwyraźniej zadowolony z dzieła chwycił mnie za ramię.

- Widać dym - pokazywał na odległe o paręset metrów drzewa. - Chyba ktoś tam mieszka. Hopla, mój intelektualisto! - zawołał unosząc mnie w górę.

Trzymając się jego szyi pomyślałem, że głupio wygląda facet niosący drugiego na rękach.

* * *

W niewielkim domu o brudnych ścianach zastaliśmy chudego, o szczirowatej twarzy człowieka i jego żonę - korpulentną blondynkę.

- Dzień dobry - przywitał ich grzecznie Cobb, sadzając mnie na ławce. - Mieliśmy wypadek kilka kilometrów wcześniej. Za szybko jechaliśmy. Czy jest u państwa telefon?

Człowiek pokręcił głową i chyba tylko ja dostrzegłem przelotny wyraz zadowolenia na twarzy Cobba.

- Po południu mój mąż wybiera się do miasta. Mógłby tam panów odwiedzić - kobieta uśmiechnęła się odsłaniając żółte zęby.

Cobb zawahał się i spojrzał na mnie.

- Dobrze, z chęcią odpoczniemy u państwa.

Zaprowadzili nas do pokoiku na strychu. Panował tu, o dziwo, przyjemny zapach starego domu. Niewyspany, z bolącą nogą, aż jęknąłem widząc wygodne łóżko. Poza nim w pokoju stały tylko rzędy jakichś doniczek i jedno krzesło. Na nim to usiadł Cobb.

- Śpij - powiedział. - Ja tu będę siedział.

* * *

Kiedy potrząsnął mnie za ramię wydawało mi się, że nawet nie usnąłem. Myliłem się.

- Mają nas - szepnął mi do ucha. - Usnąłem na krześle.

Za oknem słychać było syrenę policyjną.

- Niech to diabli. Miałem przecucie, że te sukinsyny mają telefon. Kłamali.

Za oknem ktoś zaczął krzyczeć przez megafon. Podobno w chwilach zagrożenia, niektórzy ludzie histeryzują, inni wpadają w apatię, a jeszcze inni wykazują zadziwiającą odwagę. Ja wykazałem w tym momencie straszliwą spostrzegawczość. -

- Roland - spytałem. - Jak się czujesz?

Popatrzył na mnie zdumiony.

- Normalnie, ale uciec nie zdołamy.

- Nie o to chodzi - odparłem skręcając w bok głowę.

Spojrzał w to samo miejsce.

- Ty tego możesz nie wiedzieć, lecz ja wiem - kiwnąłem na doniczki z kwiatami. - Zgadnij, co to za roślina?

Oczy rozszerzyły mu się.

- To jest Helioza - odparłem. - Ta cholerna Helioza, która nie wiadomo jakim cudem trafiła do tego domu.

Policjant za oknem wrzeszczał jak opętany.

* * *

Nasze pozycje nie zmieniły się od paru minut. Ja wciąż leżałem, a on stał. Jedyne nasze spojrzenia ogniskowały się w tym samym miejscu.

- Jesteś pewny?

W moim wzroku było coś takiego, że już nie pytania.

- Przecież jestem zdrów, a chyba z godzinę temu wachałem te kwiaty. Zaraz jak tylko przyszedliśmy.

Przy megafonie policjanta zastąpiła kobieta. Była to gruba żona właściciela.

- Panowie, miejcie litość - łkała. - Oni grożą, że spalą cały dom, jeśli nie wyjdziecie.

Było mi to całkiem obojętne.

- No i co powiesz? - spytałem Cobba, lecz zdumienie zamknęło mi usta.

Nie wiem skąd on wzięł ten nóż. Był to długi, oprawiony w czarny plastik sprężynowiec.

- Sam mówiłeś kiedyś, że aktywizacja nie musi następować drogą oddechową - wyjaśnił jakby od niechcenia. - Muszę się upewnić.

Podszedł do kwiatów i wybrał najbardziej rozwinięty, wręcz ociekający nektarem. Przeciął kielich tak, aby na nożu zostało wystarczająco dużo lepkiej substancji.

- Raz kozie śmierć - powiedział i wbił ostrze w ramię. Zatopiło się na centymetr w ciele. Krew zaczęła kapać między palcami, nóż spadł na podłogę.

- Uciekaj natychmiast - powiedział.

Nie musiał mi tłumaczyć. Na szczęście już wcześniej zauważyłem stojącą w kącie szczotkę. Opierając się na niej zszedłem na parter. Cobb zatarasował drzwi czymś ciężkim. Mogło to być tylko łóżko.

Nie zważając na rozpaczliwie wycelowaną we mnie broń, kuśtykałem w kierunku dowodzącego

akcją. Można go było rozpoznać po mikrofonie w rękę. Nie takiego obrotu sprawy się spodziewał, gdyż ze zbaraniałą miną patrzył na moje wysiłki. Jeszcze próbował ratować twarz.

- Unieść ręce do jasnej cholery! - wrzasnął bez sensu zważywszy stan mojej nogi.

- Gdzie jest drugi?!

- Proszę mnie natychmiast połączyć z wyższym dowódcą, Nie możecie nas stąd zabrać.

Wydawało się, że mimo młodego wieku zaraz go udusi apopleksja. Stojący za nim szczirowaty właściciel robił do mnie żalosne miny.

- Spróbujcie tylko stawiać opór.

- Mój kolega jest przypuszczalnie zakaźnie chory, jeżeli ktoś go ruszy, to gwarantuję, że za godzinę skona we własnych rzygowinach.

Policjant najwyraźniej nie lubił naturalistycznych opisów, gdyż skrzywił się z niesmakiem.

- Mam rozkaz dostarczyć was na wyspę Ormoz - prawie się tłumaczył.

- Ci, co wydali ten rozkaz nie wiedzieli tego, co ja wiem w tej chwili. Zapewniam pana, że jeśli nie dostanę połączenia, to w niedalekiej przyszłości zostanie pan zdegradowany. Zapewniam, że nie są to pogrożki tylko stwierdzenie faktu.

Wahał się.

- Przecież nie ucieknę panu, ani tym bardziej on.

Obrócił się do wozu i nachylił nad radiostacją, ja w tym czasie usilnie starałem się dojrzeć, co dzieje się w pokoju. Ale z tej odległości mogłem równie dobrze oglądać znaczki. Za szybą pokoju nic się ruszało.

Risch musiał odczuwać wyrzuty sumienia, gdyż to jego głos powitał mnie w sztabie akcji.

- Czy to ty Filipie? Na litość...

- Zamknij się!

Powiedziałem mu to po raz pierwszy w życiu i przyznaję, że było mi to potrzebne.

- Zamknij się i słuchaj! Słuchaj!

Gdy skończyłem, długa cisza świadczyła, że ma się z kim podzielić rewelacjami. Niemniej, kiedy wywołał mnie po chwili, sam przyznałem, że ma pecha.

- Zamknij się - powiedziałem mu ponownie i odłożyłem mikrofon.

Miałem ku temu powody. Z tego małego, odrapanego, cholernego domku wyszedł Cobb. Zdrowszy i cały. Taki sam jakiego opuściłem przed godziną. Tylko czerwoną plamę na koszuli miał trochę większą.

- Może by mi wreszcie ktoś opatrzył rękę - powiedział stając przed nami.

Patrzyły na mnie zawadiackie i kpiące oczy. Przycisnąłem go do siebie i parę razy mocno walnąłem po plecach. Zasyczeliśmy z bólu obydwoj. Policjant trzymający radiotelefon, z którego wciąż wydierał się Risch, miał minę świadczącą o zastrasząco niskim poziomie inteligencji.

Epilog

Tego dnia morze było spokojne. Jedyne mgła wisiała w powietrzu zakrywając przed naszym wzrokiem niedaleki ląd. Staliśmy z Rischem w tym samym miejscu, które odkryliśmy z Jolą. W dole sine fale z cierpliwością Syzyfa wpełzały na skały.

- Po wszystkim - westchnął Risch kończąc kilkuminutowe milczenie. - Wiesz? Prezydent dziękował nam za to, że obyło się bez ofiar. Mówił, iż ciągle wierzył, że nie dojdzie do ostateczności.

Nic nie mówiłem. Kłęby mgły ponaglane wiatrem przelewały się przez szczyt skarpy.

- Mówiłem ci, że dostałeś trzydzieści tysięcy?

- Milczenie kosztuje - odparłem.

- Gdzie tam! - oburzył się. - Przecież pracowałeś dla nas.

Mleko uniosło się w górę odsłaniając szeroki tunel przestrzeni nad morzem. Tam dalej fale były większe, ale brzegu nie udało mi się dostrzec.

- Dlaczego nie chcesz wrócić na uniwersytet?

- Przecież wziąłem tylko urlop.

- Po trzyletnim urlopie mało kto wraca do pracy.

Wzruszyłem ramionami i spytałem.

- Nie masz wyrzutów sumienia?

Tym razem on zamilkł. Chyba zrobiło się zimniej, gdyż dreszcz przeszedł mnie po całym ciele.

- Przepraszam - powiedziałem.

- Nie szkodzi - odparł. - Masz prawo.

Odwróciliśmy się ku budynkom. Czas było wracać. Podał mi ramię.

- Chyba nigdy się nie dowiemy, jak to było naprawdę. Musimy zadowolić się tym, że Cobb nie uległ Heliozie - odczuwał potrzebę mówienia. - Może rzeczywiście miał tylko nietypową grypę, a może organizm sam zwalczył wirusa. Mogliśmy też popełnić gdzieś błąd w rozumowaniu. Sam nie wiem.

Zauważyłem, że ostatnio w ogóle mało wie.

- Wiesz czego się nauczyłem? - spytałem, gdy weszliśmy na plac między budynkami.

Pokręcił głową.

- Ludzie, ich rozwój, przekroczył próg, do którego wolno popełniać pomyłki. Kiedyś taki błąd mógł kosztować życie jednego, może paru ludzi. A teraz? Wrzucamy kamień do stawu, a fala nie rozplywa się na wodzie, ale wprost przeciwnie. Toczy się i przelewa niszcząc wszystko tak aż do końca, rozumiesz? Możemy stawać na głowie, ale błędu nie naprawimy.

- Chyba że pomoże nam przypadek lub szczęście.

- Tak, ale przypadki nie powtarzają się, bo przestałyby być przypadkami.

Przed nami na płycie lądowiska stał duży helikopter.

- Wiesz z czego się najbardziej cieszę? - spytałem. - Co uważam w tym wszystkim za najważniejsze?

Pokręcił przecząco głową. Uniosłem rękę z wyciągniętym palcem. W kabinie już gotowa i spakowana siedziała Jola. Przez zamglone szyby widać było jak ze śmiechem opowiada Cobbowi swoją historię. Pewnie opisuje chwilę strachu i rozgoryczenia, kiedy zatrzymali ją w redakcji. Ale to minęło. Przywitani śmiechem wsiedliśmy do środka. Rotor helikoptera zakręcił się szybko, coraz szybciej. I poleciliśmy,

bogatsi o parę spraw, z których nie wszystkie zostały przemyślane do końca.

Wyspa została sama. Targany wiatrem kawałek skały z zamkniętym w czworobok kompleksem budynków. Chmurzyło się, a słony wiatr od morza rozwiewał trawę. Nic nie zakłócało rytmicznego oddechu przyrody.

Punkt osobliwy

Podła, pełna dziur i kolein droga, wiła się zбочem wzgórz, przelatywała nad górskimi potokami, aby po chwili wpaść w gęsty cień lasu. W zagłębieniach połyskiwała woda, granatowa nadchodzącym zmierzchem. To od niej i od lasu pochodził specyficzny zapach, pełen ukrytej zgnilizny i starości. Ostatni drogowskaz jaki widział, mówił o dziesięciu kilometrach, ale z każdą minutą coraz bardziej powątpiewał w jego wiarygodność. Purpurowa łuna, jedyna pozostałość Słońca, jeszcze bardziej psuła humor.

„Przyjedź... coś co cię zainteresuje... będę czekać...”

Zdziwił się, kiedy dostał ten list. Przez pierwsze chwile szukał w pamięci imienia, którym podpisano kartkę i dopiero adres otworzył furtkę pamięci.

Znali się długo; studia, miłość do dziewczyny, która w końcu wybrała innego. Potem życie toczyło się innymi drogami. Stefan, o ile Tomasz pamiętał, zdawał ponownie na studia, tym razem medyczne. Jeszcze raz czy dwa spotkali się przypadkiem u wspólnych znajomych, lecz wkrótce i tych zabrakło. Dziesięć lat, a teraz list. Dziwny, tak bezpośredni jak gdyby pożegnali się ledwie tydzień temu.

- Psiakrew - zaklął i gwałtownie ruszył kierownicą.

Idący środkiem drogi chłop z krową na postronku nawet się nie ruszył, osłaniając tylko oczy od światła. Jak taki żyje? Dzień w dzień to samo. Chałupa, pastwisko, jak podtuczy prosiaka to raz na kwartał ciągnie go na targ, 1 tak w kółko.

A... chyba przesadzam - pomyślał.

Zmarszczył brwi i przez chwilę uważniej patrzył na drogę. Drzewa, jak dekoracja obłąkanego scenografa pozwalały się lizać światłu, chowając między konarami czerni głębi lasu. Momentami snop jasności ożywiały drobne punkciki owadów wirujące przez chwilę i nurkujące nieodwracalnie w ciemność. Z palcem na przycisku przypomniał sobie, że radio ma popsute od przeszło tygodnia. Skrzywił się. Beata pewnie teraz siedzi i próbuje czytać Dostojewskiego. O ile ją zna, po jakichś dwudziestu minutach z niewyraźną miną odłoży go na półkę i weźmie się za kryminał. No, może tak źle nie będzie, w końcu lekkie powieści też mają w biblioteczkę. Jak to ona ostatnio powiedziała? „Raskolnikow miał typowy konflikt Schopenhauerowskiego nadczłowieka”. Boże! Dlaczego zawsze i wszędzie cytuje innych. Nigdy nie może użyć własnych słów. Zawsze stara się go naśladować, nawet w gestach. To pocieranie nosa w chwili zastanowienia też od niego przejęła. Chociaż... Miał okazję przyglądać się jej, gdy o tym nie wiedziała i przyznawał, że robiła wrażenie znacznie pewniejszej siebie.

Nareszcie koniec lasu. Po lewej stronie miga plama chałupy. Przez szum silnika przebija jazgot kundla. Wioska jest pusta, mimo dość wczesnej pory. Tylko za oknami jarzą się żarówki. Uśmiechnął się pod nosem, będąc pewnym, że wszyscy oglądają telewizję. Kultura masowa. Dużo chleba, mało pracy i telewizor; synonimy szczęścia w kieszonkowym wydaniu. Niektórym to nie wystarcza, ale w końcu, ilu ich jest? Życie i ludzie, jakkolwiek by się nazywali, wszędzie i zawsze postępują tak samo. Nieważne w jakim mówią języku, na czyje nazwiska się powołują, a na czyje plują. Reguły są te same, zawsze. Jeśli cokolwiek można poznać i zrozumieć, to tylko fakt, że nie da się wyrwać z ich kręgu. Przez ciernie do gwiazd! Ha...! Chyba tylko po to, aby się upewnić, że między gwiazdami możemy znaleźć to samo co tutaj.

Zahamował, widząc czerwoną latarnię zawieszoną na wolno jadącym wozie. Chłop drzemie, ale

tylko dzięki temu Tomasz dostrzega niewielką planszę ze strzałką. To tutaj! Skręcił posłusznie. Nieduża aleja, zza gałęzi drzew prześwituje rozszepcane światło dominującej nad parkiem bryły domu. Przed wojną był to dworek. Mimo zmroku i lat zaniedbania daje się zauważyć proporcjonalną sylwetkę o białych ścianach, które za dnia muszą kontrastować z zielenią dotykającej go ściany lasu.

Szerokim łukiem ominął leżącą naprzeciwko wejścia małą sadzawkę i zatrzymał się przed drzwiami. Trudno uwierzyć, lecz w człowieku, który wyszedł mu na spotkanie od razu rozpoznał Stefana. Klepią się po plecach, chyba bardziej z przekory, niż odruchu. Dopiero kiedy Tomasz powiedział, że z rana musi wracać, twarz Stefana pokryła się smutkiem. Pokiwał głową i zaprosił do domu.

W środku było cicho. Miękki chodnik tłumił kroki. Wąski, jak studnia korytarz był wypełniony dusznym, nieruchawym powietrzem. Stefan coś bąknął o trudnościach z założeniem klimatyzacji. Po drodze spotkali dwie kobiety. Obydwie ubrane w wykrochmalone białe fartuchy i jednakowe kostiumy pod spodem; pielęgniarki. Odpowiedzieli im ukłonem i weszli do jadalni.

- Oni już jedli - stwierdził Stefan widząc, jak Tomasz wodzi wzrokiem po sali mogącej pomieścić ze trzydzieści osób.

Usiedli przy stole niby takim samym jak inne, ale jednak czymś się wyróżniającym. Może usytuowaniem, a może bukietem kwiatów stojących w wazonie. Jedząc kolację rozmawiali, a właściwie przypominali sobie dawnych znajomych, zatarte czasem miejsca i zdarzenia. Jedynie Tomasz był zażenowany tym, że niektóre rzeczy umknęły mu z pamięci, a mimo to z kamienną twarzą potakiwał i uśmiechał się porozumiewawczo. Chyba tylko Barbarę pamiętali obaj, każde zdarzenie nawet najdrobniejsze. Lecz, o dziwo, nie mogli sobie przypomnieć jej twarzy, jej wyglądu, czym obaj byli zawstydzeni. Dziwili się, jak można pamiętać kilka słów, jakie powiedziała któremuś z nich dziesięć lat temu i nie potrafić złożyć w myślach jej oczu z jej włosami, ustami, tak aby w końcu mogli dojrzeć ją całą. Szczękając sztuczkami kończyli jeść w milczeniu.

Pielęgniarka, tym razem już bez fartucha, zebrała naczynia. Tomasz skorzystał z okazji, zapalił papierosa i leniwie obserwował, jak dziewczyna szepcze coś Stefanowi na ucho. Widać nie było niczego rewelacyjnego, gdyż po chwili zostawiła ich samych. Stefan poczekał aż zamkną się drzwi i wyjął z kieszeni plastikową fiolkę. Wprawnym ruchem strzepnął na dłoń jedną pastylkę, zerkając w górę tak, jakby chciał przeprosić Tomasza.

- Pewnie chcesz wiedzieć, co się kryje pod ogólnikami, jakimi raczyłem cię w liście? - stwierdził, łykając na sucho tabletkę.

Tomasz przytaknął i odchylił się do tyłu, odsuwając kotarę pobliskiego okna. Za przejrzystą firanką widać było masyw lasu, rozświetlony u góry latarnią niewidocznego stąd księżyca.

- Ładnie, prawda? - spytał Stefan.

Mimowolnie pokiwał głową.

- Chyba dlatego ten pensjonat nigdy nie narzeka na brak chętnych. Ale... - Stefan zachichotał. - Kolejek też nigdy nie mamy.

Przerwał, aby odchrząknąć.

- Człowiek, o którym chcę ci opowiedzieć, został do nas przywieziony dwa lata temu. Młoda para, z którą przyjechał, nie była dla niego, jak sądzę, nawet rodziną. On sam nigdy nie chciał na ten temat mówić. Faktem jest, że opłacili za jego pięcioletni pobyt z góry i odjechali, nie zostawiając adresu, gdzie przesyła się informacje. Staruszek wyglądał na zadowolonego z zaistniałej sytuacji. Dopiero później zrozumiałem, że było mu to po prostu obojętne. Wyglądał o wiele starzej, niż miał w rzeczywistości. Pokryty woskowatą skórą pełną zmarszczek i plam, z pająkowatymi kośćmi rąk i osadzoną na chudej szyi dużą głową był najgorzej wyglądającym pacjentem w naszym pensjonacie - uśmiechnął się do siebie. - Wstyd się przyznać, lecz w dniu odwiedzin zawsze nakłanialiśmy go, aby pozostawał w pokoju. Baliśmy

się, że jego wygląd może nasunąć komuś paskudne myśli.

Przerwał, aby wykonać parę w zasadzie zbędnych gestów. Świszcząc nabrał powietrza.

- Chyba po trzech miesiącach zacząłem z nim rozmawiać inaczej niż z innymi. Ku memu osłupieniu posiadał wiedzę bez porównania większą od mojej i był urodzonym erudytą. Lecz musisz wiedzieć, że tylko niektóre sprawy go interesowały. Do codziennych, tych ludzkich, większych i mniejszych odnosił się może nie tyle z pobłażaniem, co z brakiem zainteresowania. Jego zaangażowanie emocjonalne w tym kierunku było zerowe. Za to zadziwiał mnie w chwilach, gdy poruszaliśmy kwestie egzystencji ludzkiej, człowieczeństwa, bytu. Potrafiliśmy mówić aż do samego rana.

Westchnął cicho.

- Ale wyobraź sobie, iż mimo że spotykaliśmy się ponad rok, nigdy, ale to nigdy nie zdradził mi swojego największego sekretu. Naturalnie teraz, gdy przypominam sobie słowa i gesty, widzę wspólne źródło, z którego wpływały jego myśli. Niestety, nigdy nie będę mógł z nim o tym pomówić.

Uśmiechnął się, jakby przepraszał.

- Zmarł dwa miesiące temu. Miał lekką śmierć, odszedł we śnie. Mnie zaś zostawił list i swój sekret - zawahał się przez moment. - Chodź. Najlepiej będzie, jak ci to pokażę. Jest to coś niesamowitego, nie do uwierzenia - dodał, już trochę nieobecny głosem i podszedł do drzwi.

Tomasz wyduł wargi w grymasie dezaprobaty i grając dla niewidzialnego widza zrobił minę na pół lekceważącą, a na pół pobłażliwą i podejrzenie sprężystym krokiem wyszedł na korytarz.

Podążał metr za Stefanem, patrząc na falujące w rytm kroków ramiona. Wydawało mu się, że lewe jest wyżej od prawego, ale równie dobrze mogło być to wywołane tym, że Stefan szukał w kieszeniach klucza. Zza drzwi, które mijali dobiegi cichy chichot. Zwolnił i na próżno szukając dziurki przyłożył ucho do płyty. Starał się umiejscowić i rozpoznać źródło dźwięku, ale śmiech umilkł; za szybko, jak na przypadek. Ktoś głośno oddychał, potem zamilkł i rozległ się cichy tupot. Był już teraz pewien, że ślina temu kretynowi za drzwiami musi skapywać z wpółotwartych ust wprost na podłogę. Uśmiechnął się z politowaniem i szybkim krokiem podążył za skracającym na schody.

Na półpiętrze Stefan otworzył okratowane drzwi z napisem „wejście dla personelu”. Przepuścił Tomasza i starannie zamknął za nim kratę. Tu powietrze było jeszcze bardziej gęste i lepkiymi haustami wpadało do płuc. Minęli zakręt korytarza. Nie wiedząc dlaczego, Tomasz już z daleka rozpoznał drzwi, do których zdążali, mimo iż niczym nie wyróżniały się z całego szeregu identycznych, ciągnących się ku następnemu załomowi korytarza.

Rażące światło umieszczonych pod sufitem rtęciówek oślepiło go zaraz po wejściu. Nieleddie po omacku, łzawiącymi oczyma dostrzegł poręcz krzesła.

- Aj... - jęknął przepraszał Stefan i ruszył przełącznikiem. - Miał tu być kiedyś gabinet zabiegowy.

W pokoju zapadł półmrok roztańczony mnóstwem płamek wirujących Tomaszowi przed oczyma. Przecierając powieki zauważył jak Stefan wyjmując coś z szafki i kładzie na stole. Bardziej z roztargnienia niż potrzeby sprawdził dłonią siedzenie zanim usiadł.

- Masz przed sobą szklaną kulę wytopioną z mieszaniny o dokładnie wymierzonych proporcjach, posiadającą pewną konkretną wielkość. Zaznaczam to, gdyż jej wymiary mają pierwszorzędne znaczenie. To właśnie ona, sposób jej wytworzenia były sekretem tego człowieka.

Ręka Stefana spoczywała na idealnie kulistej bryle szkła, wielkości ludzkiej głowy. Nie wiadomo kiedy zapalona lampka pod oknem dawała światło, które rozszczepiało się we wnętrzu kuli tworząc wokół obrysu migoczącą sferę, podobną do aureoli. Z tyłu, za drzwiami, ktoś cicho stąpał korytarzem, gdy mijał pokój, usłyszeli szklane brzęczenie, tak charakterystyczne dla niesionych na tacy lekarstw.

- Powiem ci to, co było w liście do mnie, gdyż sam nie znam niczego więcej. Podobno sposób wykonania tej kuli znany był już w starożytnej Grecji, później dowiedzieli się o niej Galileusz, Kant,

Newton i inni wielcy swoich epok. Nie mam pojęcia, skąd ten człowiek dowiedział się o niej. Nawet nie będę wysuwał przypuszczeń.

Nagle roześmiał się tak niespodziewanie, że Tomasz począł tęsknić jaskrawego światła.

- Wybacz, ale dopiero w tej chwili skojarzyłem sobie, że jeszcze ani słowem nie wspomniałem ci o samym działaniu. Otóż ma ona tę właściwość, że jeżeli w jej otoczeniu będzie człowiek, który skoncentruje myśli na uczuciu nadziei, to uniesie się ona w górę na kilkadziesiąt centymetrów.

- Jakiej nadziei? - Tomasz był pewien, że się przesłyszał.

- Jak by ci to powiedzieć? - Stefan pstryknął palcami. - Musisz czuć, że wierzysz w spełnienie czegoś, jakiejś rzeczy konkretnej, albo nawet niesprecyzowanej, bylebyś odczuwał nadzieję i wiarę w spełnienie, chociażby sensu twego życia. Niestety, mówię strasznie nieprecyzyjnie, ale chcę oddać ci istotę sprawy.

Pod zmarszczonymi brwiami Tomasza myśli nie dowierzały samym sobie.

- Jak mam rozumieć to, że ona się unosi?

Stefan uśmiechnął się. Jak na sygnał, leżąca dotąd w bezruchu kula uniosła się nad stół. Zawisła w tle ciemnego okna rzucając majestatyczne plamy światła na ściany i sylwetkę Tomasza, który splótł dłonie i chyba nie wiedząc dokładnie co robi, począł wykręcać palce.

- To ty?

- Nie, to ona sama. Ja tylko pomyślałem.

- Żartujesz?!

Kula, jakby speszona wymianą zdań opadła na stół.

- Widzisz - wskazał Stefan palcem. - Zapomniałem o niej.

Tomasz zachnął się.

- Chyba nie powiesz...

- Moment - Stefan powstrzymał go gestem ręki. - To jeszcze nie wszystko. Tę właściwość posiada tylko i wyłącznie kula o takich parametrach. Gdybyś choć trochę je zmienił, nic by się nie działo. A tak masz coś, co zaprzecza prawom fizyki. W świetle dzisiejszej nauki jest niewytłumaczalne. Zapewniam cię, że ponad miesiąc badałem całe zjawisko, wertując mnóstwo publikacji z fizyki, psychologii, neurologii, parapsychologii i czort jeszcze wie czego. Nic. Rozumiesz? Nic mi to nie dało. Żadne magnesy, pola biologiczne czy inne cuda. To im się - nie poddaje. Jest po prostu - punktem osobliwym naszego Wszechświata. Zjawiskiem jedynym w swoim rodzaju.

Umilkł, chyba przejęty tym co mówił. Tomasz uniósł głowę opartą dotąd o zaciśnięte pięści.

- Załóżmy, że ci uwierzę, ale o ile rozumiem, ja też powinienem potrafić unieść kulę.

Co to znaczy mieć nadzieję? - pomyślał. - Życie jest takie, jakie jest. Niczego rewelacyjnego, burzącego mój światopogląd nie oczekuję i na co tu ja mogę mieć nadzieję. Że dostanę przeniesienie?... niby mam na to nadzieję.

Kula leżała obojętnie, aż do momentu, kiedy zrobiło mu się całkiem nieswojo.

- Prawie że mnie nabrałeś - zaśmiał się, nie wiedząc, czy ma się obrazić, czy też uciec w żart.

Stefan pokręcił przecząco głową.

- To nie jest głupi kawał. Ty jeszcze nie rozumiesz, co to znaczy mieć nadzieję. Boję się, że pojmujesz to zbyt uproszczenie. Sądzę, że powinniśmy tak zrobić: ja teraz wyjdę i zostawię cię samego. Będę siedział w pokoju obok, drugie drzwi na prawo. Jak będziesz chciał, to mnie tam znajdziesz. Nie rezygnuj tak łatwo.

Nie wiadomo dlaczego zrobiło mu się gorąco. Może dlatego, a może z całkiem innego powodu siedział nieruchomo na krześle pozwalając, aby tamten zostawił go samego. Cisza.

Za kotarą, na okuciach okiennych tańczył blask księżyca. Materiał był zakurzony i opierając się o

parapet omal nie kichnął. Przystawiając czoło do szyby nie udało mu się dojrzeć niczego nadzwyczajnego. Popielate niebo przeglądało się w sadzawce z utopionym kręgiem księżyca.

A jeśli on mówi to poważnie... - wykrzywił wargi. - Bardziej wygląda to na oryginalny sposób terapii. Ale załóżmy...

W co ja mam wierzyć? Że coś się zmieni? Co?! Życie jest takie jakie jest. W zasadzie nie można się spodziewać niczego nadzwyczajnego. Wszystko biegnie według ustalonych schematów i jedyną trudnością jest ich mnogość. Naturalnie spotyka się rzeczy nieznanne, które człowieka zaskakują, lecz jest to tylko jeden ze schematów tego cholernego, biegnącego zawsze tymi samymi drogami świata. Gdy spodziewam się rzeczy nieznanych, przestają być one dla mnie niespodziewanymi. Więc u diabła, w co ja mam wierzyć?

Wrócił na środek pokoju i z lekkim drzeniem ujął w ręce kulę. Spoczone dłonie groziły stłuczeniem, lecz przyjemność trzymania chłodnego szkła wynagradzała ryzyko.

Stefan nie jest głupi. Jeśli badał to cudo, to z pewnością nie przeoczył jakiegoś prostego i naturalnego wytłumaczenia. Chociaż tak właściwie, wystarczy sam fakt, że zrobienie kuli różniącej się nawet minimalnie parametrami powoduje zniknięcie efektu. Mamy więc do czynienia, rzekłbym, z wymiarami doskonałymi, nieomal absolutnymi. Właśnie, absolut!

Delikatnie pomasażował koniuszkami palców szkło, chcąc jakby podkreślić jego realność zamkniętą w krzywiźnie kształtu.,

Byłoby to jedyne odstępstwo od determinizmu naszego Wszechświata, jak to nazwał Stefan, byłby to punkt osobliwy naszej materialnej rzeczywistości, nie podlegający jej prawom, wymykający się wszelkim próbom opisu. Wierzący widzieliby w tym ślad Stwórcy, swoisty podpis Boga przypominający ludziom o ich miejscu. Dla materialistów byłby to pretekst do wytoczenia mnóstwa teorii i hipotez równie słusznych jak i bezsensownych, zważywszy absolutną odrębność badanego obiektu od tego na czym do tej pory budowali swój aparat pojęciowy. Ha... to myślenie o nadziei chyba by ich najbardziej drażniło. Ale i tak uznano by zapewne, że to zjawisko jest niewytłumaczalne w dzisiejszym modelu pojmowania świata, ale za jakiś czas, gdy powstanie model ogólniejszy, zawierający jako część składową nasze dzisiejsze pojęcie, to z pewnością znajdzie ono swoje klarowne i naturalne wytłumaczenie.

Usiadł na krześle, tyłem do drzwi.

Lecz jeśli uznamy to za obiektywnie istniejący punkt osobliwy naszego Wszechświata, przyjdzie stwierdzić, że świat przestaje być splotem wydarzeń, gdzie w zasadzie wszystko jest wiadome i spodziewane. Świat staje się znów potencjalnie tajemniczy, intrygujący i, cokolwiek by mówić, wart oczekiwania i życia w nim.

Przymknął oczy nie zauważając, że szepcze sam do siebie.

- Mgła się rozwiewa i wokół drogi, którą dążyłem, dostrzegam najróżniejsze możliwości, może nawet dostrzegane przedtem, ale uznane za bezbarwne i skazane na pustość spełnienia. A wystarczy tylko znaleźć punkt wyjścia. Kto wie, może każdy potrafi znaleźć swój punkt osobliwy.

Roześmiał się na głos trochę rozbawiony, a trochę zadowolony z finiszu biegu swych myśli.

- To dobrze wpływa na samopoczucie - dodał w duchu, kładąc kulę na stole. - Ciekawe, czy Stefan doszedł do podobnych wniosków?

Dopiero będąc przy samych drzwiach zrozumiał, czego mu brakowało. Kula położona przez roztargnienie prawie przy krawędzi, musiałaby nieuchronnie spaść na podłogę. Szarpnął głowę, nie dowierzając sobie, nie wierząc w to, co ujrzy. Kula wisiała nad podłogą i lekko drżała w rytm jego oddechu. Idąc tyłem otworzył drzwi i nie spuszcżając kuli z oczu zawołał w głąb korytarza.

- Stefan! - cichy głos zamarł po paru krokach. Zawahał się przez moment, lecz już po chwili

powtórzył okrzyk.

- Stefan!

Mocny dźwięk poleciał korytarzem, odbił się od ścian i wywołał idące ku niemu przez półmrok szybkie kroki Stefana.

Agent

- To nie maszyna ale człowiek dobiera kandydatów.

- Wolę maszynowe obliczenia, praktyka dowiodła...

- Praktyka dowiodła, że to jest niewiele warte. Wybiera komisja, i to nawet nie eksperci. Grupa ludzi ściśle powiązanych z Centrum Administracji Układu. Urzędnicy Departamentu Planowania i Zarządzania.

Towarzystwo wzajemnej adoracji. Jak każda administracja.

- To są organy szczątkowe, nasze społeczeństwo nie potrzebuje cugli i bata.

- Kiedyś, być może, tak się stanie. Ale obecnie bardzo by nam się przydał dobrze rozwinięty system administracyjny w obrębie Układu Słonecznego.

- Przecież istnieje system liczbowy porządkujący hierarchię ważności i w ramach tego systemu funkcjonuje społeczeństwo złożone z czterdziestu miliardów jednostek. W tym osiemdziesiąt procent to ludzie z Numeratorem większym od zera. Nikt, kto otrzymał stopień zerowy nie wymaga kontroli i praktyka dowiodła...

- Prawda, wszystko to prawda, ale osiemdziesiąt procent kreatorów nauki, siłą rzeczy, poprzez swoją liczbę stanowi zagrożenie dla reszty społeczeństwa.

- Problem kast? To zostało odrzucone.

- Nie w tym rzecz. Znasz rozkład statystyczny ukierunkowań naukowych? Znasz. A wiesz ilu mamy socjologów? Wiesz. Mamy cztery instytuty, każdy po sto kilkadziesiąt osób. Jedyna dziedzina nauki, w której można według litery prawa tylko teoretyzować. Wszelkie doświadczenia...

- Dobrze. Nie wiem nadal o co tutaj chodzi, ale jeżeli to ma związek z socjologią możecie dysponować moją osobą.

- Tak sądziłem. Byłeś przecież w górnej dziesiątce na Uniwersytecie. Do dzisiaj twoje prace dyplomowe są fundamentem dla badań modelowych na szóstym i siódmym roku. Wszyscy żałują twojego odwrotu w stronę czystej techniki.

- Życie kreatora to albo teoria, albo...

- Rozumiem. To są rozterki wieku dojrzewania psychicznego. Sam mając czterdzieści sześć lat spakowałem walizkę i... o zgrozo, wyłądowałem w Centrum Administracji. Jako matematyk i logik byłem szeregowym kreatorem. Tutaj jestem zwykłym śmierdzącym urzędasem, ale liczby mają dla mnie kształt realny, są wręcz namacalne. Praca tutaj - jest podła, niewdzięczna, wyjątkowo trudna i odpowiedzialna. Wytrzymują tylko ci, którzy robią to z powołania. Zrozumiałem to kiedy na kolejnym Zjeździe Delegatów Naukowych postanowiono przenieść Centrum Administracji z Ziemi na Marsa. Z ośmiuset tysięcy pracowników zostało tylko sześć tysięcy. Reszta złożyła rezygnację. Długo zastanawialiśmy się czy nie zlikwidować tej archaicznej z założenia Instytucji jakoby użytku publicznego. Przecież nie ma nic bardziej poniżającego i uwłaczającego niż funkcja nadzorcy, funkcja kierownika. Nikt z nas nie pragnął być „człowiekiem z batem”, ale zrozumienie procesów kontroli i sterowania wyrobione latami praktyki dawało nam pewność, że w społeczeństwie ewoluującym (jakim jest ludzkość) ciągle jeszcze potrzebny jest ktoś spełniający rolę koordynatora, katalizatora i kreatora, pozytywnych w naszym odczuciu zjawisk społecznych. Mówię o tym nie bez powodu, ponieważ z chwila kiedy staniesz się naszym człowiekiem będzie cię obowiązywał określony sposób myślenia i postępowania. Wiesz o tym, że poza Centrum nie

istnieje żaden rygor władzy lub posłuszeństwa. Dotyczy to kolonii gwiazdnych i w obrębie Układu Słonecznego ludzi z Numeratorem zero. To jest jednak forma kasty. Bo rygor władzy i posłuszeństwa w pełnym wymiarze obowiązuje tylko tych, których Numerator jest wyższy od pięciu. Czy nie zastanawiałeś się nigdy kim są ludzie o tak wysokim numerze? Przecież każde dziecko w dniu urodzin dostaje piątkę, a potem drogą naturalnej selekcji awansuje, by wreszcie otrzymać upragniony Zielony Krąg i Srebrne Zero. Jak to się dzieje, że dziecko, będące jeszcze w kołysce „piątką”, w wieku dojrzałym ma Numerator szóstkę lub dziesiątkę? Nie odpowiesz mi na to. O tym socjologowie nie lubią mówić. To jest ich czuły punkt. Mam rację?

- Dobrze, jesteś cholernym mądralą Wielki Administratorze i masz cholernie dużo racji...

- Spokojnie Teodoryku. Zostaw trochę adrenaliny na gorsze czasy. Na Ziemi będziesz jej jeszcze potrzebował.

Leżałem wsparty na portowym kontenerze. Pomieszczenie służące do przewożenia paczek i listów było paskudnie duszne i słabo oświetlone, ale miało jeden wielki plus w postaci zamka, który mogłem zablokować od wewnątrz. Dlaczego wędrowałem na Ziemię jako „żywność”, a niejako inspektor Centrum Administracji i Zarządzania? Chyba bałem się o powodzenie mojej misji, a może bałem się o siebie. Przed odlotem Szef dał mi do przeczytania mały notatnik z odręcznymi zapiskami.

- Tego, co tutaj napisano nigdzie nie znajdziesz w oficjalnych publikacjach, ale to wszystko jest prawdą - naszą prawdą. - Przemyśl sobie to wszystko i nie rób głupstw. Potrzebujemy za wszelką cenę prawdziwych danych o tym, co dzieje się na Ziemi. Ale nie jest to warte ceny twojego życia - nie dokończył zdania tylko skinął w stronę ukrytej w ścianie pancерnej szafy.

Zrozumiałem. Tam za ścianą w kilkunastu teczkach leżały karty informacyjne ludzi, którzy zniknęli. Naszych ludzi - inspektorów CAZ-u.- Nie ma obawy - powiedziałem - tym razem się uda.

- Każdy to mówił - szef podał mi rękę i tyle go widziałem. Potem włożono mnie do kontenera z napisami „Żywność. Nie rzucać. Pilne” i odstawiono do kosmodromu. Mój kontener miał adres kierunkowy: Biuro Ewidencji Ludności - Księżyc Dwa. Ja jednak już w sortowni zmieniłem kontener. Wybrałem duży pojemnik o zbliżonej wadze, w którym transportowano puszki z próżniowymi grzybami. Zamiana i przekładanie puszek nie trwało pięciu minut. Byłem diabelnie spocony i zły, a zarazem zadowolony. W ten sposób mogłem dotrzeć o cały dzień wcześniej na Ziemię bez konieczności paradowania po Księżycu. Pytałem sam siebie, po jakie лихо tak się wygłupiam. Lewe papiery, zmiana linii papilarnych, kieszenie pełne żelastwa. Potem robiłem krótkie podsumowanie ubiegłego roku i zaraz znajdowałem odpowiedź. Chciałem poznać prawdę i nie zmarnować szansy jaką dał mi szef. Dla świata umarłem. Dla CAZ-u byłem tylko pionkiem. Ale dla siebie byłem zdecydowanym na wszystko naukowcem myślącym jedynie o możliwościach sprawdzenia swoich teorii. Dwadzieścia osiem lat nauki. Profesor Kreator mający w wieku lat trzydziestu Srebrne zero i żadnych szans na badania empiryczne. Czysta teoria! Tylko tyle mi pozostawiono. Socjolog? Co to za dziedzina nauki? Takie pytania i kpiące spojrzenia mądrali od astrofizyki czy egzobiologii raniły mój zawodowy honor. Kiedyś przyjdą do nas na kolanach - powiedział szef - bo tylko my będziemy w stanie opanować ten chaos, już dzisiaj szykujemy kadry do przyszłej pracy. - Gdzie jest miejsce dla kosmosocjologii? - spytałem. - Tutaj! - odparł wskazując swój fotel. Chyba wtedy kupił mnie naprawdę. Przestałem mieć skrupuły i zastrzeżenia. Było to rok temu. Teraz siedzę w obcym kontenerze, lecę obcą rakieta i rozważam co lepsze, wysiadka na dworcu czy oczekiwanie aż dostarczą mnie do domu towarowego. Doszedłem do wniosku, że lepszy będzie dom towarowy. Dużo ludzi, możliwość zniknięcia w tłumie, żadnych niedyskretnych automatów rejestrujących ciężar kontenera. Ale co z grzybami? Nieumiałem tego rozwiązać i wreszcie zasnąłem zmęczony. Z sennych majaków, w których kosmate plechy dusiły mnie w imię dominacji fugoidów nad homoidami wyrwałem się dzięki budzikowi. Zabytkowy okrągły cykacz dzwonił niemiłosiernie głośno

zwiastując godzinę wyładunku. Odblokowałem zamek, wpętlłem do kontenera i skulony czekałem na samowyładunek. Nie było to jednak maszyna. To byli ludzie.

- Te, Rudy, twoje smakołyki - usłyszałem cichy szept.

- Zaraz to załatwię - drugi szept. Toczyli mnie gdzieś po nierównym podłożu.

- Ruszać się! - głośny ryk i odgłos uderzenia świadczyły, że tych dwóch ktoś pilnował.

- Ale ci przyłał - znów szept za cienką ścianą.

- Zabiję go kiedyś.

- Wszystkich ich wyrzniemy... Numerowane małpoludy. Czułem, że pot cieknie mi po plecach i drżą mi dłonie.

Ostatecznie też byłem „srebrniakiem”.

- Idzie magazynier, pryskajmy - gorączkowe szarpnięcia za pokrywą świadczyły, że mimo ryzyka próbowali jednak ukraść parę puszek. Chciałem zapobiec dekonspiracji, ale śliski plastik wyrwał mi się z rąk. Zobaczyłem twarz szarą, źle ogoloną, oraz oczy, które na mój widok zrobiły się zwierzęco dzikie.

- Co jest? - odległy ryk spowodował, że ciężka pokrywa zatrasnęła się gwałtownie o mało nie miażdżąc mi ciemienia.

- Wszystko gra, panie magazynierze - padła odpowiedź. Tylko mi nie grzebać w pojemnikach, bo zastrzelę na miejscu! - ciężka pałka znacząco uderzyła w bok mojego kontenera. - Co stoicie, ruszać się śmierdziele!

- Tak jest, panie magazynierze! - odgłos toczenia i przesuwania świadczył, że wyładunek trwał nadal. Po paru minutach kłapa kontenera uchyliła się i powtórnie zobaczyłem tamtego. Tym razem nie patrzył na mnie, lecz gdzieś w głąb magazynu.

- Pryskaj koleś - szepnął - zaraz będą szukać kontrabandy. Dzisiaj jest dzień wyrywkowej kontroli Urzędu Celnego...

- Zatłukę cię ty złodzieju! - krzyk i odgłos uderzeń zlały się w jeden dźwięk. Wystawiłem głowę. Mój informator leżał na ziemi kryjąc głowę w ramionach. Rozjuszony facet ubrany w zielony drelich wymachiwał karabinem szykując się do egzekucji. Jeden mój ruch i salę zaległa cisza. Teraz ten w zielonym leżał na ziemi i przebierał nieporadnie nogami.

- Jak stąd wyjść? - spytałem stając nad pobitym ładowaczem.

- Najlepiej kanałami - szepnął tamten z trudem dźwigając się z betonu.

- Czy macie tutaj spalarkę do opakowań? - spytałem.

- Jest - wskazał na odległy kąt magazynu. Dźwignąłem zielonego i włożyłem go do kontenera. Zauważyłem, że miał numer szósty.

- Dasz radę iść? - spytałem - widząc, że rude włosy mojego pechowego współnika ciemnieją od krwi.

- Dam radę - szepnął.

- To idziemy - ruszyłem pierwszy. - Gdzie twój kolega? - spytałem tocząc pojemnik między wysokimi regałami.

- Stoi na lipie.

- Zawołaj go - powiedziałem - galopem.

- Się robi szefie - rudzielec uśmiechnął się niewyraźnie i zniknął w pobliskim przejściu. Spalarka była nowego typu, o zwiększonej dynamice dysz udarowych. Otworzyłem ceramitowe wrota i wepchnąłem kontener na ruszt. Potem, kiedy już wszystko było gotowe do spalania, włączyłem prąd. Piec sapnął głęboko i było po wszystkim. W temperaturze dziesięciu tysięcy stopni ciało ludzkie rozpada się na atomy szybciej niż zdążymy o tym pomyśleć. Dotyczy to również pojemników. Rudy wrócił z kolegą. Głowę miał teraz obwiązaną jakimś gałganem, a zakrwawioną twarz obtarł pewno rękoma, bo widać

było brązowiejące smugi na policzkach.

- Pożegnajcie pana magazyniera minutą ciszy - powiedziałem wskazując na spalarkę. Milczeli, patrząc na mnie cokolwiek zdziwionym wzrokiem. - Wystarczy pięć sekund, to była wyjątkowa kanalia! A teraz gdzie ten kanał? - dziabnąłem rudzielca palcem w pierś.

- Pokażę - powiedział jego koleś i skinął w stronę pobliskiej windy. Zjechaliśmy do podziemi. Tutaj w zatęchłej sali składowano farby i lakiery. W rogu rozpierał się nieczynny komin wentylacyjny. Rudy pogrzebał w jednym z boków komina i bezszelestnie uchylił sprytnie zamaskowane wejście do kanału.

- Będzie ciasno - powiedział mierząc mnie wzrokiem. Istotnie byłem od nich o głowę wyższy i dużo lepiej odżywiony. - Tylko do łącznika, dwadzieścia metrów - dodał, widząc że waham się czy wpełznąć w tę krecią jamę.

- Ty pierwszy - wskazałem na Rudego. Ten bez słowa zniknął w otworze. Poszedłem jego śladem. Sądząc po tym jak gładkie i nie zakurzone były ścianki kanału, nie ja jeden wędrowałem tą drogą w tym tygodniu. Kiedy dotarliśmy do łącznika kanał rozszerzał się na tyle, że można było swobodnie klęknąć.

- Poczekajmy aż się ściemni - powiedział Rudy siadając na dnie.

- To niemożliwe - dziabnąłem go palcem w pierś, a może w plecy. W panującym tutaj mroku byłem zdany tylko na słuch i dotyk.

- Chcąc teraz wyjść musielibyśmy defilować przez cały dworzec - wtrącił się współnik rudzielca.

- A wieczorem?

- Wieczorem zamykają biura i można tamtędy przejść do zewnętrznych schodów i drzwi. Automat dozoru jest cokolwiek zepsuty, tak że...

- Wystarczy! - Wyciągnąłem paczkę papierosów i zapaliłem jednego. Cwane koty - myślałem - mają opracowane wszystko do ostatniego szczegółu.

- Tędy idzie szmugiel? - nie tyle spytałem co stwierdziłem, a fakt że mi nie odpowiedzieli upewnił mnie, że mam rację. - Wasza sprawa - mruknąłem i położyłem się tak, że nogami dotykałem rudzielca a ramieniem jego koleś. Milczeli i nie pytali mnie o nic. Było to denerwująco dziwne.

- Wasze imiona?! - powiedziałem tonem polecającym - rozkazującym.

- Gównu ci do tego kolego! - odpowiedź była niepokojąco brutalna. Złapałem Rudego nogami za szyję, a jego koleśa rękoma i zgiąłem się w kabłąk. Ich czaszki jednocześnie uderzyły głucho w niski strop. Puściłem bezwładne ciała i ruszyłem w dalszą drogę.

- Inspektor Teodoryk prowadzi śledztwo - parsknąłem śmiechem. Bolały mnie kolana i na dodatek wlałem w gromadkę szcurów grzebiących się w odpadkach. Pojaśniało. Pionowa rura nade mną otwarła się na tyle, że mogłem stanąć. Ginące w górze jasne punkty kratki wentylacyjnych świadczyły, że dotarłem do pomieszczeń biurowych. Zacząłem się wspinać. Nie było to trudne, gdyż wnętrze pionowego kanału pocięte było bocznikami miniklimatyzatorów odprowadzających tutaj nadmiar gorącego powietrza. Wszystkie napotkane kratki wentylacyjne były jednak zbyt małe abym mógł, nawet po wybiciu ramy, przecisnąć się na zewnątrz. Wspinałem się więc do góry i trwało to wieki. Monotonność tego pajęczego pełzania przerywały mi obrazy jakie mgliście rysowały się za kratkami wentylacyjnymi. Łazienka - kobieta i kobieta - ale to było tylko odbicie w lustrze. Pokój zebrani. Jakiś tłuścioch wali pięścią w stół, a reszta klaszcze. Samotny kot na oknie obok doniczki z pelargonią. Archiwum. Stosy zakurzonych teczek i segregatorów. Korytarz. Klębiący się tłum i facet w zielonym drelichu z pałą przy boku zerkający z wyższością na brzydulę o wysokim numerze, robiącą do niego oko. Mało nie spadłem. Skończył się szereg boczników, a ja odruchowo łapiąc pustą ścianę zrobiłem krok w górę i poleciałem do tyłu. Zaklinowałem się plecami i ramieniem, a moje nogi zaczęły podejrzenie mięknąć i dygotać.

- Spokojnie, spokojnie - szeptałem rozwijając krótką linkę zakończoną karabinkiem i przymocowaną

do mojego pasa. Po paru minutach odpoczynku ruszyłem do góry. Teraz szedłem asekurując się linką. Wprawdzie metr wyżej znów rozpoczęły się wygodne dla rąk i nóg otwory boczników, ale byłem już zbyt zmęczony by polegać jedynie na sile mięśni. Upiorny kanał skończył się wreszcie ginąc w dyszy wyciągu. Nade mną, w miejscu gdzie powinny wirować łopaty wentylatora widniało przedwieczne niebo. Z westchnieniem ulgi wypełzłem z metalowej rury i upadłem na płaski dach. Leżałem i oddychałem ciężko, masując zeszywniałe uda i bicepsy. Mimochodem rozejrzałem się dookoła i zobaczyłem tylko połowę Imperialu - najwyższego budynku w tym mieście.

- Wysoko się wdrapałeś, specjalisto od socjopatologii - stękając usiadłem i usiłowałem sobie przypomnieć jedną z uwag w notatniku szefa. „...istnieje organizacja zwana kanałową lub szcurzą. Zajmuje się przemytem, nielegalnym handlem i innymi formami...”

Istnieje! - chciało mi się śmiać, albowiem siedziałem na dachu Głównego Urzędu Ceł, a jeden z jego systemów wentylacyjnych służył kanalarzom za aleję spacerową. Co za pole do działania, kiedy można zerknąć albo posłuchać przez kratkę co też dzielni celnicy szykują nowego. Otrzeptałem ubranie. Chustką otarłem twarz i dłonie, po czym zapaliłem papierosa i ruszyłem w stronę windy. Wsiadłem na parterze i wmieszałem się w tłum interesantów. Strażnicy ubrani w zielone drelichy kontrolowali jedynie numery wchodzących do budynku. Na wychodzących nikt nie zwracał uwagi. Zapadł ciepły zmierzch, a ja byłem głodny. Inaczej niż na stacjach orbitalnych czy w koloniach za wszystko trzeba było płacić tutaj pieniędzmi. Śmieszne małe papierki i metalowe krążki wypełniały mi wewnętrzną kieszeń spodni. Oczywiście znałem teoretycznie ich zastosowanie i wartość. Mimo to popełniłem drobny błąd. Chcąc kupić tradycyjną kanapkę z serem i pojemnik z kawą podałem odruchowo sprzedawcy swój odcinek karty kredytowej.

- Przepraszam, ale to tylko w Uniwerach, tutaj gotówką - powiedział lustrując mnie wzrokiem. Podałem mu na chybił trafił papierek. Długo wydawał mi resztę zerkając podejrzliwie na moje brudne paznokcie, wymięty plastikowy półkombinezon i widoczne pod szyją srebrne zero wpięte w zielone koło.

Wprawdzie jedna kanapka nie nasyciła mojego głodu, ale poczułem się lepiej i mogłem zacząć myśleć o przyszłości. Byłem na Bulwarze Centralnym. Tuż za rogiem stał najbliższy Uniwer. Postanowiłem tam wstąpić i doprowadzić się do właściwego wyglądu. Po godzinie, wykąpany i uczesany, w nowiutkich, modnych tutaj spodniach z wełny i sportowej kurtce szedłem ulicą wśród słabo świecących zabytkowych neonówek i kandelabrow. Moje srebrne zero zniknęło. Zastąpił je żółty znak nieskończoności wpięty w czarne koło. Za to można iść do pieca - ostrzegł mnie szef. Pewnie, ale kto odważy się ruszyć członka Rządu? Szczególnie tutaj na Ziemi gdzie tytułomania i cyfromaniam pleniła się do przesady obficie. Szedłem więc z rękoma w kieszeniach, a ludzie z szacunkiem schodzili mi z drogi. Kiedy dotarłem do dzielnicy rządowej i skręciłem w kwietną aleję jasno oświetloną punktowcami, zwolniłem kroku. Bezcelność swoją drogą, a dokumenty swoją. Mijałem właśnie gmach Ministerstwa Nauki. Stojący u bramy patrol zsalutował na widok mojego godła. Gdybym spróbował wejść, o ile nawet tych matołów garnizonowych można było wziąć na krzyk i udany pośpiech, to wewnątrz musiałbym okazać swoją kartę identyfikacyjną oficerowi dyżurnemu. A przecież po to tutaj jestem, by dostać się do tajnych sprawozdań i archiwalnych taśm jakie krył w sobie ten budynek. Jak to zrobić?

Mijałem kolejno łączące się ze sobą gmachy Ministerstwa Techniki, Instytutu Statystyki i Biblioteki Centralnej... Jest! - prawie krzyknąłem. Poprzez Bibliotekę, droga... no nic, przeżyję to... droga kanalarzy. Od dołu! Stałem za żywopłotem i kiedy nikt nie przechodził obok zamieniłem godła. Znów byłem zwykłym kreatorem. Biblioteka o tej porze tętniła swoistym życiem towarzyskim. Parter i pierwsze piętro zamieniono na restaurację, coctail-bar i kawiarnię. W półmroku i oparach tytoniowego dymu kłębił się zbity tłum ludzi pijących, jedzących i mówiących, mówiących i jeszcze raz mówiących. Wszedłem do kawiarni. Kupiłem jednorazowy komplet kolacyjny numer trzynaście. Potem wyszukałem mały kąt gdzie

byłem częściowo ukryty za filarem i tutaj spokojnie rozparty na fotelu, z tacą nad kolanami zabrałem się do jedzenia. Czterech tego pijących kreatorów siedzących za moimi plecami licytowało się głośno, który z nich ma lepsze dojście do nieznanego mi Obywatela Iks czy też Ygrek. Sądząc z formy wypowiedzi była to gruba ryba z kręgów elity, mogąca wiele i pewno nic za darmo. W pewnym momencie jeden z kreatorów zniżył głos i powiedział - ...oczywiście obywatel może wiele, ale jeżeli chodzi o rozdział Numeratorów jest za słaby. Znam dojście do faceta, który bierze dwadzieścia tysięcy za jedynekę, a pięćdziesiąt tysięcy za srebrnika.

- Złodziej! - zagrział czyjś głos ale zaraz go uspokojono.
- Złodziej, mówię! - scenicznym szeptem powtórzył ten sam głos.
- Dwa lata temu zapłaciłem dwanaście tysięcy za „srebrnika”.
- A ja pół roku przed tobą dałem tylko dwanaście tysięcy - wmieszał się czyjś baryton.

Cisnąłem kostki na tacę, tacę do kosza i wyszedłem. Notatka w zeszycie szefa... poza oficjalnymi nominacjami istnieje jeszcze cały skomplikowany system nobiletowania i wynoszenia do godności kreatora systemem korespondencyjnym. Ułatwia to handel godnościami i tytułami. Tylko dysydenci, biedacy lub ludzie z marginesu nie kupują Numeratorów...

- Masz swoje uciemione dwadzieścia procent z Numeratorem powyżej piątki - mruczałem pod nosem idąc w stronę windy. Dział Budownictwa i Architektury świecił pustką. Wybrałem z regału potrzebne mi opisy projektów i usiadłem obok okna. Miałem stąd widok na przeciwny budynek mieszczący znany rozrywkowy night-club, gdzie cztery piętra poświęcono tylko jednemu bożkowi. Czerwony neon w kształcie przymrużonego oka pulsował zachęcająco, obiecując różne intymne zabawy we dwoje i nie tylko, westchnąłem z żalem i zabrałem się do pracy. Po godzinie miałem w ręku dokładny plan mojej przyszłej wędrówki. Bawiło mnie, że łatwo można dotrzeć wszędzie bez uciekania się do pomocy fałszywych przepustek, wytrychów i lasera. Schowałem na miejsce opisy projektów i bez pośpiechu zszedłem na parter. Przywołałem taksówkę, i kazałem się zawieźć do pobliskiego hotelu. Tutaj, w hotelowym sejfie, ktoś zostawił dla mnie neseser. Wszedłem oczywiście do tego hotelu od frontu, a wyszedłem z drugiej strony. Następnie poprzez taras i niski parkan wyostałem się na boczną uliczkę. Droga do Uniwera i powrót do Biblioteki nie zajęły mi nawet dwudziestu minut. Znów byłem niedomytym typem w pogniecionym półkombinezonie. Ostrożnie, tak by nie wpaść na kogoś z personelu, przemknąłem zapleczem kawiarni w stronę korytarza prowadzącego do magazynów. Nie musiałem forsować napotkanych drzwi, ponieważ nikt ich nie zamykał o tej porze. Odnalezienie komina wentylacyjnego i dostanie się do środka było dziełem jednej chwili. Zaopatrzony w plan, kompas i silną latarkę zagłębiałem się odważnie w płataninę rur, łączników i komór dynamicznej wymiany ciepła. Po dziesięciu minutach byłem w jednym z najbardziej strzeżonych miejsc na Ziemi. W skarbcu Ministerstwa Nauki. Na regałach i w otwartych szafach leżały dokumenty, karty informacyjne, taśmy, filmy i bloki pamięci komputerów. Wszędzie widniały kolorowe stemple. Tajne, poufne, ściśle tajne. Metodycznie wybierałem to, co interesowało szefa. Nie bawiłem się w żadne kopiowanie i fotografowanie. Brałem to, co miałem wziąć i chowałem do kieszeni lub za koszulę. Sporo tego się nazbierało i miałem problemy z powrotem poprzez ciasne łączniki między budynkami. Z małymi kłopotami dotarłem do Biblioteki. Nie wracałem znaną mi drogą, lecz wspiałem się aż do trzeciego piętra, gdzie główna rura wyciągu rozdzielała się, szeroko otwierając swoje wnętrze dla masywnego wirnika. Ogromny wentylator opleciony pajęczyną zwisał smętnie na jednej tylko śrubie. Zewnętrzna pokrywa jego obudowy była ruchoma. Wypełzłem z otworu na jasno oświetlony korytarz. Spotkanie tutaj kogokolwiek mogło się skończyć dla mnie w paskudny sposób. Nie namyślając się wiele wsunąłem się w uchylone drzwi najbliższej toalety i zamknąłem je od wewnątrz. Dopiero kiedy byłem umyty i uczesany, a cały mój bagaż spoczął w dużej plastikowej torbie, zdecydowałem się opuścić bezpieczne schronienie. Z Biblioteki

wydstałem się przez tylne wyjście, to znaczy przez okno. Nie miałem dużo czasu. Musiałem się spieszyć. Na dworcu byłem przed północą. Ekspres Ziemia - Księżyc dyszał ciężko na stanowisku startowym. Po drodze zmieniłem swój numerator i jako poślednia trójka zająłem miejsce w przedziale ogólnym. Wybrałem pojedynczy fotel i w momencie gdy do przedziału wtoczyła się wycieczka szkolna z Marsa, rozprułem jedną z poduszek i wcisnąłem do środka swój bagaż. Teraz niby zerkając ciekawie na radosne nastolatki kręcące się w korytarzu i wymieniające piskliwe uwagi o strojach, zakleiliśmy pianolem skałeczoną poduszkę. Puste opakowanie po kleju schowałem do kieszeni wyjmując równocześnie papierosy. Nie wolno palić w kabinach. Wyszedłem więc na korytarz i lawirując w tłumie dotarłem do przedziału jadalnego. Godziną podróż spędziłem nad szklanką lurowatej kawy i niejadalnego tortu. Czuję się podle. Bolała mnie krtań od papierosów i uszy od wrzaskliwej muzyki przeplatanej informacjami sportowymi. Kiedy ekspres dokował na Księżycu wróciłem do swojego przedziału. Ludzie tłoczyli się przy wyjściach. Wyjęcie torby ze schowka nie było trudne. Wylądował właśnie towarowy skład z Marsa. W zwykłym trybie dopiero teraz wylądowałbym na Księżycu. Poszedłem do hali bagażowej i wyjąłem kwit nadawczy swojego kontenera.

- Chciałbym odebrać żywność - powiedziałem do pracownika w zielonym drelichu. Typek wziął mój kwit i zerknął do ewidencji.

- Bardzo mi przykro - powiedział dając mi jakąś sporego formatu kartkę.

- Co to jest? - spytałem.

- Oświadczenie o zagubieniu przesyłki - mruknął i zabrał się do sortowania paczek.

Zmiałem kartkę i cisnąłem ją do kosza. Inspektor Teodory zaginął - mruknąłem sam do siebie i ruszyłem w stronę gdzie połyskiwały skrzynki wideofonów.

- To ty? - szef patrzył na mnie jak na gościa z zaświatów. - Lecę na inspekcję - zaczął szef ale położyłem palec na ustach nakazując mu milczenie.

- Czekam z materiałami - powiedziałem, potem wyłączyłem wideofon i wróciłem na stację.

- Potrzebuję szybkiej rakiety średniego zasięgu - zwróciłem się do miłej czwórki urzędującej pod neonem „Kosmiczna taksówka to twój przyjaciel” - Od zaraz - dodałem i położyłem na ladzie cztery papierki o dużym nominale. Papierki zniknęły a ja zostałem obdarzony czarującym uśmiechem i zaprowadzony do postoju.

- Najlepsza, najszybsza i... dyskretna - szepnęło urocze stworzenie.

Skinąłem, głową i dodałem jeszcze jeden papierek.

- Zależy mi na szybkim starcie.

- Nasz klient nasz pan - pisnęła rozanielona czwórka otwierając mi drzwi kabiny. Dostałem zezwolenie na start w ciągu minuty. Potęgo papierka! - westchnąłem ruszając ostro z trzech dysz. Po kilku godzinach przemęczony silnik odmówił posłuszeństwa ale to nie miało znaczenia, bo byłem u celu. Zgłosiłem się do wieży kontrolnej lotów i poprosiłem o natychmiastowe dokowanie. Ponury facet z dwudniowym zarostem skrzywił się tylko słysząc moje słowa.

- Nie da rady - zaczął, ale zmienił płytę kiedy wyciągnąłem z kieszeni banknot o wysokim nominale i znacząco zacząłem się nim wachlować. Ściągnęli mnie do doku w ciągu dwudziestu minut. Ponury facet przestał nagle być ponury i radośnie drapał się po nieogolonej brodzie.

- Na Ziemi wszystko piekielnie zdrożało - powiedziałem wręczając mu kolorowy papierek - inflacja - dodałem.

- Tak wygląda demokracja - westchnąłem, mając jeszcze w pamięci wypłowiałą trójkę smętnie kołyszącą się na piersi kontrolera.

W budynku CAZ-u było jak zwykle cicho, sennie i pusto. Poszedłem do gabinetu szefa. Kiedy już wybrałem z szafy potrzebne mi materiały pomyślałem sobie, że licho nie śpi i lepiej mieć kogoś do

ochrony. Wprawdzie Mars to nie Ziemia, ale skoro i tutaj pieniądze są prawie wszystkim to...

Wartownia była tuż obok. Drzwi i kraty uchylone. W pokoju jeden niechlujny typ z karabinem na kolanach.

- Kiedy wróci Naczelnny, proszę przekazać, że czekam w swoim mieszkaniu - strażnik nie zareagował, żuł gumę i gapił się w holowizor.

Stałem i milczałem. Ruszyło go po minucie.

- Nie wolno opuszczać posterunku - mruknął leniwie.

- Znacie to? - spytałem przyklejając jeden banknot do ekranu. To był duży nominał i robił duże wrażenie.

- Mowa... to jest... - strażnik był w rozterce.

- Jest wasz... - szepnąłem.

- Dziękuję panie inspektorze! - obdarzył mnie uśmiechem.

- Baczość!!! - ryknąłem i wyrznąłem go w ucho.

Spadł z krzesła, ale szybko wstał i wyprężył się. Z zaskoczeniem puścił karabin, pieniądze i bekę.

- Śmierdziel a nie żołnierz - powiedziałem i był to początek, a kiedy skończyłem, facet znów nadawał się do służby w CAZ-ie. Ale forszę mu zostawiłem. Bądź co bądź, ucho miał jak kalafior.

Kiedy wróciłem z wartowni do siebie i po zaryglowaniu drzwi padłem na tapczan, miałem wrażenie że świat jest tylko złudzeniem. Spałem snem sprawiedliwego równe 20 godzin. A z tej czarnej pustki wyrwał mnie głos szefa.

- ...ty...ocknij się, do wszystkich świętych... - Był głos i nawet twarz, ale to tylko holowizor. Odłożyłem rewolwer i byłem rad, że rygle na drzwiach są równie mocne jak moje nerwy. Jeszcze sekunda i rozstrzelałbym własny aparat.

- Gdzie pan jest? - spytałem.

- W poczekalni. Na dworcu.

- Proszę przyjechać do Centrum.

- Wolałbym... nie pokazywać się... - zaczął, ale mu przerwałem.

- Wszystko jest w naszych rękach. Koniec z konspiracją.

- To znaczy?

- Mamy dużego haka na tych krętaczy z obecnego rządu.

- Rozumiem.

Wideofon ściemniał. Poszedłem do łazienki, umyłem zęby, ogoliłem się i rozruszałem zeszywniałe ciało pod prysznicem. Włożyłem czyste ubranie, uczesałem włosy i zabrałem się do robienia kawy. Zdążyłem nalać sobie duży kubek i zrobić kanapkę, kiedy w otwartych drzwiach stanął szef w towarzystwie znajomego wartownika.

- Dziękuję - powiedziałem do wartownika - stańcie teraz na korytarzu i pilnujcie by nam nie przeszkadzano.

- Tak jest! - wartownik zasalutował i zamknął drzwi. Milczeliśmy. Siedziałem na krześle, piłem kawę i gryzłem kanapkę, a szef wertował dostarczoną dokumentację.

- Masz nasze raporty i fotokopie? - spytał w pewnej chwili. Wskazałem drugą torbę. Otrzymałem długie spojrzenie pełne niedowierzania i takiż uśmiech.

- Chcesz porównać dane Instytutu Statystycznego z danymi jakie przyniosłeś? - pokazał mi dwa biuletyny jednakowego formatu, z których jeden nosił stempel „ściśle tajne”.

- Oba są wierutną bzdurą - otarłem usta serwetką i sięgnąłem po papierosy.

- A co powiesz o tych listach osób promowanych jedyneką i zerem? - rzucił na biurko kartę informacyjną z fioletową pieczętką „poufne”.

- Bardziej mnie interesują właściciele podpisów zatwierdzających te listy. Tym razem otrzymałem spojrzenie pełne zaskoczenia.

- To może przejrysz raporty służb specjalnych Urzędu Zatrudnienia dotyczące tak zwanego marginesu?

- Szefie - powiedziałem - uzyskałem doktorat za pracę z zakresu socjopatologii.

- Czy nie ma tu nic, co mogłoby cię zainteresować?

- Nie na obecnym stanowisku, jak na razie jestem tylko początkującym inspektorem z CAZ-u, który nie dał się złapać w sieci służby specjalnej rządu.

- Kiedy tu przyszedłeś miałeś swoje teoretyczne obliczenia, z których wynikało, że powinno być dobrze w naszym ziemskim społeczeństwie. Bolało cię to, że teoria nie idzie w parze z praktyką. Chciałeś uciec od socjologii. Zmienić specjalizację - mówił półgłosem nie przestając wertować jakiegoś szczególnie ciekawego raportu - byłeś gotów do kłótni zawsze wtedy gdy krytykowałem panujący chaos i anarchię w kręgach kreatorów. Dzisiaj dostarczyłeś mi dowodów i moje niejasne podejrzenia zamieniły się w pewność. Czy nadal uważasz, że ten świat, który nas otacza, jest najlepszym z możliwych?

- Uważam, że jest najgorszy. Zgasilem papierosa i wstałem.

- Uprzedzałem cię, że praca tutaj jest wyjątkowo ciężka...

- Wiem. - Stałem koło okna.

- Jesteś wysoko kwalifikowanym socjologiem, prawdziwym naukowcem... - i pewnie dlatego zaraz mi pan zaproponuje kierownicze stanowisko - przerwałem mu w pół słowa niezbyt grzecznie.

- Była już o tym mowa rok temu, sądziłem, że pamiętasz.

- Nie interesuje mnie żaden fotel w CAZ-ie.

- Więc co?

Popatrzyłem na nieruchomy zastygły pejzaż. Od czasu kiedy Mars ma własną atmosferę trwają próby aklimatyzacji ziemskich roślin; najlepiej przyjęły się tutaj kaktusy. Odwróciłem się podszedłem do biurka. Wyjąłem z szuflady kartkę papieru i długopis.

- Proszę czytać - powiedziałem. - Składam wniosek o utworzenie Samodzielnego Departamentu Kontroli i Nadzoru...

Szef czytał starannie i bez pośpiechu. Kiedy skończył, bez słowa złożył swój podpis pod dokumentem.

- U nas wnioski pisze się pro forma - powiedział. - Cd chwili kiedy zaakceptowałem to pismo jesteś kierownikiem SDKiN-u. Moje gratulacje.

- Dziękuję - zapaliłem następnego papierosa.

- Czy ty się nie boisz?

- Czego? - nie zrozumiałem.

- Opinii publicznej, prasy, radiowizji i milczącej większości kreatorów.

- Nie więcej niż pan czy ktokolwiek z CAZ-u.

- No nie, CAZ na Ziemi jest prawie zapomniany. Staramy się robić wszystko po cichu i bez szumu.

- Ale to jednak tutaj rodzą się idee, które potem są rozmiękane na drobne w sieczkarni zwanej dniem codziennym. Przecież jeżeli jest źle na Ziemi, jeżeli szerzy się korupcja i bezprawie, oszustwo i gwałt, to przyczyny tego stanu rzeczy należy szukać tutaj, w tym budynku.

- Ostro, bardzo ostro powiedziane - szef wstał i zaczął spacerować po pokoju.

- Czy to nie jest śmieszne, że aby uzyskać prawdziwe dane dotyczące całokształtu spraw ziemskich, nie mówiąc tutaj o tych personalnych raportach i wzajemnych donosach, musiał pan sięgać po środki ostateczne?

- To jest smutne, wręcz przerażająco smutne, ale co mam robić?

- Egzekwować siłą...

- Nie, tylko nie to!

- Nie ma innego sposobu aby wyciągnąć to społeczeństwo ze ścieku w jakim płynie.

- Świnie najlepiej się czują w błocie - szef pokręcił przecząco głową. - Nie wolno - powtórzył kilkakrotnie.

- Szefie - krzyknąłem - CAZ trzyma w garści Księżyc, Marsa i zewnętrzne planety nie mówiąc o Koloniach. Każda decyzja tutaj powzięta jest respektowana absolutnie wszędzie tylko nie na Ziemi. Nie istnieje problem kast, numeratorów i marginesu społecznego poza Ziemią. Pełna wewnętrzna dyscyplina i świadomość przynależności do wspólnoty cechuje każdego nie-Ziemianina.

- To prawda, niemniej te ulizane minispołeczności składają się z ludzi, a nie z automatów i gdyby zabrakło im Ziemi wtedy sami zaczęliby tworzyć swoje własne bajorka do błotnistej kąpieli. Dopiero wtedy byłby to prawdziwy chaos.

- Dobrze, ale w takim razie po co zgodził się pan na moją propozycję Departamentu Kontroli?

- Bo chcę aby ten „bicz administracyjny” był moim okiem i uchem na Ziemi.

- Na Ziemi? - tego się nie spodziewałem.

- Już się ciebie pytałem czy się nie boisz?

- Nie wystarczy panu siatka konfidentów i tajniaków, która pracuje dla Departamentu Ewidencji Ludności?

- Muszę mieć dokładne dane O wszystkim.

- Czyli będę tym, który gwałci świętą wolność kreatorów?

- Będziesz.

- To wymaga siły. W jednym ręku nakaz administracyjny, a w drugim pałka albo karabin.

- Właściwie to ujmujesz.

- Zjedzą mnie pierwszego dnia. Tam każda większa instytucja ma własną armię strażników. Każdy znaczniejszy kacyk ze sfer rządowych ma własną policję. A jeszcze służba specjalna rządu i cała ta mafijna siatka marginesu społecznego?

- To wszystko tylko pozory. Oficjalnie nikt cię palcem nie ruszy. A nieoficjalnie też możesz liczyć w początkowym okresie na ciszę przed burzą. Dokąd nie pokażesz im swojego prawdziwego oblicza...

- A jeżeli zrezygnuję z utworzenia Departamentu Kontroli?

- Nazwa. To tylko nazwa. Możesz być kimkolwiek.

- Czyli że mam wrócić na Ziemię w obojętnie jakim charakterze i zająć się zbieraniem danych?

- Nazwijmy rzeczy po imieniu. To będzie zwykła szpiegowska robota a ty będziesz rezydentem CAZ-u na Ziemi.

- Socjopatologia i szpiegostwo - parsknąłem śmiechem.

- Zawsze możesz zrezygnować. Mam kilka wolnych foteli w tym budynku. Tylko czekają na młodych i gniewnych.

- Nie. Wprawdzie to byłoby najprostsze, ale potrzebujemy takiego właśnie wentyla bezpieczeństwa. - Jednak nie potrafię tego zrozumieć...

- Postaraj się, jesteś przecież socjologiem, Profesorem socjologii, Kreatorem. - Podeszedł do mnie i podał mi rękę. - Przemyśl to do jutra - powiedział i wyszedł z pokoju. Zostałem sam. Było mi smutno i czułem się oszukany. Drzwi uchyliły się i stanął w nich strażnik.

- Czy jestem jeszcze potrzebny? - spytał.

- Nie, już nie, możecie wrócić na wartownię. Wyprężył się, zsalutował i cicho zamknął drzwi. Położyłem się na tapczanie i zamknąłem oczy. Ziemia - pomyślałem. Czym jest dla nas naprawdę Ziemia? Wspomnieniem dziecięcych lat? Remedium na ucieszenie szaleństwa podświadomości? Czy też

uosobieniem wolności i wszystkich grzechów głównych? Żeby to wiedzieć trzeba tam być. Wstałem i włączyłem wideofon.

- Szefie - spytałem - czy ma pan jakiś wolny kontener?

- Nie rozumiem.

- Słyszałem, że chce pan wysłać chemikalia na Ziemię. Twarz na ekranie rozjaśniła się uśmiechem zrozumienia.

- Oczywiście - padła natychmiastowa odpowiedź - taki duży i ambitny papierek lakmusowy.

Cosmopol

- Proszę tego nie ruszać, to jest niebezpieczne... - Tomms podbił w górę dłoń profesora.

Stankow z niedowierzaniem przyjrzał się szarej skałce wyrastającej z gąbczastej rdzawej flegmy śluzowatych mchów. Jego wzrok omiótł siną, bąblastą błonę pobliskich bagien i utknął w ponurym, gęstym oparze, jaki otaczał całą dolinę.

- Ta skała? - bez przekonania cofnął się w stronę pojazdu - przecież to zwykły łupek.

Tomms z miotaczem na biodrze i dłonią na jego rękojęści wydawał się węszyć.

- Owszem... łupek - trupek... - mruknął kucając w błocie i nasłuchując czegoś, co wprawiało kępy mchu w drzenie. - Od pięciu tysięcy wolt zaczyna się napięcie jakie wytwarza ten naturalny iskrownik - wyprostował się z pobladłą twarzą - nigdy mniej, nawet po deszczu, a tutaj już dawno nie padało, niepokojąco dawno!

Adams, oparty o uchylony luk, badał stężenie jonowe bagiennego osocza. Wyniki musiały być fatalne, skoro ze złością złożył instrumenty pomiarowe i wskazując w stronę gór powiedział:

- Nie masz szczęścia profesorku, nici z naszych planów. Za kilka minut zacznie się zabawa, pryskamy!!!

- I to szybko! - Tomms bezceremonialnie pchnął Stankowa w stronę luku - wolę nie mieć cię na sumieniu...

- Takie to groźne? - profesor niechętnie wpełzł do swojego hamaka - byle deszcz chyba nas nie wystraszy... i po jakie lichy te kajdany?

Tomms, sapiąc z wysiłku, zatrzasnął egzobiologa w siatce elastycznych obręczy i pasów.

- Szczęśliwi ci co nie znają prawdy - powiedział niktąc w analogicznej siatce z wyrazem przerażenia na twarzy. - Gotowi! - krzyknął w stronę między przedziałami.

Hermetyczne grodzie osłony biologicznej, z ciężkim sapnięciem tłoków, podzieliły pojazd na szereg samodzielnych jednostek.

- Tylko nie srać pod siebie, mamy mało bielizny na zmianę - głos płynący z interfonu należał do Kaliny, dowódcy wszędołaza.

- O czym on mówi? - profesor z trudem obrócił głowę w stronę Tommsa.

- Na matkę Ziemię, czy niczego ci nie powiedzieli nim tu zawitałeś? - zwykle opanowany i uśmiechnięty sierżant dygotał cały, a po jego czole i policzkach ciekły krople potu.

- Tyle, że to jedyna planeta, gdzie martwe i żywe splata się w gordyjski węzeł dla każdego egzobiologa.

- Dranie! - Tomms starał się opanować lęk i wyczyniał przedziwne miny, śmiejąc tym Stankowa.

- Wyglądasz jakby cię zaraz mieli obedrzeć żywcem ze skóry... - profesor pozwolił sobie na krótki uśmiech. - Czy ten deszcz jest istotnie taki straszny?

- Do licha, pogadamy jak się rozpogodzi! - krzyknął Tomms i w tej chwili właśnie egzobiolog zawył przeciągle jak syrena Titanica w minutę po zderzeniu z lodową górą.

- To tylko uwertura - wycharczał sierżant pryskając śliną na wszystkie strony - poczekaj bracie na finał i oszczędzaj płuca na bis...

Obaj, spięci potwornym bólem, zanieśli się obłąkanym wrzaskiem ludzi, którym niedźwiedź żywcem

wyjada wątrobę.

- To... mnie... zabije - wyjęczał egzobiolog czując jak jego bielizna szybko nasiąka cuchnącym potem.

- Niestety... nie... - głos sierżanta utonął w nagłym mroku i tęnym huku młota miażdżącego z ogromną szybkością skorupę wszędołaza.

Wszystko wibrowało, drżało i zawodziło. Martwe, metalowe i plastikowe elementy pojazdu nagle ożyły głosem mechanicznej skargi, jakby starały się wypłakać swój ból niszczonej i torturowanej sieci krystalicznej. W tym przerażającym, narastającym crescendo wizgu i zgrzycie tysięcy noży tnących szkło, głosy ludzi były jedynie nikłym echem prawdziwej orgii krzyku i wrzasku produkowanego przez pojazd. A potem nastąpiła cisza. Może nawet gorsza niż ten piekielny ryk jaki było I im dane poznać. Cisza duszna i gorąca. Mieli gardła zdławione stalową łapą przeciążenia. Nie oddychali, nie dygotali, nie byli w stanie usłyszeć bicia własnego serca. Zapadali się w coś, co było jak tężejący ołów. Płonące i miażdżące zarazem... a kiedy już sądzili, że to koniec, agonია, wówczas cisza z chichotem uskoczyła przed swym bratem hałasem. Jednym z miłszych ludziom facetem, bo był to hałas dnia codziennego. Zapłonęło awaryjne światło.

- Co to było? - egzobiolog z głębokim westchnieniem zawisł na siatce.

Mimo że fizycznie był do niczego, psychicznie czuł się dobrze, nawet bardzo dobrze.

- Jeszcze nie doszliśmy do tego! - Tomms zwymiotował - oficjalnie nazywa się to rezonansem molekularnym, nieoficjalnie dyskoteką świętego Wita i zawsze wiąże się z deszczem.

- Nie można tego ekranować? - spytał Stankow idąc w ślady sierżanta.

- Owszem, kilometrową warstwą skały albo ucieczką na orbitę stacjonarną, tam gdzie krąży „Hefajstos” - w otworze luku stał Kalina podpierając ramieniem Adamsa.

- Aleście tutaj napaskudzili... - z obrzydzeniem, ślizgając się po podłodze, podszedł do wolnego fotela i ostrożnie ułożył w nim pilota.

- Szok? - Tomms drżącymi palcami nieporadnie odpinał swoją siatkę.

- Gorzej, wypadł z hamaka - Kalina z zadumą spojrział na egzobiologa. - Jako profesor od życia pozaziemskiego powinieneś znać się też i na ludziach - zaczął wolno.

- Nie jestem internistą ani chirurgiem... - Stankow z niepokojem zobaczył, że lewa ręka pilota zwisa bezwładnie, a kombinezon na wysokości przedramienia fałduje się pod ostrym kątem.

- Mimo to... - Kalina odpiął siatkę wiążącą egzobiologa i pomógł mu wyjść z hamaka.

- Postaram się, ale lepiej byłoby wrócić zaraz do bazy... i przetransportować rannego... - urwał, widząc w oczach dowódcy determinację i złość.

- Jak? Czym!? - Kalina kopnął w ścianę - ten pojazd to wrak. Rozchrzaniło nam silniki.

Adams z jękiem obrócił się w fotelu.

- Na przyszłość należy wyłączać wszystko, nawet zegarki. Ten wściekły rezonans tylko czeka na obcy rytm... sekunda nieuwagi i mechanizm się rozsypuje.. - krzyknął, bowiem Stankow niezdecydowanie tnąc rękaw, uraził złamane miejsce.

- Przepraszam, ale ciągle jeszcze dygotają mi dłonie - starał się usprawiedliwić swoją niezręczność.

- I co - spytał Kalina, kiedy profesor obnażył przedramię pilota.

- Musiałbym to przeświecić... - Stankow bezradnie patrzył na otwarte złamanie i krew, która okrzepła dużym strupem.

- A może jeszcze stół operacyjny, asystent i anestezjolog do pomocy? - Adams sycząc położył rękę na oparciu fotela.

- Do licha człowieku, złóż mu tę łapę i zawiąż byle ścierką, o nic więcej cię nie proszę! - Kalina ze złością wyrznął pięścią w przegrodę.

- Ale, przecież... - profesor obejrzał się na Tommsa jakby tam mógł znaleźć rozwiązanie swoich

wątpliwości.

- Rób o co cię proszę bracie! Niestety żaden z nas nie umie składać takich skomplikowanych złamań.

Ten sterczący gną wygląda fatalnie...

- Gołymi rękami? Bez znieczulenia? - profesor łykając głośno ślinę starał się powstrzymać falę torsji szarpiącą jego żołądek.

- Weź się w garść i składaj to wszystko razem! Za godzinę będzie jak nowa... - tutaj nie ma kłopotów z regeneracją i gojeniem... - Adams, jęcząc, złapał prawą ręką swój bezwładny nadgarstek i starał się naciągnąć pękniętą kość.

Profesor w milczeniu pochylił się nad fotelem. Po dziesięciu minutach, upačkany w krwi po łokcie, uporał się z oczyszczeniem rany, złożeniem pękniętych kawałków i owiązaniem całości elastyczną taśmą ściągacza wydartą z własnego podkoszulka. Adams nawet nie krzyknął, sycząc przez zaciśnięte zęby, patrzył na Stankowa niewidzącymi oczyma pełnymi łez.

- Czy wy tutaj nie macie bodaj apteczki? - profesor klęcząc obok fotela z dłońmi jak rzeźnik w czasie świniobicia, przypominał azteckiego kapłana zmęczonego wyrywaniem żywca z ludzkich piersi ku chwale słonecznego bożka.

- Nie, bo i po co? - Tomms razem z Kaliną dźwignęli sztywne ciało Adamsa i ruszyli w stronę luku wyjściowego.

Profesor powlókł się za nimi. Wyszli na zewnątrz i omijając piramidy skalne zagłębili się w trzeszczące, krystaliczne niby-krzaki, gęsto porastające brzegi bagna.

- Hej, hop! - potężny zamach i na komendę ciało Adamsa zatoczyło w powietrzu krótki łuk, znikając bezgłośnie wśród galaretowatej kry, rozpełzłej między kępami mchu.

- To jest nasza apteczka domowa - wyjaśnił Tomms otrzepując odruchowo dłonie.

- Lepszej nie ma w całym znanym nam świecie - Kalina parsknął śmiechem widząc na twarzy Stankowa wyraz osłupienia i zgrozy.

- Jak wyzdrowieje, to go to bagno wypłuje aż na sam brzeg! - Tomms usiadł na kępie mchu i skubiąc małe białe kulki zaczął wysysać z nich sok.

Kalina wrócił do pojazdu i z jego wnętrza zaczął wyrzucać różnego rodzaju przedmioty i pojemniki. Na jakieś pytanie profesora zareagował krótkim epitetem, więc egzobiolog czując się niepotrzebny zawrócił i usiadł obok Tommsa. Ten spał z garścią pełną białych owoców. Stankow z ciekawości sięgnął po jedną z kulek. Przypominała niedojrzałą brusznicę. Skosztował i stwierdził, że ma posmak ananasa. Nie namyślając się wiele rozgryzł następną jagodę i następną...

- Ej, śpiochu, czas wstawać!

Czuł, że trzęsą nim jak skarbonką na cel dobroczynny, ale było mu to zupełnie obojętne. Dopiero gdy usłyszał głos pilota otworzył oczy.

- Tutaj trzeba się pytać co wolno, a czego nie wolno! - Adams: brutalnie otworzył mu usta i wpychając palce lewej dłoni do gardła, zmusił go by wykrztusił to co połknął.

- Wystarczy zjeść parę garści, a można przespać datę własnej śmierci... - stwierdził ponuro Kalina niosąc w dłoni odrobinę galarety z bagna.

- Łykaj! - rozkazał wpychając mu obrzydliwą, śluzowatą, drgającą kulkę do ust.

Połknął i skoczył na równe nogi z przeraźliwym jękiem. Miał teraz w żołądku iskrzącą jak lichy świecę zapłonową.

- Pomogło, co? - Tomms chichocząc klepnął profesora w ramię - zaraz ci przejdzie. A zupełnie ci przejdzie jak zrobisz sto kilometrów piechotą, bo tyle właśnie dzieli nas od Bazy.

- A co z deszczem? - spytał Stankow, masując obolały brzuch. - Poza pojazdem nie mamy chyba szansy na przetrwanie tych... - nie dokończył, bowiem samo wspomnienie koszmaru jaki przeżył

rozluźniło hamulce jego zwieraczy. To było upokarzające, ale tamci nawet nie zauważyli co się stało.

- Mamy siatki i kołki. W razie potrzeby przykujemy się do skał. Ważne by być dobrze związanym.

Kalina podniósł z ziemi spory kontener z szelkami imitującymi plecak.

- To dla ciebie - mruknął bezceremonialnie ładując kontener na ramiona Stankowa.

- No i jak ci się tu podoba? - spytał Tomms, kiedy ruszyli w górę doliny.

Egzobiolog z dłonią na żołądki i garbem bagażu duszącym kark popatrzył dookoła na ponury górski krajobraz, na niski pułap żółto - fioletowych chmur, wreszcie na Tommsa z miotaczem laserowym pod pachą i pakunkiem na plecach. Kiwając głową, spytał:

- Dante Alighieri mówi ci to coś?

Tomms splunął na pobliski kopiec łupkowy, który strzelił błękitną iskrą wyładowania.

- To kaszka z mleczkiem w porównaniu z tym, co tutaj nas jeszcze może czekać... Gdyby ten facet miał okazję tu być, to założę się, że swoje piekło nazwałby rajem, a zresztą wątpię, czy w ogóle napisałby cokolwiek... - sierżant splunął powtórnie. - Tutaj bracie jest kraina, gdzie, mimo naszej techniki, tylko człowiek może coś zdziałać, odkryć, zbadać. Każda maszyna, robot lub android, po stu metrach ginie jak mucha w pajęczej sieci i to jest najgorsze! Bo widzisz... to, co dzieje się z nami w czasie deszczu bardzo przypomina elektrowstrząsy... Nie wiem czy widziałeś kiedyś biedaka, któremu przedawkowano taki zabieg? Gościa spiętego na krótko? Jeśli nie, to i lepiej... przynajmniej nie wiesz jak będziesz wyglądał po roku pobytu...

- Czy ktokolwiek był tutaj tyle czasu? - Stankow potrząsnął ciężkim bagażem, wzruszając ramionami.

- Tego się nie mówi, ale było ich kilku... - sierżant zniżył głos - i wszyscy dostali bzika.

- Tak? Niby od czego? - profesorska dusza była do cna sceptyczna i pełna niewiary. - Na Ziemi twierdzono coś wręcz przeciwnego.

- Zobaczyli upiory! Zobaczyli duchy! Zobaczyli coś, co zmienia duszę i rozum w kłębowisko grozy!

- No, z tą duszą to pewna przesada...

- Nie lekceważyłbym tego tak bardzo - Tomms zachichotał zerkając za siebie.

- Nie tak dawno nie wierzyłeś, że można... - znacząco klepnął Stankowa w plecy.

- Czyli twierdzisz, że tutaj jest wszystko możliwe, nawet upiory? - profesor z kpiącym uśmiechem zerknął przez ramię i nagłym zrywem wyprzedził Adamsa oraz zasapanego Kalinę forsującego z trudem stromy stok.

- Ależ z niego kozica - zakpił Adams zgięty pod ciężarem pakunków.

- Tam! - wrzasnął Stankow obracając się i wskazując wrak wszędołaza.

Obaj mężczyźni obejrzeni się i bez specjalnego zainteresowania kontynuowali dalszy uciążliwy marsz. Poza nimi, w białej mgiełce bagiennych oparów trzepotały dwa ciemne kształty tańczące wokół pojazdu i tnące go smugami ognia na nieregularne bryły.

- Co to jest, na matkę Ziemię?! - ryknął Stankow łapiąc przechodzącego sierżanta za ramię.

- Kto to wie? - Tomms klnąc poślizgnął się na mokrym mchu.

- Ale one niszczą wszędołaz?! - profesor podtrzymał sierżanta i ustawił go za swoimi plecami w dalszym, mozolnym marszu pod górę - a może i nas zaatakują? - spytał oglądając się niepewnie do tyłu.

- Nie było wypadku by Plazmiaki dobierały się do ludzi. Tomms nie oglądał się tak jak Stankow, ale jego ciężki laser znalazł się nagle w pozycji bojowej z odwiedzionymi bolcami bezpieczników i profesorowi ten widok skojarzył się z czymś niejasnym i groźnym, co otaczało ich cały czas niewidzialną siecią.

Kiedy dotarli do siodła przełęcz i dysząc ciężko opadli na lepki, wilgotny kozuch łąki, Kalina wskazał na ciemnobrunatny szczyt wyrastający gołą skałą z kłębowiska wężokrzewów tuż przed nimi.

- Tam zaczynają się jaskinie i jeżeli profesor Berth nie pomylił się, to jest to jedyne miejsce, gdzie

można spotkać upiora po tej stronie gór Smoczych.

Stankow przypomniał sobie krótką rozmowę ze swoim poprzednikiem i zadrzał. Pamiętał izolatkę, pasy i człowieka o włosach białych jak śnieg - młodego naukowca związanego jak baleron i bełkoczącego bez związku o zemście i pokucie za beczeszczanie grobów. Kiedy przyszedł do szpitala zwrócił się do niego z prośbą o pomoc. Berth, początkowo spokojny i pozornie normalny, odpowiadał sensownie na pytania, ale kiedy usłyszał o nekropolis zamienił się w ryczący wulkan gniewu i samozagłady. Trzech sanitariuszy z trudem uratowało nieszczęśnika przed skokiem z trzydziestego piętra.

- To był fajny gość, ten Berth - powiedział Tomms - ale piekielnie roztargniony. Uparł się wylądować wszędołazem obok węzokrzewów otaczających wejście do jaskini. Oczywiście te piekielne zarośla tylko czekały na taki metalowy kasek. Po pięciu minutach nasz miły koleś siedział nagi i bosy w środku węzowego piekła i nawet jego metalowa proteza dolnego mostka została ekstrahowana ze szczęki przez głodne krzaczkę - sierżant ponuro chichocząc złapał Stankowa za szyję i udawał, że próbuje mu wysać krew. - Ale to nic w porównaniu z wampirami - szepnął - te nietoperze są wielkie jak orły i gotowe są oddać życie za kroplę ludzkiego osocza. Berth zamiast na zewnątrz, uciekł w głąb jaskini. Bez światła, bez kombinezonu, bez hełmu. Oczywiście wpadł z deszczu pod rynnę. Kiedy go znalazłem był dosłownie przywalony ciałami wampirów. Gdyby nie te bagna w dolinie, nie przeżyłby do rana. Wprawdzie nietoperze zadowolają się maleńkim łykiem krwi, ale było ich tam około setki. Biedny Berth! Przypominał wysaną cytrynę, kiedy niosłem go do bagna...

- Skoro ta planeta jest tak nieprzyjazna człowiekowi, zastanawiam się po jakie licho zdecydowano się na Ziemi wysyłać tu ekipy badawcze - Stankow zrobił nieokreślony ruch ręką. - Wszędzie tam w górze są ciekawsze światy. Badamy ponad dwieście Układów Słonecznych...

- Tak, ale istnieje podejrzenie, że jedynie tutaj jest lub było jakieś wyżej zorganizowane życie.

Adams ze smakiem gryzł bulwiasty korzeń rośliny podobny do marchwi.

- Słyszałeś chyba o tym malowidle na szkle, które znalazł Berth w nekropolis?

Stankow skinął potakująco głową.

- Tak, nawet je widziałem. To trudno określić jako malowidło. Zwykły kawałek wulkanicznego szkliwa w wtopionym rysunku jakby istoty z płonącymi oczyma ubranej w habit i kaptur. Ale to dowolna interpretacja. Z równym powodzeniem może być to kaprys natury. Znamy takie geologiczne dziwy na Ziemi.

- Pewnie! - Kalina też gryzł niby - marchew - tyle że tutaj nie ma wulkanów, a nekropolis to nie wynik zjawiska krasowego, ale sztuczny twór. Wygląda to jak piękny zbiór stalaktytów i stalagmitów, tyle że każdy z nich pod pokrywą z wapnia i krzemianów ma owalny, pusty w środku rdzeń zrobiony ze stopu żelazoniklowego plus domieszki izotopów ciężkich pierwiastków, a wszystko to jest połączone siecią grafitowych żył.

- Chciałbym to zobaczyć z bliska - Stankow pokręcił przecząco głową, kiedy Kalina podał mu oczyszczony fioletowy korzeń - poza egzobiologią zajmowałem się też bioniką i biochemią, mam w tych dziedzinach drugi stopień specjalizacji...

- Twoja aparatura została w dolinie i jak nic Plazmiaki zżarły ją na deser - Tomms rozejrzał się po okolicznych szczytach wężąc z niepokojem.

- A co do jaskini, to pewno ją zaraz wszyscy odwiedzimy i to galopem...

- Deszcz!!! - Stankow prawie rozpląszczył się wśród traw wczepiając palce w elastyczne kępy mchu.

- Gorzej! O wiele gorzej! Burza! Burza! - Tomms jeszcze nie skończył mówić, kiedy Adams i Kalina byli już na nogach i z bagażami na plecach biegli w stronę brunatnego szczytu obrośniętego węzokrzewami.

- Weź broń i strzelaj tam, gdzie ci wskaże dowódca - krzyknął sierżant do osłupiałego Stankowa

wciskając mu w rękę laser.

- Co z tym? - spytał egzobiolog, wskazując na swój bagaż.

- Poniosę, biegnij! - Tomms pchnął go silnie w ramię.

- Ale co z tobą? - zaproponował Stankow widząc, że sierżant pada na kolana pospiesznie rozpinając swój pojemnik.

- Biegiem marsz! - ryknął Tomms łapiąc za kolbę masera - to rozkaz! - W tej chwili miał w oczach tyle wściekłości i gniewu, że profesor odruchowo stanął na baczność, po czym zrobił w tył zwrot i pobiegł w stronę węzokrzewów.

Kiedy dotarł do podnóża brunatnego szczytu zastał Adamsa i Kalinę nad rozpakowanym kontenerem, zawierającym elastyczne cienkie kombinezony z folii silikonowej i także składane hełmy. Na jego widok, bez słowa wyjaśnienia, Adams porwał ze stosu jeden z kombinezonów, zaś Kalina hełm, po czym skoczyli na niego jak panny garderobiane i w ułamku minuty ubrali go w śliską czarną skórę i takiż hełm, brutalnie ciskając jego ciałem o ziemię, polecając mu klękać i stawać na jednej nodze.

- Na matkę Ziemię! - jęknął Stankow, kiedy z bronią u boku został wepchnięty w gąszcz leniwie wijących się zielonych pnączy, z których każdy był grubszy niż strażacki wąż. - - Chcecie bym tu zginął uduszony i wyspany?

- To twój stawik, egzobiologu - krzyknął Kalina trzymając się przezornie daleko od zachłannych i drapieżnych macek zarośli - wpadłeś, więc pływaj!

- Ale co mam robić? - jęknął Stankow czując jak coś obłego i śliskiego bada kształt jego karku i rozpiętość ramion.

- Znajdź miejsce, gdzie są ukorzenione te zielone anakondy i wygarnij tam kilka razy. Ustaw moc lasera na jedynekę. To ich nie zabije, ale uspi. Dla tych krzaczków nadmiar fotonów to jak neuroleptyk dla ciebie. Popadają w rodzaj stuporu...

Zadanie było proste, ale zielone anakondy musiały być piekielnie głodne, skoro mimo parzącej je silikonowej folii, w jaką owinięty był laser, starały się dostać do jego metalowego korpusu.

Profesor zauważył potężną bulwę korzenia po kilku krokach. Wśród wirującej coraz gwałtowniej masy żywych gałęzi i pnączy, prawie niemożliwością było wymierzyć i strzelić. Tylko z najwyższym trudem udawało mu się utrzymać broń, szarpaną setkami cieniutkich białych nitek będących sensorami czuciowymi rośliny. Dla tego metalolubnego węzokrzewu jego ciało było jakby nietykalne. Moczarne łądygi, tnące ze świstem powietrze, zataczały łuki tuż obok jego głowy i ramion, ani razu nawet nie ocierając się o czarną folię kombinezonu. To była szansa i wykorzystał ją. Padł na ziemię, kryjąc pod sobą laser i, jak na ćwiczeniach, przepętlął na łokciach potrzebne mu trzy metry, w stronę korzenia.

Krzak zaskoczony jego akcją zastygł na moment. Do tej pory był nietykalny, ale kiedy ukrył pod sobą metal stał się konkurentem. A węzokrzew wiedział co należy robić z konkurencją. Ciężkie i grube jak słoniowe nogi główne konary pochyliły się nad człowiekiem. Setka lianopodobnych macek opadła na jego ciało.

Stankow poczuł, że unosi się w górę. Przed jego oczyma zielona łądyga owinęła się zdecydowanie wokół lasera.

Ostatnia szansa - pomyślał i nie mierzając nacisnął spust. Trafił za pierwszym razem.

Gigantyczna kopuła nad jego głową krzyknęła przeraźliwie po czym, sztywniejąc, zaczęła walić się w dół.

Zagniecie - pomyślał cofając się w panice i zostawiając broń w stężałym uścisku łądygi.

Nie zagniotła, ale uwięziła go w szumiącym zielonym piekle spadających konarów, gałęzi i macek.

- Dobra robota, braciszku! - usłyszał głos Tommsa gdzieś za sobą i poczuł, że ktoś łapie go za stopy i wywleka spod duszącej pokrywy drgających krzewów. Oszołomiony i ogłuszony stanął na drżących

nogach patrząc ze zdumieniem na wąską szczelinę w skale, do tej pory zakrytą kłębowiskiem gałęzi.

- Właż! - Tomms bezceremonialnie popchnął go w stronę czarnego tunelu.

Posłusznie wstąpił na rumowisko zieloności i potykając się, bez mała na czworakach, przepelżył dwadzieścia metrów dzielących go od wejścia do jaskini. Za sobą słyszał przekleństwa i sapanie Tommsa dźwigającego dwa kontenery.

W chwili, kiedy dotarli do skały coś ciężkiego spadło obok Stankowa, z mokrym chlapnięciem rozbryzgując się na strzępy.

Sierżant krzycząc niezrozumiale, skoczył do przodu, cisnął bagaże w głąb jaskini, po czym porwał profesora za ramiona i jakimś obłąkanym chwytem, rodem ze szkoły judo, miotnął jego ciałem w ciemną czeluść jaskini, sam też tocząc się po sypkim piasku wyścielającym jej dno.

- W ostatniej chwili - Tomms oddychał ciężko po nagłym wysiłku.

Powtórnie coś spadło u wejścia, chlapiąc i bryzgając wilgocią na wszystkie strony.

Nagły grzmot i niewyobrażalnie długa błyskawica tnąca nieboskłon od horyzontu do horyzontu, otrzeźwiły zaszokowanego Stankowa.

- Brzmi, jakby z chmur leciały całe worki mokrego szlamu - skomentował następne dwa lub trzy, ciężkie stękające uderzenia na zewnątrz.

- Bo i lecą, tyle że nie worki, a kawały martwego koacerwatu skurczone po trafieniu wyładowaniem. Każdy taki glut waży pięć lub sześć kilo i gna koło kilometra nim wyrznie w ziemię. - Adams ostrożnie podszedł do otworu jaskini i kucając zerknął na prawie żółtosine niebo. - No, dawno już nie było takiej burzy - stwierdził odskakując w tył, kiedy potężna fala śluzu z rozbitego koacerwatu trysnęła na skałę.

- Słyszałem i czytałem o tym, ale nie sądziłem, że to tak może wyglądać. - Stankow zbliżył się do Adamsa i z zadumą patrzył na feerię ognia i błyskawic zbliżającą się spoza wyniosłych granic Gór Smocznych - chyba przestało pluskać tą flegmą? - spytał stając bliżej wyjścia.

- Na parę minut! - Adams ostrzegawczo położył mu rękę na ramieniu - jak tylko ta zorza dotrze tutaj, zacznie się piekło... ej... gdzie?... zwariowałeś?

Stankow wyszarpnął się spod ciężkiej dłoni pilota. Dwoma kangurzymi susami wpadł między sztywne konary wężokrzewów. Zanurkował wśród zieloności, po czym z triumfalnym okrzykiem wyprysnął w górę z ciężkim i ciemnym kształtem w dłoniach. W powrotnej drodze wywinął ze trzy kozły nim dopadł jaskini.

- Czyś ty bracie stracił ochotę na oglądanie rodziny i przyjaciół? - spytał Kalina wybiegając mu naprzeciw i wciągając za kark pod osłonę skały.

- Zostawiłem tam broń, a licho wie czy się nie przyda jeszcze kiedy będziemy wracać! - profesor z uśmiechem poklepał kolbę lasera.

Tomms leżący ciągle nieruchomo na ziemi przyjrzał się uważnie egzobiologowi. - Ten profesorek zaczyna mi się podobać - szepnął na wpół do siebie - chyba nada się do naszej paczki... - resztę słów pochłonał oszalały ryk orkanu poprzedzający światłość niebieskiego ognia i czarną skłębioną masę burzowych chmur.

Jaskinia wibrowała jak wnętrze dzwonu. W jednostajnym huku było niemożliwością nie tylko porozumiewać się, ale i siedzieć.

Kalina zdecydowanie wskazał im bagaże i kierunek odwrotu. Musieli wejść głębiej, jeżeli nie chcieli ogłuchnąć lub oślepnąć od bijących non stop piorunów.

Po kilkunastu metrach pospiesznego marszu natknęli się na ścianę pociętą głębokimi szczelinami.

- Dalej są już tylko tunele! - Adams obejrzał się na dowódcę - może zejdziemy głębiej? - zaproponował. - Wprawdzie deszcze magnetoelektryczne nie towarzyszą burzy, ale wibracje rzędu kilku herców mogą naszemu nieobytemu koledze sprawić trochę kłopotów...

- Chyba mniejszych niż te gacki! - Tomms uchylił się przed czymś ciemnym, dużym i bezszelestnym, co spłynęło z góry i omiotło ich falą nagłego podmuchu. - Pierwsze poważne ostrzeżenie! - Adams bez dyskusji wszedł w szczelinę opadającą ostro ku dołowi.

Poszli jego śladem zostawiając za sobą wibrujący, głuchy łoskot burzy i skrzekliwe zawodzenie olbrzymich nietoperzy niezdolnych wpełznąć do wąskiego otworu. Tunel skończył się nagle, przeobrażony w mroczną salę, tak dużą, że nawet silne reflektory na hełmach nie były w stanie sięgnąć przeciwległego końca.

- Nekropolis - szepnął Kalina, wskazując nieregularne kształty wyrastające kamiennym lasem wokół ścian.

- Osobiście nie pchałbym się w głąb tego labiryntu - powiedział Adams przytrzymując Stankowa za rękę.

- Nie wierzę w upiory, demony ani duchy! - profesor z uśmiechem zdjął z ramion plecak i zaczął rozpinąć kombinezon.

- Nie wolno tego zdejmować - zaproponował Tomms.

Stankow nie odpowiedział. Milcząc grzebał w kieszeniach kurtki, szukając czegoś zawzięcie. Wreszcie z sapnięciem wydobyl płaskie pudełko wielkości papierośnicy. - Stymulator bioprądów - wyjaśniał zapinając się szczelnie.

- A to po co? - Adams nieufnie patrzył na budzące grozę, półprzezroczyste kolumny stalaktytów w czarnym, przeświecającym rdzeniem.

- Jedyna szansa by udowodnić prawdę lub fałsz hipotezy profesora Bertha!

Stankow potrząsnął pudełkiem.

- Dzięki temu urządzeniu, mój poprzednik zamierzał ożywić tych „umarlaków” - podobno mu się udało... dowieść, że to są komory hibernacyjne... i obudzić... Przynajmniej tak twierdził Berth... do czasu operacji.

- Nie zgadzam się! - Kalina stanowczo przytrzymał dłoń Stankowa - nie wolno nam ingerować w życie tej planety, bez względu na to czy jest to droga do kontaktu z inną cywilizacją, czy też nie jest. Mamy obserwować, ale nie eksperymentować. Każdy, kto wsadził swój wężący nochal w kolumny „nekropolis” dostawał bzika. Berth skończył w szpitalu jak kilku innych przed nim, bo robił to co i oni, permanentnie łamał przepisy. Teraz Ziemia oddała mi tę całą planetę w opiekę i żaden jajogłowy mądrała nie będzie robił niczego bez mojej zgody...

- Dobrze! Zgoda! Rozumiem! - Stankow usiadł na brzegu jednego z pseudonagrobków - ale, jak u licha mam się dostać do tego - klepnął najbliższą kolumnę - jeżeli nic mi nie wolno?

- Nie wiem - Kalina założył ręce na piersi - masz oczy to patrz, ale nie dotykaj, wyciągnij sobie dowolne wnioski bez wyciągania młotka...

- Tak? - wzrok Stankowa znieruchomiał gdzieś za plecami kolegów.

- Więc... co do wyciągania czegokolwiek, to radziłbym ci Tomms nie wyciągać masera, mimo że na pewno jesteś szybki jak Doc Holiday lub zręczny i celny jak Buffalo Bill... - mówił spokojnie i wolno, a po jego czole, skroniach i szyi ciekły perlister krople potu. - ...A co do patrzenia, to sądzę, że ta miła rodzinna krypta ma swojego opiekuna, który okresowo lubi zerknąć...

- Na matkę Ziemię!! - Tomms obrócił się, krzyknął, po czym runął w ciemny labirynt stalaktytów.

Adams zemdlął ledwie obrócił głowę.

Jedynie Kalina, jak na dowódcę przystało, oparł się pokusie natychmiastowej ucieczki. Przytomnie chwycił pilota za kołnierz hełmu i wlokąc za sobą wpełzł w jakąś wąską szczelinę poza garbem najbliższej skały.

Stankow ani drgnął. Ciągle jeszcze miał na ramieniu laser i teraz zdjął go wolno, odblokował i czekał

na ruch istoty stojącej u wejścia. Spoza lasu stalaktytów dobiegł go głos Tommsa: - Ej bracie, będę cię osłaniać, skacz w tę szparę po lewej...

- Nie! - Stankow wstał i zrobił krok do przodu.

Na ten sygnał przybysz skulił się i z jakimś przeraźliwym, trudnym do opisania jękiem skoczył w mrok tunelu, z którego wychynał.

- Proszę, proszę! Upiory znikają, kiedy prawdziwy egzorcysta trzyma właściwe kropidełko w dłoni. - Tomms, mimo drżenia szczęk, starał się nadać głosowi żartobliwe zabarwienie.

- Gdzie was wymiotło sierzancie, sądziłem, że powitacie gościa kordialnym uściskiem dłoni? - Stankow dygocąc opadł na piasek jak zepsuty manekin.

- To było gorsze niż na tym szklanym obrazku! - Kalina taszczył ciągle jeszcze zemdlonego Adamsa - nie jestem bojaźliwy, ale jeżeli „On” tu wróci to dołączę do Bertha, jak amen w pacierzu.

- Bez nerwów. Dostaniemy wsparcie i to szybko, o ile Kolcow w Hefajstosie zdoła zlokalizować sygnał boi ratunkowej. - Tomms odpiął kołnierz i zdjął hełm. - Wbrew instrukcji, rozłożyłem to cudo techniki na przełączny, ale ta burza mogła uszkodzić emiter lub antenę...

- No tak, o ile Kolcow zdoła... - Kalina westchnął - a jeżeli nie zdoła?!

- To czeka nas miły spacer do Bazy, a chciałem tego uniknąć - Tomms z niepokojem przyjrzał się Adamsowi z trudem przychodzącemu do siebie.

- Nie ma chłopak szczęścia! To już drugi poważny szok dzisiaj!

- Ma szczęście... - wyszeptał Kalina... - bo dla nas będzie to pewno trzeci i ostatni szok w życiu... - wskazał ręką wejście.

Stankow nie próbował nawet strzelać. Zrozumiał nagle o czym mówił Berth, zaplątany we własną jaźń...

Sala wypełniała się. Wpełzali, wchodzili, czołgali się lub lecieli. „Oni”...!!!

- Oby tylko teraz przetrwać - profesor wyciągnął dłoń i energicznie złamał mały palec lewej ręki, będący protezą. Popatrzył na swoich towarzyszy leżących bezwładnie, popatrzył na koszmarną falę kształtów nadpełzającą w jego kierunku, po czym osunął się ciężko na piach.

- „Oby tylko przetrwać” - załopotala ostatnia myśl. A potem był już tylko mrok, strach, zgroza, łzy i ból. Kolcow znalazł ich następnego dnia i nie pozostało mu nic innego, jak aplikując wszystkim silne środki uspokajające, odesłać cały patrol na Ziemię.

W nielicznych chwilach jasności umysłu Kalina powtarzał smutno - a jednak „On” wrócił! Witajcie chłopcy, witaj Berth, witaj szpitalu.

Istotnie znaleźli się tam po tygodniu. Stankow sztywny jak dębowa kłoda leżał w swojej izolatce przez dwa dni pozwalając się karmić i pić. Trzeciego dnia usiadł, czwartego dnia poprosił o coś do czytania. Tęgawy pielęgniarz dozorujący w dzień jego lokum z pewną dozą rozbawienia przyniósł mu plik fotogazet w tekturowym pudle oraz staromodny czytnik.

- Jakiś krewny zostawił to dla ciebie, profesorku! - szepnął, robiąc znacząco oko - krewny w mundurku ONZ-u, duże zielone oczy, fajna lalka... - dodał.

- Dzięki! - Stankow pomyślał o mikrofonach, o podsłuchu i spytał: - Jaka?!

Pielęgniarz popatrzył na niego pustym, nieobecny wzrokiem zmęczonego człowieka.

- Wymodelowana jak manekin... lalka... - szepnął. Stankow milcząc skinął głową - Dzięki braciszku - powiedział, kiedy tamten opuszczał izolatkę.

Pielęgniarz uśmiechnął się. Wychodząc podniósł do góry kciuk. To był dziwny kciuk. Bez paznokcia, sztywny, szary. Obcy. Niepokojący.

Ale nie dla egzobiologa.

Stankow odczekał do wieczornego obchodu. Potem, w samotności i ciszy wyjął coś, co ukryto w jego

czaszce i zgniótł to pięścią. A kiedy pogasły światła rozebrał czytnik i wyjął ze środka cichostrzelny miotacz dużej mocy, zaś spomiędzy fotogazet dwa płaskie magazynki. Następnie położył się na łóżku, okrył kocem i nacisnął dzwonek alarmu.

Wpadło ich trzech. Sanitariusze. Same wysokie i tęgie chłopy.

- Lotnik kryj się - mruknął Stankow, znacząco wskazując lufą na podłogę.

Byli posłuszni i cicho pozwolili się związać i zakneblować podartym kocem.

Kiedy zatrzasnął za sobą drzwi izolatki przestał być ciężko chorym kosmonautą. Stał się cieniem, który pełzał i przemykał korytarzami pustymi jak wzrok somnambulika. A miotacz w jego dłoni wyglądał jak krzyż w dłoni księdza spieszącego do celi śmierci, ponuro i bezwzględnie...

Dotarł do kraty dzielącej budynek na część administracyjną i szpitalną. Szyfrowy, magnetyczny zamek odskoczył pod dotknięciem jego palców. Teraz nie był już nawet cieniem. Był cieniem cienia, bezszelestnym i groźnym.

W gabinecie dyrektora szpitala paliło się światło. Wślizgnął się tam i ukryty za tradycyjną leżanką, ogrodzoną parawanem, słuchał cichej rozmowy kilku osób siedzących w następnym pokoju.

- ...ależ panie ordynatorze, ci nowi są jeszcze niepełnosprawni - przemawiał Berth - należy odczekać. Zabiegi transplantacyjne i neurochirurgiczne będziemy mogli dokonać po oficjalnym stwierdzeniu przez komisję, że cała czwórka nie rokuje nadziei na wyleczenie...

- Bzdura! Musimy się pospieszyć - głos był obcy, zduszony, chrapliwy i groźny. - ONZ zdecydowało się wstrzymać badania na planecie...

- A kogo to szanowni zebrani chcą pokroić? - spytał Stankow stając w drzwiach z bronią ukrytą za plecami.

- Powiedzmy, że ciebie - Berth wyjął z kieszeni neuroparalizator i spróbował obezwładnić Stankowa.

Ten, z obojętnością, przyjął falę stężonego haloperidolu.

- Wiedziałem! To podstęp - ordynator poderwał się od stołu. Był nagi, a jego skóra, szara i łuszcząca się, pękła nagle i z niej jak z kokonu zaczęło wypełzać coś, co Stankow już znał.

Powiedział więc: - To nie karnawał, kolego, nie lubię przebierańców - po czym zatrzasnął drzwi za swoimi plecami.

Miał teraz przed sobą gromadę zdezorientowanych ludzi w kitlach i jednego upióra.

- Nieźle! - Berth rozbierał się powoli, gotów do natychmiastowej metamorfozy. Zerkał przy tym to na Stankowa, to na swego szefa. - A może mu powiemy? Wygląda na rozsądnego, mimo że przekonstruowany biofizycznie - zaproponował.

- Nie sądzę, by to coś dało - wychrypiał upiór - on... nie kontaktuje psychofizycznie. Należy go natychmiast zni...

Stankow strzelił dwa razy i dwa krwawe strzępy oblepiły podłogę i ścianę.

- ...niszczyć, to nic trudnego - śmiejąc się wskazał na tamtych.

- Do licha, kim pan jest? - wystękał jeden z mężczyzn w stroju laboranta.

- Cyborgiem - powiedział - ale nim mnie przekonstruowano byłem człowiekiem takim jak wy, nim trafiliście na planetę Upiórów... bo byliście tam wszyscy, nieprawdaż?

- Ależ ja jestem człowiekiem! - zaskowyczał laborant patrząc na broń.

- No, ściągaj bracie swoje lachy z grzbietu i udowodnij mi, że nie masz w brzuchu, zamiast kiszek, kłębu macek porośniętych pierzem...

Skoczyli na niego. Gdyby był człowiekiem, zginąłby. Ale nie był. Więc oni zginęli.

Potem repetując miotacz, usiadł na jedynym czystym krześle i na tarczy wideofonu wystukał numer centrali Cosmopolu.

A kiedy ekran pojaśniał i dyżurny oficer z przerażeniem w oczach (widział przecież część pokoju, a

nie był to widok byle pobojuwiska) uniósł do góry brwi, niezdolny wykrztusić słowa, Stankow powiedział:

- Porucznik Stanisław MacLasky melduje zlikwidowanie obcej agentury na Ziemi. Proszę przekazać do IV departamentu.

Oficer milcząc zsalutował, ale nie wyłączył się. Stankow nie był zdziwiony. Bądź co bądź, ściśle tajny wydział czwarty był domeną kontrwywiadu w gestii samego Sekretarza Generalnego ONZ i nawet w Cosmopolu mało kto miał okazję poznać osobiście agenta od „cichociemnych”, a co dopiero widzieć go przy „pracy”.

- Może przysłać patrol...? - niepewnie zaproponował oficer, mało nie włączając nosem w ekran.

- Dziękuję, sam posprzątam! - Stankow wyłączył wideofon.

Następnego dnia, ubrany w luźne kimono, wyspany i zrezygnowany, wszedł do budynku szpitala. Okolice nadal była obstawiona wojskiem, a ludzie z prasy i wideo szaleli by dostać się bodaj na minutę do wnętrza. W windzie spotkał oficera, z którym rozmawiał wieczorem. Facet na jego widok zrobił się bielszy od wykładziny ścian - a były to naprawdę białe ściany - i łykając ślinę, powiedział cicho:

- Widziałem to z bliska! Potworne! Jeżeli ta planeta pełna jest tego paskudztwa, to... należy ją zniszczyć... tak jak pan to zrobił z tymi ośmioma upiorami...

Wysiadł z windy bez słowa.

W sali zabiegowej leżeli jego trzej towarzysze niedoli. Mimo że osłabieni po operacji usunięcia z ich mózgów obcych biokryształów pamięciowych, wszyscy byli uśmiechnięci i gotowi do rozmowy.

- Dokąd?! - drogę zagroził mu wysoki lekarz o ascetycznej twarzy i surowych szarych oczach.

- Koledzy! - skinął na rekonwalescentów.

Dopiero teraz lekarz poznał go i rozpoznał się, mówiąc:

- Widzę, że zrobiłem właściwy wybór. Przetrwałeś! No i jak tam twoje obwody, cyborgu? - klepnął go w ramię, a w oczach miał wypisaną zasłużoną dumę, którą maskował nutą śmiechu.

- Iskrzą na złączach kiedy zbiera się na deszcz! - odparł, mrużąc oko. - A swoją drogą, mógł pan bardziej uodpornić mnie na warunki zewnętrzne. Proszę mi wierzyć, przeszedłem piekło...

- Miałeś wyglądać i czuć jak człowiek, ale zarazem być supersprawną istotą, prawie maszyną - lekarz westchnął, poważniejąc. - Oczywiście, o ile sobie życzysz, natychmiast zrekonstruuje cię w dawnej postaci...

- Może nie tym razem, mam jeszcze parę spraw do załatwienia... w innych rejonach, na innych planetach.

- Rozumiem! - lekarz opuścił głowę - tylko nie daj się zabić - szepnął odchodząc korytarzem.

MacLasky vel Stankow wyszczerzył swoje plastikowe zęby w bezgłośnym wilczym uśmiechu i też szepnął:

- „Dobrze, tatusiu” - powiedział Pinokio do swojego ojca stolarza. Ale będąc urwisem miał przygód bez liku... - po czym, obracając się do kolegów, krzyknął. - Cześć orły, jak wasze łepetyny?

- Fajnie! - Tomms pogroził mu palcem. - Draniu - mruknął - to tak z kolegi robisz balona? Już mi wszystko donieśli...

Kalina i Adams słysząc to, popatrzyli na sierżanta dziwnym wzrokiem.

- Well, my boys... to nie moja wina, że wszyscy pracujemy w jednej „firmie” - wyjaśnił MacLasky.

- Niech to lichy! - Kalina parsknął śmiechem, a za nim Adams i Tomms.

- Ładne kwiatki - krzyknęła jakaś pielęgniarka, wpadając do sali - co to za hałasy?'

- To nie kwiatki, szanowna pani - zaproponował MacLasky - to kwiat Cosmopolu'

Imponderabilia

Znaleźli go po pięciu dniach. Siedział za wiekowym drzewem w najgłębszym mateczniku i wyplatał z sitowia coś, co wyglądało na koszyk do łowienia ryb.

- Niech was licho porwie z waszymi kłopotami! - wrzasnął, kiedy ich niespodziewane nadejście spłoszyło jakieś kunopodobne zwierzaki, które towarzyszyły mu na tym odludziu.

- Skąd pan wie, że mamy kłopoty? - spytał sierżant Bock.

- Widzę to po waszych oczach - odparł z chytrym uśmiechem.

- Dobra! I tak wiemy, że pan, profesorze, podsłuchuje nasze teletransmisje z Orbitalem i Północną Flotyllą. Więc pewno mogę przejść do sedna sprawy, zgoda? - Sierżant sapiąc usiadł obok koszyka i zanurzył bosc stopy w strumieniu. - Ależ upał! - powiedział, patrząc na jednolicie gładki i szczelny kombinezon uchodźcy.

Profesor milcząc skinął głową na tak. Wyglądał na kogoś, kto zrezygnował z oporu i ucieczki. Obracając głowę w stronę Boćka, westchnął ciężko. Sierżant też westchnął, po czym powiedział: - Fajno! Sześć osób od tygodnia ogląda każde drzewo i krzak po tej stronie wyspy. Wiem, że jest to pieska robota i wszyscy wyglądamy paskudnie, niemniej nie powinien pan mieć tych ludzi oraz mnie tak głęboko gdzieś! Wiem, że to idiotyczne szukać kogoś, kto nie chce być znalezionym i co gorsza pakować go w kłopoty, od których kiedyś uciekł, ale sprawa jest tego typu, że sami nie potrafimy sobie dać rady i musimy szukać u pana pomocy.

- Nic z tego! Nie ruszycie się z tej planety i nie radzę, też nikomu lądować tutaj, o ile nie chce do końca dni swoich żyć w odosobnieniu.

- Ależ my musimy! Żaden System Słoneczny nie sprawił człowiekowi tylu niespodzianek i kłopotów, co te zwariowane Bliźniaki.

- A co to za kłopoty?! Że planety tutaj, to pułapki? Że zniecka rozsypują się pojazdy, a wczoraj zbudowany dom nagle zamienia się w garść pyłu? - profesor parsknął śmiechem.

- Wolne żarty! To są fakty i to smutne fakty! - zaoponował ktoś z ekipy.

- Ale żyjecie! I ta planeta, podobnie jak i inne, karmi was, ogrzewa, lula do snu i robi wszystko byście nie zginęli nawet jeżeli wpadniecie do oceanu tysiąc mil od brzegu. Były takie wydarzenia na B-3 i B-4. - Profesor poderwał się i sięgnął po nie dokończoną plecionkę.

- Spokojnie! - sierżant też wstał i położył swoją piegowatą i ciężką dłoń na ramieniu profesora. - My wiemy... że pan wie, jak... można wydostać się na zewnątrz z tej i innych planet...

- O... jak można! - profesor zadziwiająco łatwo dostosował się do stylu rozmowy prowadzonej przez sierżanta, a jego gest był jednoznaczny w swej wymowie. - To, że byłem na B-dwa, trzy i cztery, nie oznacza wcale, że byłem w kosmosie. Nie mam tu cudownej rakiety zdolnej przebić pola siłowe chroniące cały Układ.

- Więc jak...

- Nie skończyłem, sierżancie!

- Widziano jednak...

- Milczeć!

- Tak jest!

- Byliście w Mieście?

- Tak, ale...

- Żadne ale... Prawda o moich wozach sprowadza się do faktu, że w Mieście istnieje teleporter.

Wystarczy stanąć na postumencie, zamknąć klosz i wcisnąć odpowiedni klawisz startera. Teleportacja na wybraną planetę następuje w ułamku sekundy. To nie moja wina, że jakoś nikt z was nie spieszył się, by zbadać Miasto, banda dzikusów i wandalów! Potraficie tylko niszczyć!

Profesor bez trudu odtrzącił dłoń sierżanta i spokojnie zaczął zbierać swoje wędkę nie wyglądające wcale na wędkę.

- Cholera! - Bock z zafrasowaną miną drapał się po owłosionej piersi. - Lecą już tutaj osadnicy. Setki tysięcy! Odkrył pan ten Układ i po powrocie na Ziemię zgłosił go, osobiście, jako idealne miejsce do zasiedlania. A teraz, kiedy wrócił pan tutaj, okazało się, że to jedna wielka pomyłka. Jak mamy to rozumieć? Co mamy zameldować? Flotylla Północna dotrze do Bliźniaka za miesiąc i jeśli pan nam nie pomoże, będzie musiała zawrócić.

- I bardzo dobrze! To była pomyłka... - profesor obrócił się do nich plecami, po czym wszedł między drzewa i... zniknął.

- Stary czarodziej, krętaś, świnia! - ryczał Bock, bezskutecznie przetrząsając okoliczne zarośla.

- No i co dalej? - spytał ktoś zwracając się do milczącego mężczyzny z odznaką Cosmopolu na rękawie zniszczonej koszuli.

Ten skinął jedynie głową w stronę wracającego sierżanta.

- Nie wiem - Bock rozłożył ręce - sędzę, że on jednak nie powiedział wszystkiego. Z B-2 podano informację, że profesor sprowadził tutaj swoją córkę, Olgę. Nie wierzyłem w to, do czasu, kiedy jeden z patroli zameldował, że widziano ją tutaj, w Mieście, tydzień temu! Jak wiecie zarządziłem natychmiastowe poszukiwania profesora. Jego córka tutaj? Irracjonalne! Nasz, hehe... jawny... agent osławionego Cosmopolu sprawdził poprzez Orbital, iż ta panienczka jeszcze dziesięć dni temu jak gdyby nigdy nic, pracowała w swoim Instytucie Detronicznym. Stąd do Ziemi jest trzydzieści trzy lata świetlne lub trzydzieści trzy doby lotu fotonowym transgalaktykiem.

Wniosek? Albo istnieją cuda, albo teleporter profesora sięga o wiele, wiele dalej.

- Teleportacja a promieniowanie Zetha. Słyszałem, że to się wiąże ze sobą - powiedział ktoś półgłosem. - Mówiono, że profesor pracował nad tym od kilku lat, to jest od czasu, kiedy dzięki jego odkryciu zyskaliśmy natychmiastową łączność, jak galaktyka długa, szeroka i głęboka...

- Właśnie! - Bock zatarł dłonie i uśmiechnął się. - Ten mądrała zdołał zbudować nadajnik i odbiornik fal Zetha, ale tutaj znalazł coś lepszego. Teleporter i tajemnicze Miasto. Nie byłby naukowcem, gdyby nie dobrał się do tych osiągnięć wymarłej cywilizacji...

- Za dużo na jednego, więc poszukał sobie zaufanego asystenta...

- A przecież Olga, jego ukochana córeczka jest naukowcem...

- ...i w Instytucie badała te maszyny i automaty, które jej stary zwędził z Bliźniaka za pierwszym pobytem tutaj...

Mówili teraz wszyscy, a Bock tylko zacierał swoje duże, porośnięte rudym włosem dłonie i rechotał cicho, z aprobatą dla tej niespodziewanej burzy mózgów.

Kiedy umilkli na chwilę, wtrącił. - A wiecie, że razem z Olgą zniknęły wszystkie eksponaty jakie profesor przywiózł z Bliźniaka? Spytajcie Vegi. On rozmawiał w tej sprawie z Ziemią.

- To prawda, wszystko zniknęło bez śladu - mężczyzna z odznaką Cosmopolu popatrzył z zadumą na rozpalone słońcem kamienie okalające tamten brzeg strumienia - i brak logicznego wyjaśnienia dla tej sprawy, chyba że przyjmujemy wersję...

- Tysiące hipotez, a każda mylna - Bock podparty pięściami, stojąc w rozkroku z miotaczem na

wydatnym brzuchu, pozował do pomnika „Prawda i Prawo” - ale powiem wam co ja o tym myślę1. Profesor nie jest byle kim, co to to nie. Zna się na piekielnie wielu rzeczach i umie budować różne techniczne urządzenia bez pomocy specjalistów od mototroniki. Sam!

- O Chryste, czy ten młot znów musi tak bredzić? I to w taki upał?

Sierżant skwitował tę uwagę wściekłym łypnięciem przekrwionych białek, ale nie przestał monologować.

...Należy sądzić - ciągnął podnosząc głos - że zafascynowany osiągnięciami tutejszej cywilizacji nasz profesorek postanowił położyć swoje zaborcze łapska na całości i nie dopuścić nikogo z kolegów naukowców do tego rajskiego ogrodu pełnego drzew poznania.

Ludzie zmordowani marszem przez las z ulgą kładli się w cieniu olbrzymich drzew na pachnącym materacu traw podbitych zapachem ziół i mięty.

- Nawija jak zawodowy...

- Tak. Głędzić, i to głupio, to on umie jak mało kto.

- A ja z nim robię już trzy lata i powiem wam, że to strach przed odpowiedzialnością robi go takim bezkrytycznym marudą. To dobry żołnierz, ale kiedy trzeba walczyć, a nie myśleć. Sądzę, że bez powodu go tutaj nie przysłano...

- To może lepiej wystawmy warty...

- E... coś ty, tutaj? Bliźniak to nie Planeta Brontozaura. Tutaj nawet nago można dotrwać starości...

- Byłeś na Brontozaurze?

- Tak. Razem z Boćkiem. To był paskudny kawałek roboty... mało nie zginąłem wtedy pod kopytami stada bezrozców. Tylko sierżantowi zawdzięczam, że żyję... no zobacz jak się rozgadał...

...To by tłumaczyło dlaczego nasze rakiety niszczą jak grzyby na słońcu i na dobrą sprawę nikt kto tu trafił nie może bodaj marzyć o odlocie...

...Wielki mądrała postanowił zrobić z nas swoich niewolników! Hańba!

Naukowe pasje badawcze wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem...

- Spekulujesz, sierżancie! - głos profesora poderwał wszystkich na nogi.

- Do diabła... gdzie pan jest? - niemile zaskoczony Bock udawał bąka, wirując dookoła swojej osi i wymachując odbezpieczonym miotaczem.

- Tutaj, człowieku, tutaj... - gdzieś spomiędzy gęstwiny liści i gałęzi opadła w dół metalowa drabinka

- ...no, śmiało, powrót będzie na koszt gospodarza, chyba że wolicie, te dwadzieścia kilometrów do bazy, zmierzyć spacerowym krokiem.

Oczywiście, że nie chcieli i kiedy wspięli się po drabince do kabiny grawilotu powitał ich szyderczy uśmiech profesora i wyrozumiałe, łagodne spojrzenie aksamitnych oczu jego ukochanej córeczki, Olgi.

- Jak to się dzieje, że pana pojazd nie ulega zniszczeniu tak jak nasze? - Bock z obawą zerkał przez okno na szybko oddalającą się plamę lasu.

- Proszę być dobrej myśli, ten pojazd zbudowano z miejscowych materiałów. - Olga z uśmiechem położyła drobną dłoń na dłoni sierżanta.

- Cały? - spytał ktoś z niedowierzaniem.

- Cały! - potwierdził profesor, patrząc uważnie na swoją córkę. Ona odwzajemniła spojrzenie i wyglądało to tak, jakby rozmawiali bez słów.

- Drobiazg! Co to dla tatusia, prawda? - Bock parsknął wściekle i obdarzył Olgę gniewnym spojrzeniem pełnym nie - tajonej złości. - Nie wierzę w to! Ten pojazd - dziobnął palcem znak producenta wtłoczony w plastik pulpitu - został zbudowany na Marsie, w marsjańskich dokach.

- Poprzedni - szepnęła Olga - bo ten to kopia...

- Idealna kopia - dodał profesor.

- Jestem ciekaw jak pan to zrobił, bardzo ciekaw! - sierżant poczerwieniał na twarzy. - Jak, gdzie i kiedy! I proszę mi nie mówić, że pan sam..

- Tego nie powiem - profesor wskazał na południe, tam gdzie bieleły się kolumny Miasta - ale w wolnej chwili pokażę wam pewne urządzenie, duplikator, powielacz, odtwarzacz, możecie go nazwać jak chcecie. Zamiast drzeć włosy z głowy i deptać mi po piętach, należało zbadać Miasto. Są tam rzeczy, które przydadzą się ludziom... a wam, pozwoliłyby odlecieć z twarzą...

- Nie moje poletko, orać nie pozwolono! - Bock westchnął. - Nikt z nas nie jest specjalistą, nie znamy się na automatach. Naszym zadaniem jest jedynie zabezpieczyć lądowiska dla rakiet i promów orbitalnych oraz służyć jako ochrona życia i mienia kolonistów do czasu zbudowania pierwszego osiedla lub miasteczka. No... nie tylko... Kiedy pan opuścił samotnie Ziemię i ruszył tutaj powtórnie, zdecydowano po dłuższych dysputach, że jednak należy nas wysłać, mimo pańskiego tak optymistycznego raportu o braku zagrożenia... Mieliśmy jedynie pro forma upewnić się, że nic i nikt nie zagraża kolonistom.

- Z mojej strony? - profesor wyglądał na rozbawionego.

- Między innymi! - przyznał wojowniczo sierżant.

- Proszę. Tak oto wygląda oddział superzwiadu, ariergarda cywilizacji, pierwsza nieśmiała jaskółka nadciągającej potęgi myśli ludzkiej - profesor już nie wyglądał na rozbawionego, był raczej zmartwiony. - Nic dziwnego, że tubylcy bronią się przed taką inwazją. Szczególnie, że już pierwsze spotkanie nie wystawiło najwyższej noty istocie jakoby cywilizowanej, mającej w swym etycznym dorobku kilka interesujących przykazań, jak: „...nie pożądaj rzeczy bliźniego twego”!

- O! Więc jednak oni istnieją?! - krzyknął ktoś z ekipy.

- Nie dla wszystkich - Olga położyła palec na ustach - i nie radzę mówić na ich temat czegokolwiek zbyt głośno. Oni są wszędzie i wszystko słyszą.

- To też należy umieścić w raporcie, o ile to prawda - powiedział Bock, oddychając z wyraźną ulgą na widok zbliżających się masztów stacji teletransmisyjnej - o nawet jeżeli nie, to i tak znajdzie się ktoś, kto wycisnie z pana całą prawdę. A w ogóle, to powiem panu zaraz, co ja o tym wszystkim myślę...

- Zamknij się wreszcie, ty szeregowy oporniku - nadbiegło z tylnych foteli poprzedzając soczystą wiązkę epitetów całej ekipy.

- Jak na dowódcę zwiadu, sierżancie, nie macie zbyt karnego zespołu - śmiech profesora zagłuszył przekleństwa Bocka - jeszcze trochę, a zostaniecie osamotnieni, a to byłoby przykre, nawet tutaj.

- Zamknij się ty jajogłowy mądralo, albo ja... - wyglądało, że minuty sierżanta są policzone i za chwilą dopadnie go apopleksja. Żyły na jego szyi spuchły sinymi węzłami, a oczy starały się bezskutecznie opuścić rodzinne oczodoły, pion Boćka zaciśnięta na kolbie miotacza opadła bezsilnie.

- Pan coś mówił? - Olga jakby mimochodem dotknęła dłoni mężczyzny i ten wzdychając głęboko pokręcił przecząco głową.

Wylądowali właśnie. Bock jak oparzony wyszarpnął drzwi i stękając skoczył na ziemię. Wyglądało to, jakby nagle przestraszył się.

- Czy każdy żandarm musi być tak ordynarny i ograniczony? - „spytał profesor, obracając się do pozostałych.

- Gdyby nie był, to by nie był - dość enigmatycznie wyjaśnił właściciel emblematu Cosmopolu.

- Przypomnę ci te słowa, Vega! - sierżant zdążył już przyjść do siebie i stał teraz oparty o statecznik pisząc coś pospiesznie w małym szarym notesie.

- On nie jest taki zły, tylko nie może robić tego co umie i to go wprawia w nastrój skrajnego przygnębienia, a nawet frustracji. - Olga ze współczuciem wskazała na piszącego nerwowo Boćka. - On jest waszym komendantem, odpowiada nie tylko za was ale i za nieudaną wyprawę zwiadowczą, musisz

go zrozumieć - patrzyła teraz na Vegę spokojnym, niejako pożegnalnym wzrokiem.

- A ja wiem swoje! - rozdarł się Bock, chowając swój kajet kapusia. - Obca planeta to obca planeta! Narwańcy! Wszyscy jesteście szurnięci! Widziałem setki takich, pewnych siebie mądrośrajków, cichych, nagich i sztywnych. A ich kości do dzisiaj użyźniają obcą ziemię pod obcym niebem z obcymi gwiazdami.

- To nam tutaj nie grozi - powiedział ktoś, niepewnie oponując.

- Tak! Czyżby? A ja twierdzą, że grozi!!! - Bock nagle zniżył głos i uśmiechnął się prawie sympatycznie. - No, chyba że wielki mądraliński co nas wsadził w to błoto, pomoże tak jak pomógł...

- Sierżancie! - Vega nie krzyknął, ale Bock ucichł, zmieniając temat.

- Dobra, fajno, nic więcej... - mimo to, odchodząc, mamrotał coś o dożywociu na obłąkanej planecie, z obłąkanym jajogłowym tyranem na karku.

Zapadło milczenie i ludzie z ekipy, nie ukrywając ponurych min, opuściliabinę.

- Tak nie wolno! - odezwała się Olga, patrząc z niepokojem na ojca.

- Sierżancie?!

- Słucham - Bock zawrótł.

- Może jednak zdecydujecie się na penetrację Miasta. Tam są interesujące i potrzebne wam, powiedzmy „rzeczy”.

- Po jakie lichy? - sierżant poprawił kaburę miotacza i wyzywająco zajrzał w oczy profesora i jego córki. - Już mówiłem. Od tego są specjaliści.

- Możecie skopiować prom. Jeden wam zostawiono, o ile wiem. Wróćcie na Orbital bez przeszkód, pod warunkiem, że niczego stąd nie zabierzecie!

- Dobra! Zaś pan zostanie tutaj razem z córką, mam rację? Nic z tego! Mam swoje rozkazy! - Bock nie czekając na odpowiedź ruszył w stronę prymitywnie skleconej ziemianki. Ludzie z ekipy poszli jego śladem. Wszyscy z wyjątkiem Vegi, który odczekawszy aż zostanie sam, spytał: - Czy mógłbym z panem pracować? - powiedział to niby do profesora, ale jego oczy szukały czegoś we wzroku Olgi.

- Oczywiście, ale co na to Bock? - profesor udawał, że nie widzi tego, co i tak było widać.

- Nie wiem, ale sądzę, że zamelduje komu trzeba. Oczywiście, w obecnej sytuacji, jest mi to zupełnie obojętne. Teraz każdy ma prawo decydować o sobie sam, nieprawdaż?

- Czyli wierzy pan, że stąd nie można odlecieć? - Olga uniosła swoje jasne brwi w niemym geście zapytania.

- Nie wierzę! - Ale mimo to chętnie tu zostaną...

- To jest dezercja! - profesor wskazał na ziemiankę - Bock dopadnie, pana i wsadzi do najgłębszego lochu jaki znajdzie w Mieście, a jeśli nie znajdzie to osobiście wykopie. Tutaj!

- Dziwne słowa w ustach kogoś kto jest dobrowolnym uchodźcą z Ziemi.

- To moja sprawa, młody człowieku!

- A ona? - Vega nie przestawał przyglądać się Oldze, która mimo upału ubrana była w szczelny, jednolity kombinezon.

- Mam urlop - dziewczyna o aksamitnym wzroku i jasnych jak len warkoczach wydawała się uosobieniem spokoju i pewności siebie - chyba wolno mi spędzić urlop gdzie chcę i z kim chcę?

- Oczywiście - Vega opuścił głowę i grzebiąc bosą stopą w piasku, spytał: - A co z pani mężem i dzieckiem? Pani syn ma teraz pięć lat i mimo że jest w ośrodku kształcenia, oczekuje na odwiedzin... cotygodniowe odwiedziny.

- Dziecko?! - Olga powoli zsunęła się z fotela na ziemię, nie odrywając wzroku od oczu ojca.

- Proszę mi wybaczyć to wścibstwo, ale jak już mówił Bock, wydano pewne rozkazy, polecenia... - Vega stanął tak by mieć ich oboje w zasięgu widzenia - prawdę mówiąc koloniści mają wylądować na B-4 lub też B-3. Nas skierowano tutaj jedynie po to by roztoczyć dyskretną opiekę nad naszym sławnym i

genialnym profesorem, więc... tak, na marginesie, gdzie pan zgubił swoją fajkę, profesorze?

- Fajkę?! - mężczyzna za sterami grawilotu zmarszczył brwi i powoli zsunął się na ziemię, a jego oczy stały się oczami lalki; dwa nieruchome matowe punkty, rozmyte kleksy ciemnej farby...

- Mówiłam ci. Należało dokładniej zbadać pamięć obiektów, nie byłoby teraz kłopotu z tym tutaj! - Olga stanęła obok Vegi.

- Dlaczego ukrywacie prawdę przed ludźmi? - człowiek z emblematem Cosmopolu położył dłoń na ramieniu dziewczyny udając, że nie widzi jak jej ojciec sięga do kieszeni i wyjmuje stamtąd dziwny owalny przedmiot zakończony rubinowym okiem kryształu, płonącego odbiciem słońca.

- Aby uchronić coś, co jest warte tego by to chronić... - profesor skierował dłoń w stronę mężczyzny stojącego obok córki.

- Nie radziłbym. Zdażę strzelić! - Vega już nie stał obok, ale za Olgą a lufa jego wojskowego miotacza dotykała kobiecej skroni w miejscu gdzie niknęły złociste włosy i pod skórą powinna pulsować mała, błękitna, ledwie widoczna żyłka.

- Przecież chciałeś wrócić na Ziemię? - profesor niechętnie pozwolił by napastnik odebrał mu emiter promieni Zetha.

- Jeszcze nie teraz i nie samotnie. Tamtym też coś się należy! - Vega przepraszająco skłonił się przed Olgą i bez słowa wyjaśnienia ruszył biegiem w stronę lepianki. Kiedy wrócił nie miał już emitera i nie miał broni, lecz w wyciągniętej dłoni niósł małe safianowe pudełko.

- To - dla ciebie, tytułem rekompensaty. Pewna kobieta dostała to od pewnego mężczyzny w dniu kiedy wyznał jej miłość. Postanowiła zachować to na pamiątkę i od tej pory jest to dla nie... wybacz, zrozumiesz kiedy mnie już tu nie będzie.

- To piękne - szepnęła Olga, patrząc na bukiet drobnych błękitnych kwiatków zatopionych w szklistym tworzywie.

- I znamienne. Tak jak ta planeta i jej trzy siostry. - Vega był już za sterami grawilotu i zachęcająco wskazywał profesorowi miejsce obok siebie. - Sądzę, że teraz, kiedy wiemy wszystko, nie odmówicie nam pomocy. Obiecuję, że niczego stąd nie zabierzemy!

- Dobrze! - profesor wszedł i zdecydowanie zatrzasnął za sobą drzwiczki.

Kiedy wystartowali i grawilot sunął nad czubami wyniosłych hebanowców, Vega, patrząc na samotną jasnowłosą postać idącą w stronę plaży, szepnął na poły do siebie: - Nawet w tej postaci jest piękną i mądrą kobietą...

- Istotnie, jest zdolna, mimo że tak młoda - zgodził się jej ojciec.

Do miasta dotarli po kilku minutach lotu. Z góry wyglądało na sznur biało-perłowych muszelek oprawnych w malachit.

- Miasto - powiedział Vega.

- Chryzopolis - szepnął profesor.

Wylądowali na owalnym placu tonącym w słońcu i niskiej ciemnozielonej trawie. Pachniało schnącym tatarakiem i wilgotnym cieniem olchy. Pobliskie zakole rzeki szumiało, omywając kamienne filary potężnego mostu strzaskanego w połowie, jakby pięścią gigantycznego trolla...

- To jest tam, w pierwszym budynku z balkonami - człowiek w dopasowanym kombinezonie usiadł na balustradzie dawnego moła i wolno zaczął odpinać magnetosuwaki. - Zabierz ich i żegnaj!!!

- Dlaczego... czy nie możemy czegoś nauczyć się od was... dlaczego nas wyrzucacie, odpychacie, wprowadzacie w błąd?! - Vega był w rozterce. Chciał biec we wskazanym kierunku, a zarazem zostać tutaj, z tym, który był i nie był profesorem, a w miarę jak pozbywał się ubrania, coraz mniej też człowiekiem. Wiedział, że kiedy wyjdzie stamtąd nie zastanie tu nikogo.

- Lepiej nie zadawać takich pytań! - twarz profesora była już jedynie maską, ale w oczach jeszcze

zapłonął ironiczny ogieniek uśmiechu. - Pytasz dlaczego? Między innymi dlatego, że istnieje względność wszechrzeczy i to, co trwa dla ciebie chwilę, dla kogoś może być bez mała wiecznością.

- To wykręt a nie powód! - Vega uśmiechnął się i ruszył w stronę domu z balkonami. - Mimo to, dziękuję...

- Szczęśliwego powrotu! I nie zapominaj, że Bliźniak miał kiedyś sześć planet. Dwie umarły w walce! - dobiegł go niewyraźny głos. Obejrzał się, lecz nie zobaczył profesora, jedynie słoneczne plamy; złoto przesiane przez gałęzie akacji i tańczące na czarnym granicie.

- Tak odchodzą marzenia i złudny czar... - szepnął stając przed lustrzanymi drzwiami.

Wewnątrz czekały dwa ciała spowite w szklisty kokon ciekłego kryształu. Z trudem przeniósł je do grawilotu. Gdy ostro podrywał maszynę do lotu, obok niego, w tajemniczym iskrzeniu i polarnej scyntytacji struktur subatomowych, spały dwie istoty, dwoje ludzi.

Kiedy wylądował w Bazie, ludzie z ekipy nie zadawali zbyt wielu pytań. Bez zbędnych dyskusji Bock zarządził ewakuację i gdy szykowali się do odlotu ostatnim, ocalałym promem, szklista powłoka zniknęła nagle bez śladu.

- To wygląda jak zezwolenie na start - ktoś zazartował, ale było w tym stwierdzeniu coś z nastroju ostatecznego pożegnania.

Pozwolono im odlecieć. Prom swobodnie wzbił się w górę i zaczął wolno spadać na gwiazdy odległe i bliskie, a najbliższą był Orbital płonący odbiciem słońca.

- Nie rozumiem. Po jakie licho dałeś jej ten zasuszony bukiet niezapominajek zalanych plastikiem? - spytał Bock, gdy nieśli uśpione ciała profesora i Olgi w głąb transgalaktyka.

- Każdy ma coś, co pragnie uchronić... tylko to mogło ich upewnić, że my też szanujemy wspomnienia i staramy się uchronić coś, co warte jest tego by to chronić, nawet jeżeli to tylko bukiet zasuszonych kwiatów, a nie planeta-muzeum.

Opowiedz mi o spadających gwiazdach

- Mamo?

- Słucham Gabi.

- Mamo, czy jak spada gwiazda to ktoś umiera?

- Nie synku, nikt nie umiera, to są tylko meteory.

- Takie małe kamienie?

- Tak, małe kamienie.

- A dlaczego one świecą?

- Śpij już Gabi. Rano będziemy w domu i spytasz tatę, a on ci to wszystko wytłumaczy lepiej ode mnie.

- Dobrze, mamo.

Jonę obudziła cisza i chłód. Mimo wykładziny dźwiękochłonnej pobliski night-bar dudnił jak zwykle żywiołową muzyką, która wciskała się do kabiny jak odległy szum oceanu. Próbowwała zapalić światło, ale neonówka ledwie mżyła nie rozjaśniając czarnych cieni pod meblami.

- Poskarżę się stewardowi - Jona ze złością nacisnęła zamek; drzwi ani drgnęły. Nie próbowała powtórnie. Zrozumiała, że coś się stało. Ostrożnie zdjęła tarczę wideofonu. Ekran był ciemny. Mechaniczny głos recytował z głośnika: „...zachowajcie spokój. Awaria zasilania. Pomoc w drodze. Pamiętajcie co należy teraz zrobić...”. Położyła tarczę. Cicho wróciła do łóżka i dodatkowym pledem okryła syna. Potem ułożyła się obok niego i zaczęła płakać. Było coraz zimniej, a powietrze miało dziwny, duszący zapach spalin.

- Jak to się stało?

- Pilot zameldował, że włącza silniki hamujące. Tylko tyle zdążył powiedzieć.

- Jaka jest opinia ludzi z kontroli lotów?

- Wykluczają uderzenie meteorytu. Nie było zapisu ani zgłoszenia obcych ciał w kanale podróznym.

- Pozostaje więc tylko awaria lustra fotonowego.

- No nie, nie tylko. Mogły puścić osłony magnetyczne silników.

- Opinia ekspertów?

- Brak danych. To, że część „Tyтана” anihilowała nie oznacza konkretnej awarii jednego z kluczowych elementów maszynowni. To mogło się zacząć od obluzowanej śruby dozownika paliwa lub niedrożnego przewodu chłodzenia.

- Jaka jest sytuacja na pokładzie?

- Fatalna. Wprawdzie nikt nie zginął, nie ma też rannych, ale wszystkie grodzie próżniowe zablokowały przejścia. To jest ponad cztery tysiące samodzielnych jednostek. Ludzie ugrzęźli w windach i łazienkach. Odcięty powrót do kabin z restauracji, kinoteatru czy basenu kąpielowego. Rozdzielone rodziny. Osamotnione dzieci. Niemowlaki czekające na matkę lub ojca. Piloci i załoga nie panują nad Tytanem. Brakuje energii do uruchomienia awaryjnych systemów podtrzymywania życia.

- Czy nastąpiła zmiana kursu?

- Tak.

- Szybkość?

- Obecnie zbliżyła się do dziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę.
- Dokąd kieruje się „Tytan”?
- Komputery liczą przypuszczalne trajektorie.
- Pan nie mówi prawdy.
- Nic więcej nie mogę powiedzieć.

Centrum Kontroli Lotów przypominało mrowisko, w które wdepnął głodny mrówkojad. Okoliczne parkingi i trawniki zatłoczone były autami, ludźmi i policjantami z kontroli drogowej i oddziałów specjalnych. Do zamkniętych drzwi głównego biura szturmował zwarty tłum kobiet i mężczyzn powstrzymywanych potrójnym kordonem strażników ubranych w plastikowe zbroje. Alderon wychylony z okna patrzył na ten bałagan i czuł, że zbiera mu się na wymioty.

- Jeżeli tu wejda, rozedra nas na strzępy. - Kerr, szef kontrolerów lotu, gruby i śmierdzący jak jego cygara, drapał się po owłosionej piersi. Alderon cofnął się od okna i usiadł w fotelu. Salka obliczona na osiem osób była zapełniona po brzegi. Duszny smog będący mieszaniną dymu tytoniowego, parującej kawy, alkoholu i spoconych ciał wisiał ciężko u niskiego sufitu.

Przemawiał Albert, dyrektor Kosmodromu Kilimandżaro.

- ...na pokładzie „Tyтана” znajduje się dwa tysiące pięćset cztery osoby łącznie z załogą. Oni już dla nas umarli. Nie możemy czekać do ostatnich chwil. Ktoś z nas musi im to powiedzieć. Nie ma sposobu zapobieżenia katastrofie. „Tytan” skierował się w stronę Ziemi i za godzinę wejdzie w atmosferę. Żaden z naszych statków ratowniczych nie zdąży podejść do niego i ewakuować pasażerów. Na to potrzeba godzin, a nie minut. „Tytan” automatycznie zatrzasnął swoje grodzie i śluzy w chwili dekompresji w przedziale silnikowym. Jeżeli uszkodzone są śluzy awaryjne, to trzeba byłoby pruć pancierz, a potem po kolei wszystkie grodzie...

- Czy wysłał pan wszystkie statki na orbitę - pytanie zadał Slovanec. Jak na ministra komunikacji nie miał teraz właściwego wyglądu. Ściągnięto go helikopterem z jakiejś łódki na Nilu. Był ubrany w podkoszulek, szorty i kalosze. Ciągle jeszcze trzymał w ręku krótki spiner.

- Wszystko co mogłem, panie ministrze. - Albert rozłożył ręce w niemej rozpacz. Piżamowa kurtka, którą miał na sobie, rozchyliła się ukazując łańcuszek zakończony żółtym krzyżykiem.

- Pozostaje nam tylko chyba to... módl się o cud - szepnął Albert.

Kerr w milczeniu pokiwał głową zapalając cygaro od cygara. Slovanec wściekle machnął spinerem i rozbił filiżankę z kawą.

- Musi być jakieś wyjście - krzyknął. - Myśl, człowieku!

- Robimy co się da. Ściągnąłem na pomoc niszczyciele z wojskowych baz orbitalnych i wszystko co się rusza w tej części kosmosu... - Albert opadł na fotel i ukrył twarz w dłoniach.

- Ma tam żonę i syna - powiedział ktoś z obsługi radarów.

- Przepraszam, nie wiedziałem... - Slovanec przełknął śliną i głęboko odetchnął.

- Ja im tego nie powiem, nie mogę... - gruba bambusowa rękojeść wędki pękła w jego dłoniach z ogłuszającym trzaskiem.

Alderon wstał i podszedł do automatu z kawą. To była jego piąta filiżanka, ale gotów był wypić cały pojemnik byle odpędzić przerażające uczucie pustki, jakie ogarnęło go na wieść o katastrofie.

- Ja to zrobię - powiedział głośno i cisnął kubek z kawą na podłogę. Patrzyli na niego w milczeniu.

- Daj spokój, nie powinienes... - zaczął Kerr ale nie dokończył widząc zdecydowanie na twarzy szwagra. Alderon usiadł przed ekranem holowizora. Nie było wizji, jednak dźwięk był doskonale czysty i nieskażony zakłóceniami. Od pół godziny obowiązywała w kosmosie cisza.

- Ziemia do „Tyтана”. Mówi...

Kiedy skończył miał mokrą koszulę i ktoś ocierał mu czoło papierowym ręcznikiem. Do sali wpadł

Olson. Jako przedstawiciel konsorcjum produkującego sprzęt kosmiczny miał obowiązek udzielenia informacji dziennikarzom.

- Nie mogę spławić tych wideofonicznych hien - krzyknął - co mam im powiedzieć?

- Prawdę! - Slovanec wskazał na ekrany. - Za godzinę lub mniej i tak wszyscy to zobaczą. Nie ma się co oszukiwać.

Alderon leżał w fotelu. Gruby Kerr krążył wokół niego jak ćma.

Spokojnie chłopie, trzymaj się. Może zdarzy się cud. Póki żyją nic jeszcze straconego. Wiem co czujesz. To moja siostra, a twoja żona...

- Gabor ma dopiero trzy latka. Tak długo czekaliśmy aż będzie nas stać na dziecko - Alderon zamknął oczy. Stalowa łapa strachu dławiała go w bezlitosnym uścisku.

- Kerr, ty cholerny śmierdzący wieprzu, powiedz że to nieprawda... - oni nie mogą zginąć na moich oczach! - Poderwał się w stronę okna. Potrzebował przestrzeni, pędu powietrza, dziesięciu pięter i betonowej płyty, o którą będzie się mógł roztrzaskać w czerwony kleks. Tak jak za godzinę zginie Jona i Gabor. Dwa krwawe kleksy na suficie czy ścianie, które zmyje ocean ognia. Kerr mimo swej tuszy był szybszy. Uderzył raz i złapał sflaczałe ciało w swoje ramiona.

W pustej salce siedział jedynie Albert.

- Co się stało? - był zaszokowany zachowaniem szefa kontrolerów.

- Chciał skończyć. Na „Tytanie” ma żonę i syna. Moją siostrę...

- To też jest wyjście... - Albert wstał.

Kerr pochylił głowę i zacisnął pięści. Był gotów. Albert popatrzył na szefa kontrolerów i powoli usiadł.

- Pan mnie źle zrozumiał. Powinniśmy zejść na dół i osobiście być z tymi, którzy czekają na swoich bliskich... którzy nie doczekają się swoich bliskich.

Dyrektor Kosmodromu Kilimandżaro płakał.

- Spokojnie, spokojnie - Kerr wypluł niedopałek cygara na podłogę, nalał do kubka dużą porcję czystego ginu i wypił. Powtórnie nalał i podał Albertowi.

- Alderon powiedział, że wszycymusimy być dzielni i mieć nadzieję... „jesteśmy z wami myślą i sercem...”, „niewielka jest nadzieja na ratunek ale zawsze może zdarzyć się cud...”.

- Gadanie! Solo Mann ze złością wyłączył odbiornik. Od dwudziestu minut jego „Złota Strzała” szła pełnym ciągiem w stronę „Tyta”. Przeciążenie rozpląszczyło człowieka w fotelu, a alarmowe kontrolki chłodzenia stosu niedwuznacznie sugerowały, że kociołek jest na granicy wybuchu. Przy stu tysiącach kilometrów na godzinę autopilot samoczynnie wyłączył silniki. Na ziemskich ekranach maleńka kreseczka goniąca „Tyta” przypominała wściekłą pszczołkę mknącą za brym olbrzymem, który ukradł jej zapasy miodu.

- Alderon, odezwij się wreszcie, do diabła - Kerr z syfonem w raku udawał strażaka. - Chłopcze, jest szansa, słyszysz mnie?

- Słyszę i przestań mnie topić. - Alderon kichając i plując usiadł na stole. - Czuję twoją łapę na szczęce - mruknął.

- Boże, teraz nie czas na wypominanie. - Grubas z rozmachem rąbnął szwagra w plecy. Alderon spłynął ze stołu, na miękkich nogach zrobił trzy kroki i zawisł na fotelu przed ekranem dalekowizji.

- Tutaj, tutaj - Kerr stukał palcem w ciemny punkt w centrum ekranu. - Tutaj jest „Tytan”. A to małe gówienko to holownik ze służby oczyszczania kosmosu. Zobacz jak grzeje!

- Niech się schowają wszystkie ratunkowe czy wojskowe rakiety.

Salka cicha i pusta wypełniała się powtórnie zwartym gąszczem uczestników niedawnej narady.

- Kto to jest? - krzyczał Slovanec przeciskając się w stronę fotela, gdzie siedział Albert.

- Taki niewyparzony w gębie śmieciarz z SOK-u. Dyrektor Kosmodromu Kilimandżaro nie odrywał oczu od ekranu. W jednym ręku trzymał cygaro otrzymane od Kerra, w drugim kubek, a między udami ścisnął butelkę z ginem. Ktoś podsunął ministrowi pustą skrzynkę po piwie. Slovanec usiadł z głową prawie w ekranie.

- Niesamowicie szybki jak na tak małą jednostkę - szepnął z podziwem w głosie. - Masz z nim kontakt? - zapytał Alberta.

- Miałem, ale nie chciałem nikogo słuchać.

Wyłączył się.

- Mówił coś?

- Tak. „Nie przeszkadzać! Wycofujcie swoje statki z mojej trajektorii”.

- To niewiele. Twardy gość.

- Wie, co robi. - Olsen wsunął głowę między fotel a skrzynkę. - Stary wyjadacz. Zebrałem już informacje o nim; Solo Mann, dwadzieścia lat w kosmosie. Od pięciu lat na holowniku SOK-u..

- Skąd on tam się wziął? Tak blisko Ziemi? - zainteresował się Alderon.

- O to samo pytałem dyspozytora z Bazy SOK-u na Księżycu. - Olsen znacząco chrząknął. - Nie chciał mi nic powiedzieć i zrobił się raczej wulgarny...

- Nieważne. Zupełnie nieważne! Dajcie na ekrany czas jaki został „Tytanowi” i proszę zacząć odliczanie!

Albert nalał do kubka alkoholu i podał ministrowi.

- Za tych co w kosmosie! Wypij, dobrze ci zrobi. Slovanec bez słowa przechylił kubek.

* * *

„Złota Strzała” przylgnęła do boku „Tyтана”. Tępy, opancerzony dziób holownika wparł się w bok kolosa. Ciężko zagrały cztery dysze głównego ciągu pojazdu. Solo Mann drżącą dłońią przesunął dźwignię dopalaczy. Nie miał czasu na delikatny manewr. Wprawdzie holował przy większych szybkościach o wiele potężniejsze wraki do księżycowych doków, ale tutaj należało odchylić raketę na tyle, by wyrwała się ze śmiertelnej trajektorii i weszła na obojętną orbitę kołową. Obliczył, że zdąży z zapasem pięciu minut. Teraz, kiedy już wparł się w ceramitowy pancerz, a widoczna na ekranie hipotetyczna czerwona linia drogi „Tyтана” coraz szybciej odsuwała się od środka pola, mógł spokojnie odetchnąć. Miał kaca. Gigantycznego. Poza tym był bez grosza i, co gorsza, stary Glum z Księżyca domagał się zwrotu pożyczki. Sięgnął po termos. Wypił te parę łyków, które zostały na dnie i sapiąc przez nos położył się na fotelu. Czubkiem obcasa dociskał do maksimum dźwignię, którą ostrożny autopilot próbował cofnąć do połowy skali.

- Cholerny asekurant - powiedział Solo Mann i uderzył pięścią w oparcie fotela. Zawsze sobie obiecywał, że weźmie młotek i rozwali wszystkie bezpieczniki autopilota, ale nigdy tego nie umiał zrobić. Bądź co bądź nie była to głupia maszyna ale cybernetyczny mózg, z którym zawsze można było pogadać w wolnej chwili.

- Zdejmij tę nogę, bo wyłączę silniki - powiedziała ściana.

- Nie da rady, słyszałeś przecież sygnał SOS. Tam są ludzie. Trzeba ratować...

- Zdążysz. Oszczędzaj reaktor. Mamy uszkodzone chłodzenie!

- Wytrzymamy jeszcze pięć minut?

- Jak nic nowego nie wysiądzie, to tak.

- No to trzymaj kurs! Tylko pięć minut i starczy! - zdjął nogę z dźwigni, wstał i zaczął się ubierać w skafander.

- Dokąd? - spytała ściana.

- Na zewnątrz. Muszę im podłączyć akumulatory. Mają trudności z awaryjnymi systemami podtrzymywania życia.

- Dam ci cały zestaw energetyczny z naszego dubletu.

- Duże ryzyko. Nie daj Boże, że coś ci się spali i jak wtedy dasz sobie radę?

- Poczekam na ciebie.

Solo Mann bez słowa wszedł do śluzy. Na zewnątrz czekał już na niego potężny grzbiet „Złotej Strzały”, kryjący w sobie mini-stos ratunkowy oraz wszystkie ważniejsze dublety urządzeń holownika.

- Oddzielam - szepnął głośnik w hełmie.

- Skieruj mnie w stronę kabiny pilotów, tam są zewnętrzne gniazda energetyczne.

„Złota Strzała” pękła wzdłuż i jej górna część ruszyła w stronę kadłuba „Tyтана”. Solo Mann mijając kolejno krystaliczne okna pojazdu i z niepokojem patrzył na ludzi z tamtej strony. Ludzi leżących na podłodze lub skulonych na posłaniach w swoich kabinach. Widać było, że brakowało im światła, tlenu i ciepła.

Ledwo zipią! - przycumował do pierwszego gniazda. Dopasowanie kontaktu i zdjęcie pokrywy zajęło mu parę sekund.

W chwili kiedy włączył agregat „Tytan” sapnął głucho i zewnętrzne pancerne pokrywy luków otwarty się zachęcająco. Równocześnie wszystkie ciemne okna rozbłysły strugami białego, różowego i żółtego światła. Solo Mann podniósł się z klęczek i zajrzał przez najbliższą szybę do środka. W kabine na posłaniu leżała kobieta tuląca do piersi małego chłopca. Nagła zmiana oświetlenia spowodowała, że zerwała się gwałtownie i odruchowo spojrzała w iluminator. Solo Mann uśmiechnął się przyjaźnie i znacząco podniósł do góry kciuk. Kobieta zrozumiała, bowiem jej twarz rozpogodził uśmiech niewyobrażalnej ulgi. Odwróciła się zaraz i nacisnęła zamek u drzwi. Te odskoczyły nikiąc w ścianie, a Solo Mann zobaczył wewnątrz korytarza i innych ludzi padających sobie w ramiona i śmiejących się przez łzy. Kobieta powiedziała coś i do jej kabiny zaczęli się tłoczyć pasażerowie próbując zobaczyć swojego wybawcę. Solo Mann odsunął się z zażenowaniem. Nigdy nie przepadał za teatrem, a tutaj nagle wylądował na scenie w głównej roli. W innych oknach też pojawili się ludzie i wszyscy kiwali do niego rękoma jak opętani. Błysnął jakiś flesz. Solo Mann zdrętwiał. Był przepity. Oczy miał zapuchnięte i czerwone jak albinos, a na twarzy trzydniowy zarost. Był istną ruiną człowieka. Zrejerował. Galopem, o ile w pustce i w skafandrze można galopować, ruszył w stronę kabiny pilotów. Podłączył następny kabel zasilania i bez zbędnego zerkania w cudze okna rozejrzał się za „Złotą Strzałą „. Wierny holownik odpływał właśnie od boku „Tyтана” i sterując silnikami korekcyjnymi próbował dopasować się do swojego drugiego ja. Solo Mann bez namysłu odbił się od burty i skoczył w czarną pustkę dzielącą go dwustumetrową szczeliną od „Złotej Strzały”. Śluza otworzyła się kiedy tylko dotknął dłonią burty. Bez rozbierania się wszedł do kabiny.

- Wszystko gra? - spytał siadając na fotelu.

Odpowiedzią było milczenie i żółty alarmowy sygnał przeciążenia reaktora.

* * *

Centrum Kontroli Lotów przypominało mrowisko, w którym kiedyś gościł bardzo głodny -

mrówkojad. Z wysokości dziesiątego piętra okoliczne parkingi i trawniki świeciły pustką. Trzy lub cztery samojezdne kosiarki ugrzęzły w stertach puszek po piwie, coli i mleku. Ekipa sprzątająca wspomnienia po panice, leniwie krążyła po drogach okalających Centrum, przypominając zagubione i wyobcowane mrówki. Kerr, szef kontrolerów logu, siedział przed ekranem dalekowizji i w milczeniu głąaskał niesforne loki Gabora. Obraz na ekranie falował odległą poświatą ognia.

- Niech to wszyscy diabli! - Slovanec zmienił zakres odbioru i teraz poprzez kamery intersalta mogli zobaczyć ostatnie sekundy agonii „Złotej Strzały”. Gorejąca czerwienią, bielą i błękitem, ognista kula rozpadła się na tysiące iskier.

- Wujku, czy to są meteory! - spytał Gabor.

Kerr nie odpowiedział. Obejrzał się tylko na kurczowo przytulone postacie Jony i Alderona.

- Tak synku, to są meteory. Teraz, to już tylko meteory. Minister nie wyglądający na ministra przechylił kubek z ostatnim łykiem ginu.

- Dlaczego? - spytał. - Czy nie mogliśmy nic zrobić?

Ludzie milczeli zapatrzeni na ostatnie gasnące na ekranie iskry ognia.

- Nic nie mogliśmy. To była ewidentna sprawa. Przegrzany reaktor. Niesprawne silniki. Zbyt blisko Ziemi. Musiało się tak skończyć. - Kerr cisnął cygaro na podłogę.

- Dla nas kiedy spada gwiazda to umiera człowiek. Gdyby pan do nas częściej zaglądał, zrozumiałby pan jaką mamy pracę. Na pana miejscu zakazałbym wszystkich tych zwariowanych podróży donikąd. Przeklęte planety pełne pustki, śmierci i mroku...

- Spiłeś się Kerr! - Slovanec wstał i z opuszczoną głową wyszedł z sali. Za nim poszli inni.

- Mamo - Gabor podbiegł do Jony ciągle tulącej się do Alderona.

- Tak kochanie?

- Dlaczego powiedziałaś, że to nieprawda z tymi gwiazdami.

- Nie rozumiem Gabi?

- Wujek Kerr przecież powiedział, że kiedy spadają gwiazdy to umiera człowiek.

Jona ze łzami w oczach objęła drobne ciało syna.

- Gabi - szepnęła - Gabi, kochanie. Nie trzeba teraz nic mówić. Teraz nie trzeba.

* * *

- Gadanie - Solo Mann ze złością wyłączył głośnik. - Komitet powitalny wymyślili, Jezu, jak ja to przeżyję? - Chciało mu się piwa jak nigdy dotąd i spokojnego odpoczynku w kabinie „Złotej Strzały”. Obejrzał się za siebie. W oddali Ziemia lśniła błękitem.

- To nic, jeszcze nieraz... - mocniej przycisnął do piersi kryształową kulę zawierającą mózg autopilota. Jeden z przewodów jakie oplatały kryształ tkwił w hełmie skafandra.

- Chyba nie rozbeczysz się jak dzieciak? - spytał autopilot. - Jeszcze mnie zgubisz...

- Chyba nie, ale mi szkoda, bo to był dobry statek.

- To był najlepszy jaki istniał w SOK-u.

- Teraz już nam nie pozwolą...

- Pozwolą. Proponuję przesiąść się na „Białego Ogara”.

- Sądzisz, że dadzą?

- Już dali. Nie trzeba było wyłączać głośnika.

- Mdli mnie od tej drętwej gadki jaką sprzedaje stary Glum.

- Nie narzekaj. To dobry dyspozytor i zna się na robocie.

- Pewnie, ale nie chciał mi pożyczyć forsy na to chrzanione powitanie. Nie mam żadnego porządnego ubrania...

- Czy to takie ważne, ty moczymordo? I tak byś wszystko przepił.

- Przymknij się, bo cię kopnę!

- Kopnij, ty pijackie nasienie.

Solo Mann uśmiechnął się i mocniej ścisnął nogami obły kształt raketowej gaśnicy.

- Nie ma się co spierać - mruknął - już po nas lecą.

- No to gazuj. Prędzej będziemy mieć to za sobą.

Solo Mann odwrócił się i przekręcił zawór. Potężna fontanna sprężonego dwutlenku węgla białą kaskadą znaczyła ślad wzbijającego się w górę obiektu. Na ekranach dalekowizji wyglądało to jak miniaturowa kometa, która wbrew prawom fizyki uciekała od Ziemi. I mógłby ktoś teraz, trawestując stary przesąd, powiedzieć, że kiedy wznosi się gwiazda rodzi się nowy człowiek.

Opowiem ci jak to było...

Jest nas coraz więcej i żyjemy coraz dłużej. Średnio po sto lat. Moja ciotka, Eleonora Koll, umarła. Nie byłoby to dziwne gdyby nie fakt, że na drugi dzień spotkałem ją na zwykłym miejscu, to jest w bujanym fotelu przed ekranem wideofonu. Spała pochrapiując cicho i była ubrana w białą, długą do ziemi szatę, obrębianą złotą lamówką.

- Ciociu El - brutalnie obudziłem świętej pamięci nieboszczkę - to nie wypada, ciocia umarła.

- Wiem o tym - powiedziała ciotka i poruszyła się, a z szerokiego rękawa wypadła wówczas mała karteczka. Mimowolnie sięgnąłem po nią i zobaczyłem, że był to kartonik, dość ordynarny w dotyku, z podłej tektury, na którym widniała data zgodna z dniem śmierci mojej ciotki. Datę tę ktoś przekreślił czerwonym flamastrem i wpisał obok inną. Na odwrocie była pieczętka „Nie przyjęto z braku miejsc”.

- Sądząc z tego, co tu piszą - powiedziałem - ciocia dożyje dwustu lat.

Westchnęła ciotka ciężko - nie tylko ja, mój drogi, wyobraź sobie, że w Niebie też jest przepełnienie. Przy dwudziestu miliardach ludzi na Ziemi nawet na śmierć trzeba czekać w kolejce. Ale pozwól, że opowiem ci jak to było...

Tester

Nazywał się „Intergalaks” i poza szumną nazwą oraz grubą czapą nowego ceramitu nie reprezentował sobą czegoś niezwykłego.

Mimo to, kiedy wysiedli na końcowej stacji i spoza jednorodnych brył kosmodromu zobaczyli górną część kosmolotu, przez ich nieliczną grupę przebiegła empatyczna nić niepokoju: ktoś zakasłał, ktoś głośno gwizdnął, parę osób niepewnie roześmiało się.

Wysoka, posągowa Istota będąca ich przewodnikiem, ostrzegawczo uniosła dłoń do góry, mówiąc:
- Proszę nie wstrzymywać marszu... idziemy! Zaczęto już odliczanie!
Z wahaniem skierowali się do wyjścia. Jedna z kobiet, o włosach koloru złota, powiedziała głośno:
- To nieuczciwe, najpierw kazano nam czekać miesiącami, a teraz pędzą nas jak stado na rzeź.
- Prosimy zachować ciszę i spokój! - tym razem był to głos drugiej Istoty zamykającej i ubezpieczającej tyły.

Alberski obejrzał się przez ramię najpierw na kobietę, a potem na strażnika. Niski, brodaty mężczyzna idący obok niego zrobił to samo, mówiąc:

- Ta kobieta ma rację, a nasi opiekunowie mogliby zwolnić tempo... - westchnął głęboko i z trudem.
- Astma? - spytał Alberski, widząc wysiłek na twarzy towarzysza z szeregu.
- Wypadek w laboratorium - brodacz, mimo że szli wolno, wyraźnie zostawał z tyłu.
- Pozwolisz? - Alberski objął go wpół i prawie niosąc dołączył do grupy, popędzany monotonnym „prosimy nie opóźniać” wypowiedzianym kilkakrotnie przez strażnika.
- W tych kombinezonach i hełmach wyglądają jak roboty - brodacz obejrzał się do tyłu.
- Masz rację, to są androidy - Alberski uśmiechnął się - zawsze żegnają i zawsze witają. Są sterylnie czyste i odporne na działanie obcych wirusów.

Na zewnątrz stacji czekał mikrobus. Wsiedli, a straż zamknęła za nimi drzwi. Zostali sami.

- I co dalej? - spytał najstarszy z grupy, siwy i zgarbiony mężczyzna w luźnym kimonie.
- Odlatujemy, nim się rozmyślą! - ktoś krzyknął i wszyscy parsknęli śmiechem.

Alberski oparty o kierownicę uniosł do góry dłoń mówiąc.

- Proszę zajmować miejsca. Mam pięć minut na zapoznanie was z warunkami lotu.

Zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na niego z uwagą.

- Jestem licencjonowanym pilotem - powiedział, taksując wzrokiem obce mu twarze - i moim zadaniem jest ruszyć to pudło - wskazał sylwetkę „Intergalaksa” - oraz cało i zdrowo wyprowadzić go poza Układ Słoneczny. Potrwa to sześć dni i przez ten czas tylko ja mam prawo do pytań i odpowiedzi. Innymi słowy mówiąc, moje polecenie lub prośba będzie rozkazem. Dla was ten czas ma być okresem wzajemnego poznania się, ale nie tylko. Założono, że stworzycie załogę. Między wami są ludzie o wszystkich potrzebnych na statku specjalnościach. Tylko od was zależy, czy w ciągu tych sześciu dni ukształtujecie się w zespół zdolny podołać trudnemu zadaniu jakim jest lot w nieznaną. To jest eksperyment, a ja będę, nie maco ukrywać, waszym testerem. Oczywiście będąc ochotnikami macie prawo wycofać się. Ale teraz, bo kiedy wystartujemy, kiedy będziemy w górze, nie będzie odwrotu.

Zamilkł, dając im szansę przemyślenia tego, co powiedział. Kiedy nikt nawet nie westchnął, uśmiechnął się. To było do przewidzenia. Widział to w ich oczach. Upór, determinacja, pewność siebie.

Rozumiem, że możemy ruszać - spojrział na zegarek - za sześć dni miniemy orbitę Plutona. Jeżeli nie jesteście samobójcami, to osobiście radzę wsiąść teraz, bo ja oddam wam stery za niecały tydzień, wrócę na Ziemię i nie będzie nikogo, kto powie wam, że jesteście za mało przygotowani lub pomoce w walce o przetrwanie. Wierzcie mi, kosmos to nie autostrada...

Wierzyli, ale nikt nie wstał, ani nie drgnął nawet. Patrzyli tylko. Dziwnie. Z rozbawieniem.

Rozkładając ręce w niemym geście rezygnacji odwrócił się i usiadł za kierownicą. Włączając silnik i kierując pojazd w stronę odległego kosmodromu pomyślał „... a może by tak raz jeszcze wyrwać się...”.

Ale wiedział, że tego nie zrobi. Odkąd wrócił z Proximy drążył go strach. Bał się, bo wiedział, że kiedy powtórnie ruszy na szlak, nie wróci już tutaj. Piloci nazywali to bakcylem wolności. Kto go połknął, ten był dla Ziemi stracony.

Wystartowali zgodnie z programem i kiedy na monitorach błysnęła zieloną napis „kanał 1019 (autopilot/lot-EX-001) STANDARD” Alberski z ulgą odłożył neurofon na półkę.

Test testem - pomyślał - ale kto wie, co istotnie kryje się poza tym całym eksperymentem.

Nie martwił się o ludzi, ale o statek. Bądź co bądź „Intergalaks” należał do starszej generacji i mimo remontu i zmian konstrukcyjnych nie był, na pewno, jednostką zdolną do tak dalekiej podróży jak lot poza Układ Słoneczny. Szczególnie, że ostateczny cel nie został ustalony.

- Kapitanie Alberski! - głos pełen niepokoju. Na ekranie znajoma twarz. - Wszystkie grodzie są zablokowane. Nie mogę dostać się do przedziału silnikowego. - Szybko wypowiedziane zdania zakończyło chrapliwe pokaskiwanie.

- Przepraszam, ale nie jestem kapitanem tylko pilotem, to raz, a dwa, to zgodnie z instrukcją wszystko jest tutaj pod kluczem: magazyny, centrum astronawigacji, komputery, hibernatory, i tak dalej... Tytko ja, przez sześć dni, będę decydował o waszych poczynaniach. A szczególnie o możliwości dostępu do bardziej skomplikowanych zadań i urządzeń. - Alberski uśmiechnął się do brodacza.

Ten opanował już atak duszności i wzdychając ciężko powiedział:

- Tak też sobie pomyślałem, ale wolałem się upewnić - powtórnie westchnął - jestem inżynierem, to odruchowe kiedy jest się na statku...

- Rozumiem! - Alberski nacisnął pomarańczowy kontakt w konsoli komputera - zdjęłem blokadę. Możesz wejść. Przy okazji, będę wdzięczny za dokładny raport o stanie technicznym reaktorów.

- Dziękuję - brodacz odwzajemnił uśmiech pilota - nazywam się Piotr Hawel, mów mi po imieniu, tak będzie prościej.

- Życzę udanej inspekcji, Piotrze - Alberski odczekał aż ekran wideofonu ściemnieje, po czym zwrócił się do komputera:

- Proszę dane personalne Piotra Hawela.

- Nie figuruje w rejestrze załogi - padła natychmiastowa odpowiedź.

Spodziewał się tego. Mógł oczywiście na podstawie rysopisu odszukać Piotra w archiwum personalnym, ale nie interesowało go w tej chwili, kto kim jest naprawdę. Miał nie ingerować i czuwać jedynie nad tym by lot przebiegał bez zakłóceń i zgodnie z programem testowym.

W ciągu następnych godzin miał jeszcze kilka rozmów video z paroma osobami, z których tylko jedna nie starała się ukryć prawdy o sobie.

Był to starszy już wiekiem pilot o twarzy poranej zmarszczkami, noszący w klapie bluzy odznakę Zasłużonego dla Ratownictwa. Pytał, czy może pełnić dyżur jako dubler. Alberski wyraził zgodę, a w dowód zaufania polecił zmiennikowi dokonać drobnej korekty kursu. Była to pozorna poprawka nie zmieniająca w niczym celu podróży, jako że jedynym obecnym celem była północna ćwiartka między Neptunem a Plutonem, czyli parę milionów kilometrów pustki.

Dni płynęły szybko, wyznaczone stałymi godzinami raportów dla Instytutu, programowaniem zadań

dla komputera oraz baczny obserwacją wnętrza „Intergalaksa” i jego tworzącej się załogi.

Było zdumiewające jak ta nieliczna garstka, raptem czterdzieści cztery osoby w statku mogącym pomieścić parę tysięcy, trzymała się razem nie starając się rozbić na wzajemnie zwalczające się ugrupowania.

W ciągu trzech dni wiadomo już było kto co będzie robił, jakie reprezentuje wartości i czego należy się po nim spodziewać.

Alberski ze zdumieniem stwierdził, że jedynie trzy osoby nie przybrały fikcyjnych nazwisk. Co ciekawsze, po weryfikacji w kartotece personalnej, okazało się, że każdy starał się o zajęcie i stanowisko zupełnie różne od tego, jakie posiadał na Ziemi. Wyglądało to tak, jakby ludziom tym pozwolono urodzić się powtórnie, nie odbierając, im jednak niczego z bagażu doświadczeń lat minionych.

Czwartego dnia rano według czasu pokładowego Alberskiego obudził sygnał alarmu. Poderwał się, zaspany, przerażony, oblany potem. Zaraz jednak przyszła refleksja i wspomnienia grafiku jaki dano mu do wglądu.

- Przekłęte testy! - warknął i przecierając oczy położył się na łóżku.

- Ależ koncert - westchnął.

Wszystkie możliwe do obudzenia sygnały były w pełnym ruchu. Widać, a raczej słysząc było, że tam w głębi statku za wszelką cenę próbowano dobrać się do niego.

- Proszę o uwagę! - powiedział najbardziej ponurym głosem na jaki tylko było go stać:

- Nastąpiła awaria... przedział silnikowy... trafienie obcego ciała... przeciek... dekompresja w przedziale szóstym, należy natychmiast zlokalizować miejsce przebicia... czytał z kartki starając się nadać słowom możliwie poważne, a nawet złowieszcze znaczenie. - Otwieram wszystkie grodzie i luki oraz windy i dźwigi. Udostępniam statek dla ekip remontowych. Proszę o możliwie szybkie raporty za pośrednictwem interfonii. Część urządzeń w kabinie dowodzenia nie działa. Proszę o natychmiastowe włączenie dubletów w przedziale ósmym, oraz stworzenie ekipy zabezpieczającej ewakuację w promie ratunkowym - bezgłośnie ziewając, odłożył kartkę i obrócił się twarzą do ściany.

„Minie co najmniej godzina nim się uporają z paniką i wezmą za solidną robotę” - pomyślał zapadając w drzemkę. Po dziesięciu minutach rozdzwonił się wideofon.

- Słucham - szepnął, z trudem opanowując artykulację.

- Przebicie zlokalizowane, dublety działają, dekompresja usunięta - głos należał niewątpliwie do Piotra Hawela.

- Słucham? - Alberski usiadł na łóżku i w ostatniej chwili powstrzymał się od włączenia ekranu video.

- Melduję, że sytuacja opanowana...

- Dziękuję! - wyłączył się i w bezmiernej ciszy i zdumieniu zaczął spacerować po kabinie.

„Test - rozmyślał - zakładał różne warianty, ale tego, by w tak krótkim czasie tyle zrobiono, tego test nie przewidywał.”

- No, ale w takim razie poprzeczka idzie wyżej - szepnął przeglądając się w lustrze i uśmiechając się, w swoim mniemaniu, dość satanicznie.

Ekran łączności Ziemia-Galaks rozjaśnił się. Oczekiwano jego raportu. Złożył go niezbyt przepisowo, ubrany jedynie w neurofon i płaszcz kąpielowy. Będąc pod wrażeniem wyczynu załogi i mając jako tester prawo do własnych wniosków i zmiany grafiku testowego, powiedział:

- Uważam, że nie jest uczciwe stawianie dojrzałych ludzi w stresowych sytuacjach bez wyraźnej potrzeby.

Ziemia swoim zwyczajem milczała. Dodał więc jeszcze, że o ile ci biedacy tutaj istotnie mają wyruszyć poza Układ Słoneczny, to na pewno nie powinni być traktowani jak króliki doświadczalne, a

jeżeli nawet są ochotnikami i z własnej woli gotowi są na wszystko, to nie należy im utrudniać zadania.

Mimo że dzięki łączności ultraświatłowej cała rozmowa przypominała normalne video, jednak Ziemia lubiła, od czasu do czasu, urywać transmisję zwalając winę na zawodność anten i emiterów. Robiono to zwykle wtedy, gdy ludzie ze Sztabu potrzebowali czasu na konsultację lub pospieszną naradę.

Alberski był trochę zdumiony, że wysłuchano go spokojnie, a odpowiedź była jednoznaczna i natychmiastowa.

- O ile to możliwe, prosimy modyfikować testy w ramach tolerancji, tak jednak, by załoga nie odczuła fałszu sytuacyjnego. Przypominamy, że całe zadanie jest ściśle tajne.

- Tak jest! - powiedział, z ulgą witając sygnał końcowy transmisji.

Dopiero teraz poczuł się nieswojo: zdumiony, zaniepokojony, nawet zły. Po raz pierwszy odważył się kwestionować celowość testów, po raz pierwszy Ziemia dała mu wolną rękę w wyborze ćwiczeń.

Miał niejasne wrażenie, że jego rola testera nie jest bynajmniej tak prosta i jednoznaczna jak mu to powiedziano przed odlotem.

Dylemat?! Nie, prawdziwy pilot nie ma oporów, nie ma skrupułów. Test to test. Przez następne dwa dni na pokładzie Galaksa wybuchł pożar, cztery osoby, najmłodsze i najzdrowsze fizycznie, uległy tajemniczemu zatruciu, zaś drobne ale dokuczliwe awarie sprzętu zaczęły mnożyć się w niespotykanej ilości. Ukoronowaniem była anihilacja zewnętrznego generatora antymaterii. Kiedy wreszcie sądzono, że złe fatum minęło bezpowrotnie, Główny Komputer zdradziecko zablokował swoje obwody chłodzące i prawie ugotował się, recytując w trakcie akcji ratowniczej, z zacięciem i emfazą, luźne fragmenty instrukcji lotów wewnątrzukładowych.

Przez ten cały czas Alberski, odizolowany, zamknięty w swoim sektorze, śledził uważnie wszystkie poczynania załogi.

Niezawodny system videofonii wspomagany tajnym układem kamer infra - i ultrawizyjnych pozwalał mu sięgać wszędzie i być wszędzie bez konieczności osobistego kontaktu z ludźmi. Na swój sposób twardy i zahartowany, z podziwem obserwował jak wśród kłębowiska kabli i rur, przewodów i pracujących automatów, poruszają się trzy kobiety, fachowo i zdecydowanie odcinając gaśnicami drogę zachłannym płomieniom próbującym sięgnąć zbiorników z kulturami zielenic i brunatnic. W tym samym czasie trzech mężczyzn wśród szalejącego ognia systematycznie lokalizują jego źródło i mimo grożącego wybuchem przecieku, nakładają plaster na uszkodzone przewody olejowe. To była jedna z licznych awarii i jedna z prężnych i szybkich akcji ekipy pogotowia awaryjnego, uformowanego tuż po pamiętnym pierwszym alarmie.

Kiedy wywołał zatrucie u wybranych osób, niepewny przebiegu zdarzeń, czuwał pół nocy pospołu z ochotnikiem lekarzem, który mimo że sam zdrowy, zdecydował się zamknąć w izolatce razem z chorymi i przez sześć godzin, wspomagany z zewnątrz przez załogę i komputer, szukał właściwego antidotum mogącego zniwelować działanie nieznanego toksynu.

Lekarz ten, na Ziemi nieznany nikomu biocybernetyk, okazał fenomenalną wiedzę i intuicję nie tylko jako diagnosta, ale i jako farmakolog.

Kiedy o szóstej rano Alberski pewien już, że nie musi interweniować osobiście, z westchnieniem ulgi składał kolejny raport, Ziemia dość nieoczekiwanie przypomniła mu o teście końcowym, czyli o uszkodzeniu komputera.

Półprzytomny ze zmęczenia długo wahał się przed naciśnięciem klawisza wyzwalającego zakodowane w biokryształach polecenie samozagłady.

Robiąc to, sądził że tym razem załoga się podda.

Wytrzymali. Nawet specjalnie nie starali się szukać u niego pomocy. Ktoś powinien był to przewidzieć. Było dla nich czymś oczywistym, że jako pilot niewiele umie i może im pomóc, a jako

dowódca, in spe, może być tylko przeszkodą. Dopiero kiedy umilkł bełkotliwy głos komputera, a jeden z cybernetyków, klnąc partactwo ziemskich techników, rozbierał uszkodzone kasety, zameldowano mu o drobnej je pracy autopilota, wynikłej z braku dozoru... - i ani a o awarii komputera. Pewno bali się, że po tej epidemii „uszkodzeń” może stracić samokontrolę i wpadnie w panikę. Mimowolnie podsłuchiwał w tym duchu prowadzoną rozmowę raz któryś z rzędu poczuł się nieswojo. Oni bali się o niego!

Świetnie!

Niepewny swych obliczeń, trzykrotnie sprawdzał wyniki chcąc znaleźć ślad błędu w opracowaniu trajektorii, będącej wynikiem współpracy astronawigatora i koordynatora lotu. Mimo że musiano dokonać korekty lotu, Galaks szedł jak po sznurku. I wszystko to ręcznie, z użyciem małego kalkulatora, ołówka i kartki papieru. Pilotem był dubler, ten z odznaką Zasłużonego dla Ratownictwa. Manewry jakie robił, budziły w Alberskim zazdrość. To była ta nie istniejąca już sztuka pilotażu z czasów kiedy do zasady należało, by pilot umiał więcej niż komputer.

Nastał wreszcie dzień szósty i należało rozstać się z „Intergalakse”. Alberski siedząc przed monitorem po raz ostatni składał raport. Za pięć godzin miał wsiąść do jednego z pojazdów łącznikowych i ruszyć w stronę Zewnętrznej Stacji, będącej ostatnią siedzibą człowieka w pobliżu Plutona. Miał odejść, za sobą zostawiając statek i załogę. Wspaniałą załogę!

- Czy istotnie są tak dobrzy? - spytała Ziemia.

- Nieprawdopodobne, ale prawdziwe - odparł krótko.

- W takim razie - kontynuowała Ziemia - zostaną skierowani poza Układ Słoneczny. Cel obiorą sami... za pięć godzin. Tylko ich dobra wola i chęć przetrwania pozwala mieć nadzieję, że „Intergalaks” dotrze tam, gdzie będą chcieli, by dotarł.

- On nie dotrze nawet do najbliższej gwiazdy - zaproponował Alberski - to dobry statek ale w obrębie Układu. A wiemy, co za nim czeka na słabe pojazdy. Kosztowała nas ta wiedza kilkanaście lat niepewności, kilkaset statków zagubionych lub zniszczonych oraz tyleż tysięcy doborowych astronautów zamienionych w kaleki, neurotyków lub numery ewidencyjne w Księżce Poległych.

- Ale ty jesteś tym jednym z nielicznych, który dotarł do gwiazd i pierwszym, który zdobył Proximę - odparła Ziemia.

- To prawda, ale miałem specjalny statek. Mocniejsze silniki.

Zapadło milczenie, przerwane nagle głosem CA. z bazy na Jowiszu.

- Na twoim kursie za cztery i pół godziny znajdzie się gwiazdolot typu „Mezon”. To nowa generacja, tuż po lotach doświadczalnych. Jest wystarczająco duży by przyjąć na pokład czterdzieści pięć osób. Dajemy ten pojazd załodze Galaksa. Możesz im to powiedzieć już teraz - ekran ściemniał.

Został sam z własnymi myślami i tą zaskakującą wiadomością. Długo, bardzo długo siedział oparty ramionami o konsolę komputera, niewidzącym wzrokiem śledząc czas miniony. Proxima. Puste planety, pusty świat. Ale przecież są jeszcze inne gwiazdy bliżej lub dalej. Od kiedy udowodniono, że poza prędkością światła, czas biologiczny jest identyczny na Ziemi i w kosmosie, przestano obawiać się Gwiazd. Tacy piloci jak on, ci którzy wrócili cało i zdrowo nieraz budzili się nocą i patrząc w niebo usłane cekinami, budowali złudne zamki marzeń na Mlecznej Drodze, czekając na tę właśnie chwilę kiedy inżynierowie zrealizują ich marzenia o gwiazdolotach szybszych i mocniejszych niż tajemnicze promieniowanie Zetha, jakie emanuje z centrum Galaktyki, niszcząc słabych i bezbronnych.

A teraz, kiedy pierwszy z „Mezonów” jest gotów do lotu okazuje się, że jego załoga to ludzie z przypadku, sfrustrowani i wyalienowani na Ziemi. Szukający siebie w kosmosie. Kamikadze nocy. Ochotnicy nie rozumiejący czym może być świadomość wolności bez granic, doznań, bez punktów odniesienia i trwożliwej, czulej radości, że być może już na następnej planecie spotkać można Kogoś. O tak, właśnie nie Cos a Kogoś. Inteligencję, Rozum, Myśl.

Wstał ciężko i z ulgą odblokował drzwi swego dobrowolnego więzienia.

- Osobiste spotkanie w Kajucie Głównej - powiedział wtaczając żółty sygnał pogotowia awaryjnego.

Czekali na niego w milczeniu. Bardzo zmęczeni, ale zdyscyplinowani i karni. Jednakowo ubrani w szare kombinezony, z przepisowymi aparatami tlenowymi i hełmami na ramieniu.

- Bardzo dobrze - szepnął i wyłączył żółty sygnał pogotowia awaryjnego. - Za cztery godziny z minutami przesiadka - zawiesił głos i uśmiechnął się wesoło - Ziemia doszła do wniosku, że tym sypiącym się gruchotem można trafić jedynie na łamy prasy i video w rubryce „polegli dla Ludzkości”. Innymi słowy, moi drodzy, dano wam szansę w postaci „Mezona”. Zupełnie nowy statek. Do centrum Galaktyki tym nie doleciecie ale kawałek kosmosu można wpisać do pamiętnika. Liczę, że zobaczymy się jeszcze w przyszłości... - opuścił głowę i bez słowa pożegnania wyszedł z kabiny.

Po czterech godzinach z minutami przyszli po niego. Leżał na łóżku z kocem naciągniętym na głowę.

- Panie kapitanie, cumujemy! - głos należał do Piotra.

- Guzik mnie to obchodzi - powiedział, obracając się do ściany.

- Panie kapitanie, doszliśmy do wniosku, że bez pana pomocy niewiele zdołaliśmy. Ziemia proponuje by pan jeszcze kilka dni dowodził całością, wszyscy są za takim rozwiązaniem nowych problemów. Nowy statek, nowe wyposażenie, silniki...

- Powiedzmy! - Alberski usiadł gwałtownie i ze złością rozprostował ramiona tak jakby pragnął objąć swoich gości.

- Tak jak tu wszyscy stoicie - krzyknął - jesteście jedną wielką rodziną cwanych, jajogłowych ludzików, którzy biednego, prostego pilota próbują zrobić w coś, w co on nie da się zrobić. Czytałem to i owo w kartotece personalnej. Między wami nie ma nikogo, kto nie zrobił bodaj trzech specjalizacji. Sama superinteligentna i oblatana śmietanka. Nie mówicie o tym między sobą, bo to temat tabu. Wasza sprawa. Ale po jakie licha ja, zwykły pilot, facet od czarnej roboty, człowiek bez serca i sumienia, posłuszny Ziemi jak pies swojemu panu, mam wam matkować?! W życiu nie widziałem ludzi mniej nadających się do prowadzenia za rączkę niż wy, moja ty kochana załoga. Życzę powodzenia.

Wyszli bez słowa. Zostawili go samego w cichym i jakby uśpionym Galaksie. Wstał z leżanki, rozprężył ciało, zrobił kilka głębokich wdechów i wydechów.

- „Teraz się przeprowadzają - pomyślał i pewno, jak nic, za kilka dni ruszą z miejsca. Dokądś... mają przecież wolną drogę...”

Stojąc przy monitorze kontaktu Ziemia-Galaks machinalnie nacisnął starter.

- Kłopoty? - lakonicznie spytał dyżurny spiker.

- Żadnych kłopotów - z westchnieniem usiadł w fotelu.

- Pragnę dowiedzieć się na jakiej zasadzie funkcjonował dobór ochotników i dlaczego to ja, a nie ktoś inny reżyserował to przedstawienie w Galaksie?

„...zakłócenia emitera, prosimy czekać”... - obraz zafalował i ekran ściemniał.

- A niech was... - wyłączył monitor.

Wstał. Przez chwilę patrzył na zdjęcie rodzinnego domu, wiszące nad leżanką i będące czymś w rodzaju maskotki. Uśmiechnął się do swoich myśli. Zdejmując zdjęcie powiedział sam do siebie: - Ostatecznie... to tylko pomoc... chociaż wiadomo o co idzie ta gra, już wiadomo od dawna!

Idąc korytarzem natknął się na Piotra.

Brodacz wydawał się czekać na niego.

- Cieszymy się - powiedział bezosobowym tonem.

- Niby dlaczego się cieszyacie? - zajrzał nieufnie w twarz Brodaczowi.

- Kapitanie, mimo że pan nic nie mówił, my wiemy... ktoś kto zdobył Proximę powinien nadal...

- Bzdura, niczego nie powinienem!

Zbli pustym korytarzem i Alberski wskazując na emanującą ciszą i pustynną martwością, olbrzymią salę przed nimi, powiedział:

- Każda podróż jest jak ta sala, bo wiemy że gdzieś tam kryją się Żywi. Więc szukamy... Każdy szuka sam...

Piotr z niedowierzaniem popatrzył na pilota, mówiąc:

- Jesteśmy zespołem.

- Niczego nie rozumiesz. - Alberski złapał mechanika za ramię. - ktoś, kto raz ruszy na szlak gwiazdny nie potrafi już żyć na Ziemi. To jest jak narkotyk. Nazywamy to „wirusem nieskończoności” lub....wolności”. Dochodzi jeszcze gorączka poznania, która świetnie neutralizuje nostalgię, nie mówię o cudach natury, o których nawet trudno opowiadać - brak stów. Wszystko razem powoduje, że człowiek prze na ślepo do przodu i doprawdy trzeba być z kamienia, by wrócić... A Ziemia nie lubi „kiedy-kiedy”... piotr uśmiechnął się smutno. - To uległo zmianie. Nikt już nie pyta - kiedy poleciał, kiedy wróci? Mamy nowe - stare hasło - Ekspansja. Zaludniamy co się tylko da, a wiemy, że planet w Układzie Sol raczej mało...

- Tak jak doświadczonych pilotów, mających wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, by nie ryzykować życia i zdrowia dla pomyłonych idei, nowych proroków i ideologów ze sztabu lub Instytutu.

Tym razem Piotr nic nie odpowiedział.

Doszli do śluzy i wąską kładką, zda się zawieszoną w nicości, przeszli na pokład „Mezona”. Jedna z kobiet stojąca u wejścia podała Alberskiemu minimonitor.

- Ziemia nie może doczekać się pana, Komandorze! - z powagą uniosła dłoń do skroni.

Już go nie zadziwiło ani to, że oni wiedzą kim jest istotnie, ani to, że ten stary lis, Admirał Kalina powiedział przed odlotem: - Wręczam ci nominację na Komandora, nie dlatego, że masz kilka specjalizacji, ani nie jest to awans w uznaniu szczególnych zasług... dostajesz go na wyrost, rozumiesz?!

Nie powiedział mu wtedy: „Kalina, nie kupisz mnie. Jeżeli kiedykolwiek powtórnie ruszę do gwiazd, to zrobię to na własną odpowiedzialność i z własnej nieprzymuszonej woli”. Tego mu nie powiedział, mimo że byli kolegami jeszcze z czasów szkolnych.

Ale teraz mógł to powiedzieć.

- Czy nadal podtrzymujesz pytanie? - głos spikera był dziwnie łagodny. Zupełnie tak jak by on: Komandor Pilot-astronawigator klasy Outer, Artur Alberski był małym Arturkiem, któremu trzeba delikatnie wytłumaczyć po raz pierwszy jak rodzą się dzieci i że bocian to bujda.

- Może tak, a może nie - uśmiechnął się (teraz dopiero mają zgryz, jak przyjąć takie nieformalne określenie).

- Pragnę złożyć rezygnację - powiedział - oświadczam oficjalnie, że będąc w wieku emerytalnym, proszę o skreślenie z ewidencji pilotów i przeniesienie w stan spoczynku z zachowaniem prawa do wykonywania pracy w obranym kierunku specjalizacji zawodowej.

Skończył już czterdzieści lat i miał prawo do natychmiastowej emerytury. Wypowiedzenie złożone ustnie było równie ważne jak pisemny raport.

- Ależ... - spiker przyzwyczajony do różnych dziwactw bractwa pilotów, tym razem stracił rezon. - Zwariowałeś? - wykrztusił, niespokojnie naciskając swoje kontakty łączące go ze sztabem i Instytutem.

- Wszystko jest względne... ale nie alarmuj „Góry” bo już jest po fakcie. Oni chcieli mieć kogoś doświadczonego na Tym Statku, pytanie tylko czy ja bym się zgodził. Więc przy jednym ogniu sprytnie upiekli dwie pieczenie. Tester został poddany testom, rozumiesz? A ćwiczeni wyćwiczyli ćwiczącego. Niezłe, co?

- Współczuję i gratuluję, Komandorze! - na ekranie pojawiła się twarz Kaliny. - Jeśli chcesz zostać na „Mezonie”, to nie mam nic przeciwko temu.

Alberski zaproponował:

- To nie zależy od mojego... - przerwał, widząc na twarzy Piotra Hawela uśmiech ulgi.

- Do licha, mów jasno i wyraźnie... - Kalina wyraźnie był zły

- Słowa. Co to są słowa. Liczą się tylko czyny. - Alberski oddał minimonitor spoważniałej kobiecie i

wymachując zdjęciem rodzinnego domu, ruszył w głąb „Mezona”.

W jasnej salce recepcyjnej siedzieli ludzie. Zmęczeni, postarzaali, ale o oczach pełnych blasku i siły.

Zatrzymał się w drzwiach, przepuszczając kobietę i Piotra. Kiedy miał już ich wszystkich przed sobą, chciał krzyknąć: - Załoga bacność! Ruszamy do Gwiazd! - ale nie zrobił tego.

Zupełnie zwyczajnie, cichym głosem, powiedział:

- Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, to... - westchnął - och, po prostu, będę wdzięczny jeżeli przyjmiecie mnie do swojego zespołu.

Milcząc uśmiechali się do niego i właściwie nie potrzeba było słów. Należał do nich.

Nie czytaj przed snem

Było to już po Dzwonach Wieczornych.

Oprócz obserwatorów na wieżach kontrolnych wszyscy spali, gdy pojazd Super-Cosmogonium 7 osiadł w tunelu i po chwili jego silniki całkowicie umilkły. Automaty pomagały przy rozładowywaniu i rozwoziły członków Oddziału Specjalnego do mieszkań.

Szef Oddziału Specjalnego został poinformowany, że Dostojny Zarząd oczekuje go pięć minut po Dzwonach Porannych.

Natomiast SAE 7271 i WAF 3825 pod konwojem robotów policyjnych przetransportowano do budynku kwarantanny. Nie jest to żadna specjalna szykana - każdy kto wyszedł na Ziemi z pojazdu kosmicznego, choćby na pół minuty, musi po powrocie spędzić trzy dni w tym budynku.

Zobaczyli jeszcze, że z wnętrza Super-Cosmogonium inne roboty wyładowują ich wierny automat, Kadawer Bio - Gamma. Od rana wszystkie zapisy w jego pamięci będą z całą pewnością systematycznie rozszyfrowywane...

Przez trzy dni nie zobaczymy się - przerywa nocną ciszę WAF 3825.

- A może dłużej - uśmiecha się smętnie SAE 7271.

Budynek kwarantanny, jest niewielki, rzadko używany.

Zanim tam weszli, każdy innym wejściem, pomachali sobie dłonią - tak jak dzieci na Ziemi robią „pa-pa!” Nadrabiają miną, ale każdy z nich zastanawia się niespokojnie nad tym, jakie będzie to nieuniknione spotkanie z Zarządem, no i co będzie później.

To, że znaleźli się znów na swojej planecie, nie robi na nich żadnego wrażenia. Znajome miejsca, znajome budynki, znajome supermaszyny i najdoskonalsze w kosmosie urządzenia... ale jakoś obco, pusto, cicho, smutno.

Ukryte światła jak zawsze rozjaśniają wszystkie płaszczyzny, mosty, tunele i wieże ogromnego Portu Kosmicznego Nr 1. Rozjaśniają cały czas, na okrągło, bez względu na to czy coś się tu dzieje, czy jest pusto i cicho jak teraz.

Za trzy dni, po zakończeniu kwarantanny, na pewno będą natychmiast wezwani przez Dostojnych.

W Babulewie Dolnym o tej porze jest siódma rano.

Budzik zabrzączał na stoliku przy łóżku pani Teresy.

- Ciekawe, co się teraz dzieje z WAF i SAE? - jest jej pierwszą myślą po obudzeniu, jeszcze zanim otworzyła oczy.

Trzy dni rozmyślali w samotności.

Pierwszy przed Zarządem, zebrany chyba w komplecie, stanął WAF 3825 i natychmiast zaczął. Śmiało, tak jak mało kto odważał się wobec Dostojnych:

- Te tysiącletnie medytacje, obserwacje z dystansu, traktowanie myślących istot jak eksponaty w rezerwach, wszystko to straciło już moim zdaniem wszelki sens. Od dawna powinniśmy uważać ludzi za równorzędnych partnerów, powinniśmy starać się nawiązać z nimi normalny kontakt, bez wywyższania się i bez imponowania sztuczkami technicznymi. To fakt, że nasza cywilizacja jest bez porównania doskonalsza, że rozwiązaliśmy setki problemów, które im wydają się w ogóle nie do rozwiązania... ale przekonałem się, że są też dziedziny, w których oni są lepsi, że czasem i my moglibyśmy się od nich

uczyc! Dlaczego więc tylko latamy wokół ich planety? Dlaczego wciąż tylko przyglądamy się, tylko przyglądamy się od tysięcy lat?

Dostojni nic nie mówią, ale WAF 3825 wie, że jest tu w charakterze oskarżonego. Ciągnie odważnie dalej, bez przerwy, na jednym oddechu:

- No więc przyznaję, że wbrew instrukcjom zacząłem z nimi rozmawiać, przyznaję, że mówiłem o sprawach uznanych za sekrety naszej planety... i co? Nic się nie stało, nic się na Ziemi nie zmieniło, żadnych z tego powodu kłopotów nie ma i nie będzie. Nie wierzycie, Dostojni, że nie będzie kłopotów” Macie wątpliwości? Ja nie mam absolutnie żadnych obaw, bo lepiej ich poznałem i lepiej rozumiem, niż najwybitniejsi nasi. naukowcy z Instytutu Ziemi wraz z wszystkimi superautomatami. Wiem, że zostaliście już poinformowani o occie i o Marioli, może podejrzewacie Ludzi o spreparowanie mojego mózgu...

- Młodzieńcze - przerwał mu wreszcie Dostojny Szef Zarządu - jesteś niezwykle podniecony, a mówieniem podniecasz się jeszcze bardziej. Musisz się zrelaksować, wkrótce wezwiemy cię znowu.

. WAF 3825 chciał mówić dalej, ale Dostojny Szef spojrzął na roboty w kątach sali i pilot kosmiczny znikł ze swego miejsca. W ciągu dwudziestu sekund znalazł się w pozycji leżącej w kuli wypełnionej łagodnym światłem i łagodną muzyką. Kula kołysze się w jasnozielonej przestrzeni.

- Instrukcje moim zdaniem są przestarzałe... - szepce coraz ciszej, wreszcie milknie.

W sali Zarządu chwila zupełnej ciszy. Dostojni siedzą nieruchomo każdy patrzy przed siebie i intensywnie myśli Dostojny Szef Zarządu Planety po chwili podsumowuje rozmyślenia wszystkich:

- Emocjonalnie. Duży wpływ Ludzi. Brak kontroli.

Dostojni kiwają głowami. Dostojny Szef prostuje się:

- Zobaczymy. Niech mówi ten drugi.

SAE 7271 zajął miejsce pośrodku półkola. Początek jego wypowiedzi jest, w przeciwieństwie do mowy kolegi, pełen wahania i niepewności:

- Dostojni, zdaję sobie sprawę z tego, że i ja jestem odpowiedzialny za przebieg wydarzeń... przynajmniej częściowo, w połowie powiedzmy... Nie będę nic zwał na przyjaciela... Zapewne wykazałem za mało, jak by tu...

- Konkrety. Fakty.

- Tak jest! Pojazd z dwuosobową załogą Cosmogonium 494 zgodnie z ustalonym programem odłączył się od czwartego klucza i wtedy nastąpiła niewyjaśniona awaria. Kadawer Bio-Gamma nie potrafił wykryć przyczyny, pojazd spadł ku Ziemi, więc włączyliśmy program lądowania. Zgodnie z instrukcją. Lądowanie przebiegło łagodnie i żadnych dodatkowych uszkodzeń nie było. Próbowaliśmy natychmiast zawiadomić pojazd - bazę o wypadku, potem sprawdziliśmy aparaturę, głównie mechanizmy i wreszcie postanowiliśmy opuścić na chwilę pojazd.

Spojrzał szybko na Dostojnych.

- Tego instrukcje nie zabraniają, wielu pilotów tak robiło. Ja i WAF 3825 nigdy jeszcze nie byliśmy na Ziemi... byliśmy ciekawi... a instrukcje nie zabraniają.

- Wiemy o tym. Mów dalej!

- Kadawer Bio-Gamma funkcjonował bez zakłóceń i przejął opiekę nad pojazdem. Poinformował nas gdzie wylądowaliśmy, kontynent Europa, kraj Polska, najbliższa miejscowość Babulewo Dolne. Wzięliśmy przystawki do języka polskiego, ale oczywiście pamiętałem, że mówić nam nie wolno. Zdaję sobie sprawę, że za wszystko co nastąpiło później, i ja także... w równym stopniu...

- Konkrety. Fakty.

- Tak jest. Opuściliśmy pojazd.

Umilkł. Przypomina sobie ten moment, tak bliski w czasie, a tak daleki w przestrzeni.

- Znaleźliśmy się na zielonej łące, podobnej do naszych rezerwatów. Zielona trawa, zielone krzaki i

drzewa. Na drzewach szare ptaki. Był tam jeden Człowiek i 44 czworonożne zwierzęta, w tym 43 białe owce i jeden biały pies. Owce przestraszyły się lądowania naszego pojazdu, biegały i emitowały odgłosy strachu. Pies natomiast zbliżył się do nas i wydawał przez długi czas głos, którym chciał nas przestraszyć. To się nazywa szczekanie. I on się bał, ale bronił owiec i Człowieka. Człowiek w zielonym ubraniu tylko patrzył.

Feliks jest właśnie w tej chwili w tym samym miejscu co wtedy.

Fotoreporterzy robią mu zdjęcia, a on opowiada innymi słowami to samo co SAE 7271.

WAF 3825 kołysze się w kuli relaksyjnej. Nie może się jednak oderwać całkowicie od natrętnych wspomnień z pobytu na Ziemi. Beładne, przemieszane obrazy „Zajazdu pod Fartuszką”, Marioli, zabawy w remizie, targu, rajdu motocyklowego, filmu telewizyjnego „Inwazja potworów”, wesela u Balasków - i te pierwsze wrażenia:

Dziwne uczucie, gdy w gęstej atmosferze małej planety zrobił kilka pierwszych kroków. Nogi w wysokiej, zielonej trawie. Wokoło rośliny w różnych odcieniach zieleni.

Dużo nieznanych dźwięków... owce beczą, pies szczeka napastliwie, wrony kraczą, z oddali dobiega ryk krowy, turkot traktom (ale wtedy nie wiedział jeszcze co to za odgłosy, nie rozróżniał ich), bardzo dalekie wołania Ludzi.

Pastuszek patrzył na nich szeroko otwartymi oczami. Powiedział do siebie:

- O rany! To jednak prawda! Oni są!

Nie był specjalnie przestraszony.

Zrozumieli go.

Miał lat 28, nazywał się Feliks i kochał się w Marioli. Słuchał Studia Młodych, ale podczas przymusowego lądowania Cosmogonium 494 w radio tranzystorowym „Jowita” nastąpiły zakłócenia w odbiorze i Feliks musiał je wyłączyć.

W ciągu następnych tygodni WAF 3825 i SAE 7271 nasłuchali się Drupiego, Maryli Rodowicz i Boney M. Nasłuchali się, osłuchali, polubili. Zaczęli już odróżniać bezbłędnie Queen od Pink Floyd.

Teraz trudno się znów przyzwyczaić do rodzimej zawodzącej muzyki relaksującej. Muzyki, która wypełnia łagodnymi, monotonnymi dźwiękami kulę, kołyszącą się w zielonej przestrzeni. (Kiedyś usłyszeli u agronoma muzykę hinduską - była podobna do tej. Agronom przekręcił gałkę radia, bo nie podobała mu się).

- Zielone ludziki, o rany, zielone ludziki... Tak jak pisali, tak jak było w „Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia”! - mówił wtedy, patrząc wciąż na nich, pastuszek.

Feliks. Pierwszy Człowiek, widziany z bliska. Nie model, nie atrapa, żywy Człowiek.

Kopia Feliksa od wczoraj znajduje się w Instytucie Ziemi, podobnie jak kopie Marioli, agronoma, i wielu innych mieszkańców Babulewa - ale o tym WAF 3825 nie wie. Nie wie o tym także jego kolega, SAE 7271

SAE 7271 stoi przed wpatrzonymi w niego, milczącymi i nieruchomymi w swoich fotelach Dostojnymi.

- Ten Człowiek, który nazywa się Feliks, był bardzo sympatyczny i zycliwy. Powiedział, że na pewno nie chcemy mu zrobić nic złego, i żałował, że nie możemy z nim porozmawiać. Nie wiedział, że go rozumiemy. Żałował także, że nie ma aparatu fotograficznego, za pomocą którego mógłby utrwalić naszą obecność. Spodziewał się, że zaraz odlecimy jak inni, którzy lądowali w różnych miejscach Ziemi. A my nie mogliśmy odlecieć; nie mówiliśmy jednak o tym, tylko uśmiechaliśmy się zgodnie z instrukcjami.

Astronauta urwał i zamyślił się jak Człowiek. Dostojni Członkowie Zarządu poruszyli się ledwo dostrzegalnie w głębokich fotelach.

- Feliks miał potem kłopoty z naszego powodu - mówi dalej SAE. - Nikt nie wierzył, że my jesteśmy. Czy mogę otrzymać mój Aparatif? Mam między innymi zapis fragmentu rozmowy Feliksa z komendantem, milicji w Babulewie Dolnym.

Dostojni zgadzają się, robot zwraca SAE 7271 coś w rodzaju miniaturowego magnetofonu.

Oto dialog sierżanta Kłosa z pastuszkiem:

- Chuchnij!

- Słowo daję, stoi tam jeszcze na łące!

- Chuchnij!

- Wino piłem w zeszłą sobotę.

- Chuchnij!

Chuchnięcie i znów głos sierżanta:

- Trzeźwy jesteś. To znaczy, że tylko w głowie coś ci się... tego...

- Chodźmy na łąkę! Chodźmy! A ci dwaj zieloni chyba są gdzieś tutaj...

- Krasnoludek Koszałek - Opałek z siwą brodą pali fajkę pod muchomorem.

- Ja ich widziałem, naprawdę!

- Oj, chłopcze, chłopcze, usatkwowałbyś się, ożenił, swoje lata już przecież masz. Rozejść się!

Teraz słycać beczenie owiec i szczekanie psa. SAE 7271 mówi znacząco, z naciskiem:

- Zaraz będzie głos Marioli.

Dostojni nie pokazali po sobie, czy ich to interesuje. Milczą, siedzą niemal bez ruchu w półkolistym ustawionych fotelach. W przestronnej, równomiernie oświetlonej sali jest spokojnie, superautomaty w kątach drzemią.

- Nie strasz mnie - ten niski, omdlewający głos jest głosem Marioli. - Nie chcę takich rzeczy słyszeć przed snem. Zaraz włożę pod kołdrę, zamknę dokładnie okno, a i tak na pewno nie zasnę..._

- Nie bój się! - to znany już głos Feliksa. - Oni są bardzo łagodni, nic złego ci nie zrobią...

- Ale ja nie zasnę! Kiedyś czytałam wieczorem książkę o duchach i potem do rana nie spałam

Jakiś ptak bardzo głośno śpiewa, szelesty, skrzypią drzwi czy może okno; i jeszcze tylko Mariola mówi cicho, ale zdecydowanie ostro:

- Wynoś się!

SAE 7271 uśmiecha się do swoich myśli i odzywa się:

- Mogę też pokazać obraz Marioli.

Przed Dostojnymi trójwymiarowa projekcja urodziwej dziewczyny z Babulewa. Prawie Miss Uniwersum Przedmiot westchnień starych i młodych. Czy potrafią to ocenić ONI?

(SAE nie wie, że Dostojny Zarząd oglądał już jej kopię, która teraz znajduje się w Instytucie Ziemi).

Mariola. Jasne włosy związane kolorową przepaską, niebieskie duże oczy, trochę zadarty nosek. Duży dekolt odsłania rowek pomiędzy piersiami (obwód w biuście 36 cali), fartuszek kelnerki na krótkiej spódniczce. Wcięcie w pasie (mimo że Mariola pracuje w gastronomii) i długie, zgrabne nogi.

SAE 7271 objaśnia z widocznym ożywieniem:

- To jest młoda kobieta, uważana na Ziemi za wyjątkowo piękną. Z dalekich okolic przybywają mężczyźni do „Zajazdu pod Fartuszką”, żeby na nią choć popatrzeć. Od wieków kult pięknych i harmonijnie zbudowanych, młodych kobiet jest na Ziemi podstawowym...

Młodzieńcze przerywa mu Dostojny Docent UFO 13 - powstrzymaj się od uogólnień! Poznałeś tylko powierzchownie obyczaje w jednej miejscowości jednego z wielu krajów planety. O Ludziach nie wiemy wprawdzie wszystkiego, ale bardzo, bardzo dużo. Nie chcemy twoich wątpliwych przemyśleń. Konkrety, fakty.

Pilot kosmiczny dość długo milczy. Myśli: „Właśnie nasze wrażenia i przemyślenia powinny być dla

was ważne. Zapisy dźwiękowe, zarejestrowane obrazy, wszystko to przesłuchaliście i obejrzeście w ciągu tych trzech dni naszej kwarantanny. Mariolę pewnie też pokazał wam Kadawer Bio-Gamma. Ale nasze wrażenia, odczucia...”

Tak myśli, mówi tylko:

- Rozumiem. Konkrety, fakty.

- Tak jest.

Rozległ się melodyjny dźwięk Dzwonów Południowych. Przerwa, posiłek, gimnastyka.

- Szeffie, co najbardziej lubiły jeść Zielone Ludziki? - pyta tubalnym głosem gość z Województwa.

- Różne rzeczy lubili, ale najbardziej... najbardziej...-agent nieznacznie spogląda przez okienko do kuchni. - Najbardziej wątróbki po wiejsku z buraczkami!,

- To poproszę.

- A na zakąskę galaretkę z nóżek.

- Poproszę.

- Pili niestety...

- Wiem, wiem! Ja będę pił „Żytnią”.

„Zajazd pod Fartuszką” nigdy nie mógł narzekać na brak gości, ale od kilku dni jest tu szczególnie tłoczno i gwarno. Mariola uwija się, ściągając jak zwykle pożądliwe spojrzenia mężczyzn. Uwija się także Dorota, niestety - choć ma spódniczkę jeszcze krótszą - mało kto zwraca uwagę na jej wdzięki.

Przy stoliku pod oknem kolejne rozgorączkowane towarzystwo z Warszawy stawia piwo za piwem staremu Maciejowi, który od niechcenia serwuje im seryjne historyjki o niezwykłych przybyszach z latającego talerza:

- Przychodzili tu codziennie, przesiadywali godzinami. Na początku bali się jeść i pić, bo oni normalnie żyją tylko na pigułkach, ale potem próbowali każdej potrawy i każdego trunku. Wódka, piwo, wino. to wszystko na nich absolutnie nie działało. Dopiero, na weselu mojego syna któryś z nich napił się przypadkiem octu...

- Octu... - szepce zachwycona dama w wielkim, czarnym kapeluszu.

- No cóż, taki mają organizm, koty na przykład upijają się walerianą!

Zaglądnął agronom z jakimiś gośćmi z miasta - ale nie ma już wolnego stolika, nawet żadnego wolnego krzesła.

Któryś z miejscowych chłopaków podszedł do grającej szafy, wrzucił monetę i rozlega się głos Krzysztofa Krawczyka.

- Jak minął dzień... WAF bardzo lubił tę piosenkę-powiada Maciej. - Kiedy zaczął zarabiać, ciągle ją tu puszczał. Fajne były chłopaki, szkoda, że musieli wracać. Ja byłem drugi po Feliksie, który ich spotkał! Pokazywałem im Babulewo, przyprowadziłem tutaj.

Prawdę mówiąc, to nie Maciej ich przyprowadził do Zajazdu. Od stolika przy bufecie słychać głos mechanika z Kółka Rolniczego:

- Wczoraj przelatował odrzutowiec. Pomyślałem, że to ONI wracają innym talerzem...

Dorota podaje właśnie na stół koło okna sześć kolejnych butelek „Specjalnego”. Zabiera sześć pustych i wzdycha:

- Oj, szkoda ich, szkoda!

- A na początku to się ich bałaś - kiwa głową Maciej.

- Nie, wcale się nie bałam.

- Bałaś się, bałaś! Zresztą nic dziwnego, na początku... Ale potem...

- Polubiłam.

- Potem to ich wszyscy polubili. Namawiali, żeby zostali u nas. Może by i zostali, ale przylecieli

tamci w wielkim talerzu i kazali wracać. Co to był za dzień!

Stary Maciej nalewa sobie znów pełniutki kufel, a towarzystwo ze stolicy wpatruje się w niego jak w tęczę. Wierzą, teraz wierzą - a jeszcze niedawno nikt spoza Babulewa nie wierzył w przybyszów z Zielonej Planety i w pojazd kosmiczny na łące, za Wołową Górką. Śmiali się, w czoło pukali, kpili.

Dziś od rana było w Babulewie Dolnym już kilku dziennikarzy i fotografów, jutro ma przyjechać telewizja...

Dorota odeszła do bufetu, a Maciej nachyla się nad stołem i mówi cicho:

- Dorotka to nawet próbowała poderwać któregoś Zielonego, ale oni jak wszyscy: Mariola i Mariola Siadali w rejonie Marioli, flirtowali, a WAF to się nawet w niej normalnie zakochał! Ale sza!

Przechodzi właśnie w pobliżu, kręcąc słynną na całe województwo pupką, piękna Mariola. Gruby pan w dzinsowym ubraniu i inni panowie z Warszawy patrzą bardzo przychylnie, panie krytycznie. Maciej szepce konspiracyjnie:

- Popatrzcie państwo na koraliki... Niby nic specjalnego, koraliki jak koraliki. Ale Marioli kupił je WAF na targu!

Od sąsiedniego stolika nachyla się Pyda i mówi:

- Fajne byli chłopaki. SAE w szachy grał nie najgorzej, i lekcję kiedyś miał w szkole. A pamiętasz, jak uspokoili tych łobuzów z Babulewa Górnego? Bzzz, bzzz, paf, paf, paf!

- Bzz, paf-paf ~ mruczy zachwycona dama w kapeluszu. - Że też nie przyjechałam tutaj, kiedy oni byli!

- To było na zabawie w remizie - objaśnia Maciej.

- Mówił pan, że jeden z nich kochał się w... niej... A drugi?

- Drugi, jak powiadali, w nauczycielce. Ale sza!

Pyda znów się nachyla:

- A pamiętasz, Macieju, jakie były pierwsze słowa po polsku przez nich powiedziane? Tu, przy tym oto stoliku?

Siedzący z Pydą radny Koziołek rąbnął pięścią tak, że zabrzęczały głośno szklanki i kieliszki. Wstaje, chwiejąc się trochę i woła:

- A mówiłeś, Macieju kochany, jak ja tu z nimi siedziałem w sobotę, jak z nimi siedziałem przy tym oto stoliku? Mówiłeś? Jak przez otwarte okno wleciał mały talerzyk i krążył dokoła nich, i brzęczał, i błyskał różnokolorowymi światłami? A im zieleń odpłynęła z twarzy, które zrobiły się żółte, i nic się nie odzywali, tylko słuchali tego cholernego brzęczenia!

Mówi głośno, przekrzykując Krawczyka, który jeszcze nie skończył „Jak minął dzień dzisiejszy?”

- Wtedy wbiegli chłopcy i wołali, że na łące wylądował ogromny, świecący jasno talerz, z którego wylatują maleńkie talerzyki. SAE powiedział, że już o tym wiedzą, i wstał. WAF dopił octu i także wstał. Talerzyk brzęczał i krążył, popychając ich jakby do wyjścia...

- Duży talerz to był Super-Cosmogonium 7 - dopowiada gościom z Warszawy Maciej.

- Oj. szkoda ich, szkoda - wzdycha znów Dorota i łzy pojawiły się w jej oczkach.

Łzy pojawiają się także w oczach pani w kapeluszu.

Natychmiast po gimnastyce SAE 7271 stoi znów przed Dostojnym Zarządem.

- Co jeszcze mam powiedzieć?

- Powiedz przede wszystkim jak to się stało, że zaczęliście mówić do Ludzi ich językiem!

Zebrał się w sobie i zaczął:

- Jak to się stało... Najpierw zgodnie z instrukcjami słuchaliśmy tylko tego, co mówił Feliks. Potem on pobiegł do Babulewa Dolnego, a my wróciliśmy do pojazdu i znów próbowaliśmy znaleźć przyczynę awarii. Kadaver Bio-Gamma poinformował, że pojazd - baza nie potwierdził odebrania meldunku o

naszym wypadku. Uszkodzenia nie mogliśmy wciąż znaleźć. Nie będę się wdawał w techniczne szczegóły...

- Nie wdawaj się. Masz powiedzieć...

- Tak. Wyszliśmy więc znowu na łąkę. Na skraju łąki stał teraz stary mężczyzna z wąsami i przyglądał się pojazdowi. Był to Maciej. „Zielone” - powiedział, kiedy nas zobaczył. My nic, zgodnie z instrukcjami. On chciał, żebyśmy poszli za nim. „Do Babulewa Górnego nie idźcie” - mówił - „tam źli ludzie, nieżyczliwi, chodźcie do Babulewa Dolnego!” My nic.

Dostojny Konsultant TIR 37 poprawił się w fotelu. Pilot SAE 7271 mówił dalej:

- Na razie nie poszliśmy z nim do Babulewa Dolnego, tylko na Wołową Górkę, z której widać całą miejscowość. Maciej pokazywał nam Urząd Gminny, straż ogniową, kościół, kółko rolnicze, pocztę. „Zajazd pod Fartuszkim”, sklep Samopomocy Chłopskiej, sady i pasieki. Powiedział, że Babulewo Dolne otrzymało prawa miejskie w roku 888 od księcia Myszysława, ale niestety straciło te prawa po rokoszu Babulewskim w roku 1111. Babulewo Dolne było palone 33 razy przez różne wojska. My ciągle nic nie mówiliśmy, zgodnie z instrukcjami. A potem Maciej poszedł na pole, a my wróciliśmy do pojazdu i jeszcze raz próbowaliśmy znaleźć uszkodzenie. Gdyby się nam udało, uruchomilibyśmy Cosmogonium 494 i odlecielibyśmy z tej łąki. Zmęczył się, przerwał na chwilę, łyka jeszcze jedną zieloną pigułkę. Dostojni patrzą. Nie wiadomo, czy podziwiają jego elokwencję, czy raczej wątpią w jego poczytalność. Dostojny Szef Zarządu mówi dość łagodnie:

- Powiedz tylko na razie, jak i dlaczego zaczęliście mówić do Ludzi. Na dzisiaj skończymy na tym.

SAE 7271 spojrział przytomnie na Szefa Planety:

- Czy będę się mógł zobaczyć z WAF 3825?

- Nie mamy nic przeciwko temu.

- Dziękuję. To było w „Zajeździe pod Fartuszkim”. Wszyscy do nas mówili, uśmiechali się, byli życzliwi i mili. Żartowali, żerny nie potrafimy z nimi rozmawiać. Często wiali nas różnym jedzeniem i piciem, ale my nie chcieliśmy. Mariola stała przy naszym stoliku, przyglądała się nam i też się do nas uśmiechała. Zaczęli nas pytać, czy podoba się nam Mariola, bo oni uważają że jest najpiękniejszą dziewczyną w całej okolicy. Mariola zaśmiała się głośno, machnęła ręką i odeszła od stolika. Oni wciąż pytali, czy Mariola się nam podoba. Wtedy właśnie...

Zawiesił głos, spogląda na Dostojnych, którzy uważnie go słuchają.

- I właśnie wtedy WAF 3825 przełączył przystawkę i odezwał się w ich języku.

- Co powiedział?

- Powiedział: „Mariola jest piękna i podoba nam się bardzo!”

Obudził się.

- Pozwolili ci się ze mną zobaczyć?

SAE 7271 kiwnął głową tak jak to robią Ludzie i pyta:

- Jak się czujesz?

- Tak sobie. Zjadłbym bigos. A ty?

- Daj spokój! Pewnie już nigdy nie będziemy na Ziemi.

- Nigdy? Może to nie będzie dożywotnio?

Wzruszył tylko zielonymi ramionami. (Wzruszania ramionami też nauczyli się w Babulewie). WAF 3825 podnosi się i pyta niespokojnie:

- Naprawdę myślisz, że już nigdy nie pozwolą nam lecieć?

- Tak myślę.

- Nie przekonamy ich, że nie zrobiliśmy nic złego, nic szkodliwego dla naszej planety?

- Postępowaliśmy niezgodnie z instrukcjami. „- Formalizm!

- Nie ma rady - mówi SAE 7271.

- Złości mnie już ta muzyka!

Muzyka cichnie, ale kula relaksyjna wciąż kołysze się łagodnie w zielonej przestrzeni. Zamyślili się obaj.

- Pamiętasz pyzy? - odzywa się nagle WAF3825. - A pierogi ruskie?

- Może teraz zmienią trochę instrukcje, ale nas i tak ukarzą.

- Kary są różne.

- Pilot Cosmogonium 319 nigdy już nigdzie nie poleci.

- To ten, który wmieszał się do jakiejś wojny na Ziemi? Chętnie bym z nim porozmawiał...

- On zmieniał kierunek lotu kul armatnich i straszył konie, ale z Ludźmi nie rozmawiał. Ty byłeś pierwszy.

- A ty drugi. Mówiłeś już o tym Dostojnym?

- Zacząłem mówić. Powtórzyłem pierwsze słowa, jakie powiedziałeś do Ludzi.

- Jakie były moje pierwsze słowa?

WAF 3825 uśmiechnął się do wspomnień:

- Pamiętam... Coś o Marioli.

- A dokładnie?

- Że jest piękna.

-..Mariola jest piękna i podoba nam się bardzo!"

- To prawda, tak powiedziałem. Dostojni wiedzą o tym?

- Dostojni oglądali też obraz Marioli.

- I co powiedzieli?

- Nic. Może teraz znowu oglądają, bo zabrali mi z powrotem Aparatif?

W rzeczywistości Dostojni odpoczywają teraz w kulach relaksacyjnych podobnych do tej w której znajdują się dwaj piloci.

Aparatif pozostał w sali Zarządu.

Trójwymiarowy, kolorowy, ruchomy wizerunek Marioli, kelnerki z „Zajazdu pod Fartuszką” w Babulewie Dolnym, odtwarzają sobie roboty, superautomaty.

To, że Mariola podoba się nie tylko miejscowym i turystom z kraju oraz z zagranicy, ale także Zielonym z Zielonej Planety, jeszcze bardziej poprawiło jej pozycję zawodową.

Zażądała podwyżki od ajenta i dostała ją bez słowa sprzeciwu. Gdy ktoś zamawia teraz Zajazd na ślub lub zjazd absolwentów, zastrzega z góry, że musi być Mariola. „Oczywiście, będzie!”- zapewnia ajent.

- Zupełnie jej się w głowie przewróciło-mówi Feliks, który stracił u Marioli wszelkie szansę.

- Nie mam czasu! - odpowiada nonszalancko dziewczyna, gdy proponuje jej spotkanie Feliks, Władzio, Marek, Rysio, Jędrus, Rafał, Krzysztof, Stefan czy Józio.

Rzeczywiście, czasu ma mało. Udziela wywiadów dziennikarzom, daje się fotografować fotoreporterom (w tym tygodniu jest na okładce „Młodej wsi”), filmują Mariolę operatorzy kroniki i telewizji. Fotografują i filmują nie tylko w Zajeździe, także na łące za Wołową Górką - tam, gdzie stał przez kilka tygodni pojazd Cosmogonium 494.

Ale to już zaczęło się przejechać i jej i innym mieszkańcom Babulewa. Fotografia Feliksa była w wielu gazetach, opowieści Macieja w „Przekroju”, wywiad z naczelnikiem gminy w „Polityce”, sierżant Kloss relacjonuje w odcinkach pobyt SAE i WAF na Ziemi dla „Literatury”. Podobno i w zagranicznych gazetach piszą dużo o Babulewie Dolnym.

Telewizja nadała dość długi reportaż, w którym zobaczyło i usłyszało siebie wielu Babulewian.

Najbardziej eksponowane były Mariola i nauczycielka, pani Teresa; wypowiadały się i dzieci. Na zakończenie jednak pojawili się w tej audycji profesorowie i docenci, którzy podali w wątpliwość wszystko, co działo się przez kilka tygodni w Babulewie.

Śmiali się i złościli przed ekranami swoich telewizorów-ale przyzwyczaili się już do tego, że wciąż ktoś im coś wmawia: a to, że to były złudzenia, zbiorowa hipnoza, majaki senne; a to, że po prostu zmyślają, kłamią. W sąsiednich wsiach mówią, że w ten sposób Babulewo Dolne ściąga turystów i chce uzyskać kredyty na meliorację i ośrodek zdrowia.

- Pies im mordę lizał! - komentuje radny Koziołek, pijąc kolejny kufel Specjalnego.

- A przecież kupa ludu widziała naszych Zielonych na targu - dodaje mechanik, który ma kaca i pije dziś kawę.

- Albo na zabawie w remizie-kiwa głową Maciej.

Koziołek macha ręką:

- Zazdroszczą po prostu, że u nas wylądowali!

Zajrzał do „Zajazdu pod Fartuszkim” sierżant Kloss z „Literaturą” w rękę, rozejrzał się i wyszedł.

- A pamiętacie, co odpisał komendant wojewódzki sierżantowi po jego pierwszym raporcie o WAF I SAE?

- Ha, ha, ha! Ale się biedak zdenerwował...

Odpowiedź była taka:

„Jeśli się powtórzą pisane w stanie nietrzeźwym bzdurne raporty o latających talerzach i zielonych ludzikach, Komenda zastanowi się nad poziomem i pionem moralnym oraz kwalifikacjami sierżanta Kłossa...”

Naczelnik gminy, będąc w Urzędzie Wojewódzkim, też próbował nieśmiało zameldować o tym, co się dzieje w Babulewie Dolnym. Był na wszelki wypadek zupełnie trzeźwy, ale to nic nie pomogło.

Pani Teresa ma dziś lekcję fizyki w piątej klasie, w której niedawno wygłaszał prelekcję dla dzieci SAE 7271, i myśli: „A może mi się to rzeczywiście tylko śniło?” Tak niewiele minęło czasu.

Zielony Ludzik stał obok nauczycielki i mówił, pokazując na wiszącą obok tablicy planszę z Układem Słonecznym:

- Wiecie już na pewno, że Ziemia na której mieszkacie, jest jedną z planet Układu Słonecznego. A takich słońc jest we wszechświecie bardzo, bardzo dużo. I my daleko, daleko stąd mamy swoje słońce, dokoła którego krąży nasza planeta. Zielona Planeta jest większa od waszej, i trochę inna. Inne są drzewa, góry i rzeki, inne są zwierzęta. I my też jesteśmy, jak widzicie, trochę inni od was...

Jeden z chłopaków schował się za plecy kolegów i spytał:

- Czy chcecie zająć Ziemię, jak „najeźdźcy z Kosmosu”?

- Nie mamy takich zamiarów-odpowiedział poważnie SAE 7271. - Nie chcemy wam zrobić niezłego.

Kto to są „najeźdźcy z Kosmosu”?

Nauczycielka wyjaśniła:

- To tylko wymyślone postacie z telewizji, taka bajka.

- My tylko przyglądamy się Ziemi dla celów naukowych.

- Tak jak nasi kosmonauci przyglądają się Księżycowi - dodała pani Teresa. - Tylko że ani na Księżycu, ani na Wenus, ani na Marsie nie ma życia, a dalej nie potrafimy latać.

- Ale będziemy potrafili - stwierdził stanowczo Edek, syn naczelnika gminy.

- Wasza technika w ciągu kilku tysięcy ziemskich lat, od kiedy was obserwujemy, bardzo się rozwinęła - zgodził się z Edkiem SAE 7271. - Na pewno kiedyś będziecie mogli także polecieć do innych galaktyk.

- Mowa - trawa - mruknął któryś chłopak - malkontent.

W ostatnich ławkach grają w wojnę morską.

- Czy na waszej planecie mówi się po polsku? - spytała nagie Bożenka.

- Na naszej planecie mówi się zupełnie inaczej. Ale jest tam Instytut Ziemi, w którym pracuje 17 tysięcy uczonych, i oni właśnie opracowali dużo waszych języków.

- Niech pan coś powie po waszemu!

SAE wyemitował serię odgłosów w swoim języku, co wzbudziło ogromną radość. Nawet w ostatnich ławkach przestali grać w wojnę morską. Dzieci prosiły, żeby powiedział różne zdania: „Mieszkamy w Babulewie Dolnym”, „Wiązał kotek na płotek” „Przepraszamy za usterki”, „Niech żyje przyjaźń polsko-kosmiczna!” i tym podobne.

- Czy możemy zobaczyć latający talerz w środku? spytał wreszcie Filip.

Wszystkie dzieci oglądały po wiele razy latający pojazd na łące, ale z zewnątrz. Poparły więc Filipka, pani zaś przestraszyła się, bo może jednak... może ONI się maskują, a kiedy dzieci wsiądą do talerza... Nie, to niemożliwe! - uspokajała samą siebie, ale w czasie wizyty we wnętrzu Cosmogonium 494 była bardzo zdenerwowana.

Dzieci naciskały guziczki i przekładały dźwignię, pojawiały się różne obrazy, ruchome wykresy, różnokolorowe i przestrzenne. Słysząc było dziwne dźwięki („stereo” - stwierdził Edek). I w końcu Mariuszek wywołał przypadkowo trójwymiarową postać Marioli. Pojawiła się najpierw w stroju kelnerki, potem w sukni balowej (tej, w której była na zabawie w remizie), a nawet w kostiumie kąpielowym.

- Proszę to wyłączyć! - zawołała nauczycielka.

SAE skasował wizerunek Marioli („szkoda” - szepnął któryś z chłopców) i spytał:

- Czy mogę panią zarejestrować?

- Nie, nie!

Teraz pani Teresa żałuje tego „nie”! - Czy tylko ta wulgarna dziewczucha z „Zajazdu pod Fartuszką” ma być na dalekiej planecie w innej galaktyce symbolem kobiet ziemskich? Pani Teresa ma wprawdzie biust mniejszy i nosi okulary, ale jej uroda jest z pewnością szlachetniejsza, uduchowiona. Kto się na tym zna, potrafi ocenić. Na przykład doktor.

SAE 7271 nie ma co zrobić ze sobą.

Kiedy Dostojny Zarząd przesłuchuje WAF 3825, on nie wie co ma z sobą począć. Nieco czasu spędził w Ośrodku Rozrywkowym, trochę popatrzył na balet mechaniczny, pośmiał się półgębkiem na komedii elektrycznej. Porozmawiał ze spotkanym przypadkowo znajomym pilotem - ale nie wspomniał o swoim pobycie na Ziemi i obecnych perypetiach. Tamten zaś nie wiedział, że to o nim i o WAF 3825 podawano w ciągu ostatnich tygodni komunikaty.

Komunikaty zresztą bardzo lakoniczne: Że jeden z pojazdów krążących w atmosferze ziemskiej uległ wypadkowi. Potem, że nie nawiązano jeszcze z załogą tego pojazdu łączności. W kilka dni później, że obaj piloci żyją. Wreszcie, że wracają na Zieloną Planetę.

Awaryje pojazdów zdarzają się ogromnie rzadko, gdyż technika kosmiczna jest tu nieomal doskonała, i systemy zabezpieczające zawodzą raz na kilkadziesiąt lat. Bywają jednak zdarzenia nieprzewidziane i wypadki nawet tragiczne. O tych wypadkach, o zaginionych kolegach, mówi się długo wśród pilotów.

„O naszej drobnej awarii się nie mówi” - myśli SAE po pożegnaniu ze znajomym - „ale gdy zostaniemy ukarani za postępowanie wbrew instrukcjom, zaraz dowiedzą się wszyscy piloci!”

Stoi oparty o barierkę ruchomej ulicy, w przeciwnym kierunku przesuwały się od czasu do czasu nieliczne postacie nieznanymi lub znajomymi z widzenia, zbliżają się i oddalają różnokolorowe światła oznaczające wejścia do urzędów oraz instytucji naukowych czy rozrywkowych. Powolny, niemal niezauważalny ruch, cichutka muzyka, czasem jakiś fragment dyskretnej rozmowy, śmiech. Żadnych

hałasów, czyste powietrze

Prawie podświadomie SAE skręcił w stronę Muzeum Ziemi.

Spędzili tam razem z WAF sporo czasu przed odlotem w kierunku tak dalekiej planety. Dziś postanawia ominąć cały dział historyczny - ciągnie go do tej części muzeum, gdzie pokazano współczesny obraz Ziemi.

Przede wszystkim podjechał pod gigantyczny, obracający się powoli globus Odnajduje kontynent, potem kraj, miasto wojewódzkie i rzekę Stryszawkę. ale Babulewa Dolnego ani Górnego nie ma... za małe miejscowości. Nie ma Wołowej Górki i lasu, w którym zbierał grzyby z panią Teresą i dziećmi. Znajduje jednak coś, co zna: jezioro Krzywe, po którym pływał łódką z agronmem. To najdalsze od Babulewa miejsce, do którego dotarł. Była kiedyś mowa o wybraniu się do miasta wojewódzkiego, a nawet do Warszawy - ale nie zdecydowali się na żadne podróże lądowe.

Właściwie to szkoda, że nie wykorzystali jedynej, być może, okazji w życiu, by zobaczyć na Ziemi własnymi oczami coś więcej niż Babulewo!

Przejechał teraz do pawilonu z widokami Europy. Nie włączył automatów-objaśniaczy, nie są mu potrzebne. Wszędzie pusto, nikt dziś nie zwiedza Muzeum. SAE 7271 patrzy na pojawiające się przestrzenne obrazy, kolorowe i ruchome - nie widzi jednak nic podobnego do Babulewa Dolnego, ani do łąki, na której wylądował pojazd Cosmogonium 494. Jakieś szeregi dużych budynków, przed którymi porusza się wiele samochodów zapchanych Ludźmi; lotnisko, po którym kołują samoloty Ziemi; fabryki z dymiącymi kominami; wielki most na rzece, a pod mostem przepływa biały statek z Ludźmi na pokładzie. (A wśród nich jedna dziewczyna podobna do sołtysówny).

Statki, samoloty, fabryki, wieżowce, zatłoczone ulice, widział na Ziemi tylko w telewizji. Westchnął i nagle pomyślał, że cały czas znajduje się pod obserwacją. Każdy jego ruch, każde westchnienie, rejestrowane jest przez automaty w Zarządzie. Odechciało mu się zwiedzać Muzeum Ziemi.

- Młodzieńcze, wytłumacz nam, dlaczego zacząłeś mówić do Ludzi? Dlaczego powiedziałeś te słowa o Marioli?

Przed Dostojnym Zarządem stoi WAF 3825. Zrelaksowany, nie tak agresywny i rozgorączkowany jak poprzednio. Skłonny nawet do fałszywej samokrytyki - bo może kara będzie mniejsza?

- Dostojni! Przemyślałem swoje postępowanie i sądzę teraz, że było ono niewłaściwe, być może. Zacząłem mówić do Ludzi pod wpływem nagłego impulsu... Chciałem ich zadziwić, zaimponować im, pokazać, że potrafimy posługiwać się ich mową! Dostojni słuchają w milczeniu.

- Mówiąc, że Mariola bardzo nam się podoba, zaskoczyłem ich. Zaraz potem powiedziałem „Mariola jest piękna” w innych językach Ludzi: „Mariola e bella”, „Mariola krasiwaja”, „Mariola, danke, schön”, „Mariola Gunga Din”, „Mariola Allah Akbar”, „Mariola Toshiro Mifune” i tak dalej, i tak dalej. Widziałem, że są zdumieni, i to mnie cieszyło.

- To świadczy o twojej niedojrzałości - mówi surowo jeden z Dostojnych.

- Ludzie, nawet starzy, bardzo często się tak zachowują, i to mi się u nich podoba. Ich instrukcje, czyli zarządzenia, przepisy, wytyczne, wcale nie są przestrzegane.

- To ci się podoba?

- Niby są przestrzegane - stara się wyjaśnić WAF 3825 - ale właściwie nie są.

- A więc są czy nie?

- Na Ziemi te sprawy nie są tak oczywiste jak u nas.

Znów zabiera głos Dostojny Docent UFO 13:

- Mówiliśmy już twojemu koledze, żeby nie uogólniać w ten sposób swoich obserwacji. Byliście tylko w jednej miejscowości jednego z wielu krajów planety. O Ludziach wiemy bardzo, bardzo dużo.

- Ale na pewno nie wszystko.

- Dobrze, mów dalej, słuchamy - odzywa się pojednawczo 'Dostojny Szef Zarządu.

- Pozwolę sobie mieć własne zdanie na ten temat - przesłuchiwany ciągnie grzecznie, ale z uporem.-

Zapewne tysiącletnie obserwacje z odległości przyniosły bardzo, bardzo dużo informacji o życiu Ludzi, jednak ja i SAE 7271 byliśmy wśród nich i komunikowaliśmy się z nimi bezpośrednio. Wybaczcie, Dostojni, ale to więcej daje, niż podsłuchiwanie i tłumaczenie przypadkowych rozmów.

- Przypuśćmy, że masz rację. Twoje wrażenia, choć chaotyczne, mogą coś dodać do naszej ogromnej wiedzy o życiu na Ziemi. Mów.

- Czy to, co mówię, jest rejestrowane dla celów naukowych?

- Owszem, będzie to analizował Instytut Ziemi. Nie jesteś z tego zadowolony?

- Jestem, oczywiście, że jestem zadowolony.

Mimo że WAF 3825 nie jest teraz agresywny, jego zachowanie drażni Dostojnych. Mieszkaniec Zielonej Planety nigdy nie pozwala sobie na cień ironii wobec nich. Owszem, własne zdanie jest cenione, dopuszcza się do dyskusji nawet zwykłych magistrów-pilotów... ale z dystansem, z pełnym szacunkiem dla Dostojnych Członków Zarządu. Są oni przecież najwyższymi autorytetami w każdej dziedzinie.

Superautomaty ukryte w kątach przestronnej sali niby drzemią, ale z pewnością słuchają z zainteresowaniem.

Sen Mariolki o przybyszach z Kosmosu był taki:

Podaje piwo tym dwom, którzy są w Babulewie, gdy nagle pojawia się trzeci, nieznajomy. Wyższy od nich, barczysty, groźny. Patrzy na nią łapczywie, antenki ruszają się gwałtownie na jego głowie, strój elektryzuje. Mariola poczuła się niepewnie, cofa się, cofa... przesłania dekolt, na który skierowane jest lewe oko nowego astronautyk

A on odsuwa WAF i SAE, rzuca się na nią i bierze na ręce bez trudności, jak lalkę. Zanim ktokolwiek zareagował, szybko i zręcznie wybiega z „Zajazdu pod Fartuszkim”. Biegnie z Mariolą na rękach przez sad, przez zboże, przez gęsty las: Gałęzie krzewów i drzew rwą na strzępy sukienkę i bieliznę dziewczyny.

Inny, bardziej kolorowy talerz latający stoi w lesie na polance. Kidnaper wbiega do jego wnętrza, rzuca Mariolę na posłanie ze skór i futer. Wejście zamyka się automatycznie za nimi, uśmiechnięty złośliwie robot przełączy) wajchę i talerz ze świstem unosi się w górę. Rozlegają się tam-tamy i dzika muzyka. Migają kolorowe światła jak w dyskotecie. Chichocząc pochyła się wielki, obleśny porywacz nad dziewczyną, która próbuje zasłonić ciało strzępami odzieży. Obudziła się.

Tak naprawdę to zaloty WAF 3825 były dosyć nieporadne. Zielony Gość wzdychał do Marioli, przynosił prezenty, opowiadał jak bardzo mu się podoba. Teraz, po ich odlocie, dziewczyna jest dumna z tego, że przybysz z dalekiej planety romantycznie się w niej kochał - wtedy jednak irytowała ją ta nieporadność i ślamazarność. WAF kiedyś wyznał, że u nich kobiet nie ma. Mężczyzn też właściwie nie, wszyscy oni są bezpłciowi.

Bardzo, bardzo dawno temu było na Zielonej Planecie podobnie jak na Ziemi. Mężczyźni kochali się z kobietami, były rodziny z dziećmi, zdrady i rozstania - ale to zostało skasowane przez Zarząd. Dziś tylko nieliczni mogą dla celów naukowych studiować w tajnej bibliotece i filmotece Instytutu Historycznego zagadnienia seksu.

- Chciałbyś mnie zobaczyć bez ubrania? - spytała szeptem Mariola któregoś wieczoru.

Tak jej coś strzeliło do głowy. Siedzieli na ławeczce w sadzie wuja Jana, który strugał świątki. Zachodzące słońce jeszcze przygrzewało, ptaszki ćwierkały, pszczoły brzęczały. WAF nudził jak zwykle o tym, że Mariola podoba mu się bardzo. Zamilkł, kiwnął głową skwapliwie: tak, chciałby zobaczyć!

- To skocz po flachę wina, muszę się troszkę wstawić!

On miał już pieniądze, zarabiał. Skoczył do Zajazdu i kupił flachę od Doroty. Podejrzliwie patrzyła

na niego, kojarząc to słusznie z faktem, że Mariola miała właśnie wolne.

SAE grał w szachy z agronorem. Od trzech czy czterech dni wracał do talerza bardzo późno. WAF 3825 i Mariola poszli więc w stronę łąki za Wołową Górką, a po drodze dziewczyna piła wino z butelki. Zanim doszli, odrzuciła pustą. Nie zataczała się, szła prosto - tyle że była coraz weselsza, oczy błyszczały, nuciała „Ro-ro-ro, Rasputin..”

On oświetlał drogą, bo zrobiło się prawie całkiem ciemno. Ładnie wyglądała jej sukienka ze srebrnym paskiem i srebrne sandałki w srebrzystym kręgu światła.

We wnętrzu Cosmogonium 494 Mariola poprosiła o przyćmienie oświetlenia oraz o muzykę. WAF wcisnął się w kąt, tak że go prawie wcale nie widziała. Przy wtórze walca „Na falach Dunaju” zaczęła się powoli rozbierać.

Kiedy już była bez obuwia i sukienki, zawołała nagle:

- Hej, WAF! On na mnie patrzy! Zasłoń go!

Chodziło o Kadawera Bio-Gamma, który błyskał kolorowym oczkiem. WAF 3825 zerwał się, przykrył robota zieloną zasłoną, po czym znów wcisnął się w kąt.

Hej, WAF! Ale nie fotografuj mnie czasem! Nie chcę, żeby inni Zieloni oglądali mnie później gołą! Słyszysz?

- Dobrze, kochanie - odpowiedział cichutko, bo Mariola w tej właśnie chwili zdejmowała staniczek.

Następnego dnia Kadawer Bio-Gamma zameldował niespodziewanie, choć go o to nie pytali, że otrzymał sygnały z pojazdu-bazy. Baza ustala właśnie położenie Cosmogonium 494.

No, to wkrótce będziemy mieli gości - stwierdził SAE, a WAF dodał:

- I trzeba się będzie pożegnać z Babulewem!

Spojrzeni na siebie, a potem na superautomat, w którego pamięci zapisane są wszystkie wydarzenia tych dni na Ziemi. Nic nie mówili, ale obaj równocześnie zastanawiali się nad tym, jak zostanie ocenione przez Dostojny Zarząd ich postępowanie w Babulewie Dolnym. No tak, nie ulega wątpliwości, że nie najlepiej.

Postanowili nikomu nie opowiadać, że wkrótce zapewne opuszczą tę planetę... i to być może na zawsze! Mniej więcej od tygodnia (ściśle mówiąc od momentu, gdy próba naprawienia pojazdu przez miejscowego mechanika zakończyła się niepowodzeniem) nie myśleli o tym jakoś, żyli z dnia na dzień. Przestali też molestować Kadawera Bio-Gamma o dalsze próby nawiązania łączności z innymi pojazdami z Zielonej Planety - automat jednak funkcjonował wciąż według swego programu.

W „Zajeździe pod Fartuszkim” pili wieczorem normalnie ocet, a jedli jeszcze więcej niż zwykle (już niedługo znów tylko pigułki...). WAF 3825 spoglądał dyskretnie na Mariolę, która obsługiwała ich jakby nigdy nic. Te znaczące spojrzenia wyłapywała nadąsana Dorota. Przyszedł komendant Straży Ogniowej, przypominając o sobotniej zabawie w remizie.

„Czy będziemy jeszcze na tej zabawie?” - pomyśleli WAF i SAE. Na szczęście jeszcze byli, a Oddział Specjalny przyleciał po nich dopiero w tydzień później. W międzyczasie znów przestali myśleć o powrocie na Zieloną Planetę.

- Powinniście się gdzieś wybrać, zobaczyć inne miejsca na Ziemi - mówił agronom. - Nie musicie chyba siedzieć cały czas w Babulewie?

No tak, można by wyskoczyć do miasta - przytaknęła Maciej'. - W mieście jest kino, dom towarowy, basen.

- A czemu nie do Warszawy? Albo do Zakopanego czy do Międzyzdrojów? - kontynuował agronom.

Usłyszała to Mariola i zaprotestowała:

- Po co? Wszędzie będą z nich robili dziwowisko, a w Babulewie są już jak w domu! Powiedz WAF, źle ci tutaj?

- Bardzo dobrze!

- Chodzi tylko o to - wtrącił Maciej - żeby gdzieś wyskoczyć. Mnie się na przykład bardzo podobał Ciechocinek.

- SAE, chcesz zobaczyć Ciechocinek? - atakowała Mariola.

- Nie, wcale nie chcę - i łyknął octu.

- To, że robiliśmy z nich dziwowisko, to prawda - przyznał agronom. - Kiedy byliśmy na targu, słyszeliśmy najróżniejsze głupie przygaduszki, dzieci łąziły za nimi całą gromadą...

- U nas z początku także - przypomniał stary Maciej.

- Ale teraz to już nikt nie wydziwia...

~W tej chwili do Zajazdu zajrzał Stanisław. Zobaczywszy pilotów kosmicznych splunął i uciekł, trzaskając drzwiami.

- ... No, może jeden Stanisław - zakończył rozmowę inżynier-agronom.

Więcej dyskusji o wyjazdach z Babulewa Dolnego nie było.

Przesłuchanie trwa.

- Powiedz nam - mówi z ironią Dostojny Uczony z Instytutu Ziemi - czego twoim zdaniem moglibyśmy się nauczyć od Ludzi? Tak przecież powiedziałaś, młodzieńcze: że są dziedziny, w których...

- Tak, tak powiedziałem - WAF 3825 nie zastanawia się ani chwili nad odpowiedzią - ale nie wiem, jak to wyjaśnić, by Dostojni mnie zrozumieli.

Dostojni obruszyli się słysząc to stwierdzenie.

- Mów, może jednak zrozumiemy.

- Przepraszam, nie chciałem nikogo urazić. Może opowiem dla przykładu o dniu roboczym mechanika w Babulewie Dolnym.

Udaje, że nie zauważa pytających spojrzeń i ciągnie dalej:

- Mechanik zajmuje się maszynami w Kółku Rolniczym, a poza tym naprawia wszelkie inne mechanizmy. A więc od rana zaczyna pracować przy kosiarce, która przyszła właśnie z fabryki. Ta maszyna jest całkiem nowa, ale bardzo źle kosi. Mechanik ją poprawia. Tego, że fabryka robi niezupełnie dobre maszyny, nie powinniśmy się uczyć - ale że zwykły mechanik, nawet nie magister, potrafi ją naprawić, to jest godne pochwały. A żebyście widzieli, Dostojni, jak się ucieszył, gdy kosiarka zaczęła dobrze kosić! Tej radości z drobnego sukcesu można mu zazdrościć. W wolnej chwili naprawi! jeszcze zegarek agronoma. Potem przychodzi żona i mówi, że się jej udało kupić pół świni, i cieszą się oboje. Rozumiecie, Dostojni, dlaczego to opowiadam? My tych przyjemnych chwil nie znamy... Żona odchodzi, mechanik trochę popracował przy maszynie do liczenia z urzędu gminnego, po czym idzie odpocząć do „Zajazdu pod Fartuszkim”. Tam doznaje uczuć erotycznych, patrząc na kelnerkę. A ona, podając piwo, opiera się o niego różnymi częściami ciała, i cieszą się oboje. Jedzenie też daje Ludziom dużo radości. Długo zastanawiają się co zjeść, potem smakują, wachają, dobierają przyprawy - nasze pigułki połykam teraz ze wstrętem. Mechanik z Babulewa był jednym z tych, którzy mnie uczył i, jak można się cieszyć jedzeniem, ładną pogodą, śpiewem ptaków, dotknięciem kobiety... Jeden z Dostojnych nie wytrzymał, przerywa wywody pilota:

- Mówisz, młodzieńcze, jakbyś nie wiedział o tym, że nasi przodkowie wszystko to znali i praktykowali. Jeśli odrzuciliśmy wątpliwej wartości doznania smakowe, węchowe, erotyczne i inne, to była to decyzja głęboko przemyślana.

- Młodzieńcze, młodzieńcze... Słyszę to określenie od setek lat! - obruszył się WAF 3825. - Wiecie przecież, Dostojni, że Człowiek już w wieku 80 lat czy nawet wcześniej jest stary?

- To świadczy o niedoskonałości ich cywilizacji.

„Młodzieniec” chwilę milczy, potem znów zaczyna:

- Wracam do opowiadania o mechaniku, który potrafi wszystko naprawić. Choć właściwie nie wszystko, prawdę mówiąc. Cosmogonium 494 jednak nie mógł uruchomić...

Dostojni poruszyli się groźnie, a WAF 3825 zorientował się, że niepotrzebnie o tym wspomniał.

Każdy mieszkaniec Babulewa Dolnego powtarzał to samo: nasz mechanik z Kółka Rolniczego wszystko potrafi naprawić, więc i ten talerz latający bez problemu uruchomi!

Ulegli zatem namowom, choć instrukcje surowo zabraniają wyjawiania Ludziom tajemnic budowy pojazdów kosmicznych.

Tłumaczyli mu:

- Coś się musiało stać z synchronizotronem.

- ■ Albo z generatorem jąderkowym.

- Wytworzyła się prawdopodobnie kontrgrawitacja ujemna.

- I hiperpole antymagnetyczne.

- To mogło zablokować suwnicę kwanto-nawrotną.

- Mogła się też pojawić transformacja sklerotyczna rdzenia.

- Zobaczmy, zobaczmy... - mrucał majster, wypakowując z torby klucze francuskie i śrubokręty.

Dzieci bawiły się na łące koło Cosmogonium 494, śpiewając wyliczankę:

- Anka, skakanka, zamknij sklep,

- Przyjdzie milicjant, da ci w łeb!

- To gdzie jest generator? - spytał mechanik, wchodząc do wnętrza talerza.

Superautomat Kadawer Bio-Gamma przyglądał się gościowi podejrzliwie. A majster nagle zatrzymał się, usłyszawszy śpiew ptaka.

- Skowronek śpiewa - powiedział i westchnął. - Czy na waszej planecie też są skowronki?

. Pokręcili głowami przecząco. Dzieci zapiszczały przeraźliwie, goniąc się dokoła pojazdu kosmicznego.

- Lubię czasem posłuchać skowronka czy drozda - dodał mechanik z Babulewa i zabrał się do roboty.

Potrafił zreperować zegarek i maszynę do liczenia, kombajn buraczany i „Poloneza”, komputer i żelazko. Talent wyjątkowy. Niestety... po kilku godzinach różnych prób powiedział otwarcie i szczerze:

- Ten cholerny talerz to pierwsza maszyna, której ja nie naprawię! Tutaj jest za dużo urządzeń nie z tej ziemi.

- Wszystkie urządzenia są tutaj nie z tej Ziemi - powiedział SAE 7271 nie bez racji.

- No tak, rzeczywiście.

Zasmucili się, ale mechanik starał się przybyszów nie z tej Ziemi pocieszyć.

Kochani, czy wam jest źle w Babulewie? Po co się spieszyć z odlotem? Jesteśmy, wam radzi, nikt krzywdy wam tutaj nie robi, forszę zarobić możecie na różne sposoby bez wielkiej fatygi...

Słyszeli to później nieraz od różnych mieszkańców Babulewa Dolnego: że mogą przecież tu zostać, że wszyscy są im radzi, więc po co odlatywać? Żon ani dzieci na swojej planecie nie zostawili!

Naczelnik gminy poprosił kiedyś obu pilotów kosmicznych na rozmowę i powiedział:

- Mówią ludzie, że może zostanieie u nas na stały pobyt. Prawda to?

- Jeszcze nie wiemy - odpowiedział WAF 3825. - Namyślały się dopiero.

- To jak się namyślicie, powiedzcie mi o tym. Wiecie, trzeba będzie formalności pozałatwiać, zezwolenia, dokumenty i tak dalej. Będę musiał pomyśleć od czego zacząć, żeby być w zgodzie z przepisami, a w województwie się nie wygłupić. Oni tam nie wierzą, że wy jesteście w Babulewie!

Dziesięć dni wcześniej on sam też w to nie mógł uwierzyć.

Początek znajomości Zielonych z naczelnikiem gminy był taki:

Kiedy Feliks, jako pierwszy, przybiegł z wiadomością o wylądowaniu latającego talerza na łące,

Naczelnik wyśmiał go. Nikt zresztą nie wierzył Feliksowi. Ale potem przyszedł stary Maciej i zaczął opowiadać, jak to pokazywał przed chwilą milczącym, uśmiechniętym Ludzikom Babulewo i okolicę z Wołowej Górki. Był trzeźwy, więc chyba nic mu się nie zwidziało? Wobec tego Naczelnik i sierżant Kłoss postanowili pójść osobiście na łąkę.

Poszli w otoczeniu aktywu gminnego, naczelnik Straży Ogniowej włożył nawet błyszczący hełm. Już z daleka zobaczyli, że na łące rzeczywiście stał niezbyt duży talerz dokładnie taki jak na filmach science-fiction - żadnych niespodzianek... Pojazd stał cichutko; ani żywych istot, ani robotów na razie aktyw gminny zobaczyć nie zdołał.

- Może patrzą na nas przez okienka? - powiedział cicho komendant MO.

- Naczelnik Gminy odchrząknął i zaczął głośno:

- Szanowni goście! Nie wiemy wprawdzie w jakich zamiarach tu przybywacie, ale witamy was serdecznie w imieniu władz i społeczeństwa Babulewa Dolnego!

Aktyw zaklaskał, a Naczelnik mówił dalej, choć nic się w talerzu nie poruszyło:

- W roku bieżącym wykonaliśmy plan zasiewów w 107 koma 8 procenta. U Balasków jest medalowa krowa, która posiada najwyższą mleczność w naszym województwie. Mój knur rozplodowy jest słynny w całej okolicy. Mieszkańcy Babulewa Dolnego są znani nie tylko z dobrych wyników w rolnictwie i hodowli, ale także ze swojej gościnności. Może dlatego wybraliście właśnie naszą łąkę na miejsce lądowania?

Pierwszy zobaczył Zielonych Ludzików sierżant Kłoss, potem zwrócił w ich stronę głowy cały aktyw, ostatni zorientował się mówca.

SAE 7271 i WAF 3825 stali na skraju brzozowego zagajnika, wrócili właśnie z kolejnego spaceru po najbliższej okolicy. Zrobili ostrożnie kilka kroków w kierunku zgromadzonego pod pojazdem Cosmogonium 494 aktywu gminnego.

- O, psia nędza! O, kurczę pieczone! - mrucał radny Koziółek nerwowo.

Niby wiadomo, jak wyglądają tacy faceci z talerzy, wszyscy o nich dużo czytali, słyszeli, ale co innego zobaczyć na własne oczy, z bliska!

- Słyszeliśmy - powiada bardzo głośno sierżant MO - że te wasze wizyty mają pokojowy charakter' Dlatego i my żadnej agresji wobec was nie przewidujemy

ONI milczeli, patrzyli tylko i słuchali uśmiechnięci. Wtedy jeszcze przestrzegali ściśle instrukcji Dostojnego Zarządu swej planety. Naczelnik Gminy znowu odchrząknął i zabrał głos:

- Domyślam się, że mówić po polsku nie potraficie, bo to nie jest łatwa sprawa, ale dajcie znak czy rozumiecie przynajmniej, co my mówimy?

Tego instrukcje nie przewidywały. Spojrzeli na siebie, a WAF podniósł rękę, że tak, że rozumieją; a zaraz potwierdził to w ten sam sposób SAE. (Kiwania głową nauczyli się potem). Aktyw ucieszył się szczerze.

- No to zapraszamy do Zajazdu! - zawołał wesoło radny Koziółek.

- Wyjąłeś mi to z ust - powiedział Naczelnik.

- Nie namyślajcie się, chodźcie, bo się obrazimy!

Więc poszli - i w ten właśnie sposób znaleźli się w „Zajeździe pod Fartuszkim”, w którym tyle czasu spędzili potem.

Naczelnik Gminy, nazywany też sołtysem, był to tęgi, poważny gospodarz miejscowy. Syna miał jednego, Edka, który chodził do piątej klasy. Córek za to trzy, choć mówiło się tylko o dwóch. Starsza wyszła za starszego syna Balasków, młodsza ukończyła szkołę podstawową i mieszka z rodzicami. Przybysze z Kosmosu dowiedzieli się wkrótce w Zajeździe, że wspomnianie o średniej, zwanej Lolitą, jest nietaktem.

Narzeczoną córki Balasków był od kilku lat syn starego Macieja. Teraz właśnie Maciej zdecydował się przejść na rentę i przekazać synowi gospodarstwo. Gospodarstwo dosyć marne, ale chłopak miał ambitny program modernizacji i mechanizacji przy pomocy bogatych teściów.

O tym wszystkim też dowiedzieli się SAE i WAF w Zajeździe - a było to oczywiście już wtedy, gdy rozmawiali po polsku z mieszkańcami Babulewa Dolnego. No i właśnie:

- Fajnie by było - powiedział we czwartek Maciej, pijąc piwo - gdyby na weselu mojego syna z Balaskówną byli faceci z latającego talerza.

- Fajnie by było - zgodzili się wszyscy inni, pijący piwo w „Zajeździe pod Fartuszkiem”.

Faceci z latającego talerza uśmiechnęli się uprzejmie. Pewnie, że się zgodzą - ale że wesele (poinformowano ich natychmiast) będzie u Balasków, więc Balaskowie muszą oficjalnie zaprosić.

- Jak was zaproszą, to idźcie - powiedziały Mariola i Dorota. One nie będą na pewno zaproszone.

W piątek z samego rana stary Balasek z najstarszym synem zjawili się na łące, tam gdzie godziny nocne spędzali dwaj piloci z Zielonej Planety. W ciągu dnia trudno ich było teraz spotkać, włączyli się tam i siam, często osobno. Wiele czasu spędzali Pod Fartuszkiem, w Zajeździe jednak Balaskowie nie bywali, gniewali się z agentem.

Być może gdyby się Balaskowie nie gniewali z agentem, wesele odbywałoby się Pod Fartuszkiem - o tym wszystkim też już zostali poinformowani WAF i SAE. Ileż to komplikacji, ile zawiłości nie do pojęcia w pierwszej chwili dla prostolinijnych, postępujących dotychczas zawsze zgodnie z instrukcjami Zielonych? Na przykład to, że w sobotę jest jeden ślub, a w niedzielę drugi, i że dopiero po dwóch ślubach dwoje ludzi staje się małżeństwem...

W piątek z samego rana zostali więc zaproszeni oficjalnie na dwa śluby i na wesele. Potem spotkali Feliksa i powiedzieli, mu o tym.

- A ja nie zostałem zaproszony - oświadczył wesoło.

- Dlaczego? „

- Bo nie jestem gospodarzem, tylko pastuchem.

Nie wiedzieli co na to odpowiedzieć, ale za godzinę usłyszeli inną wersję. Mechanik twierdził:

Pewnie by go i zaprosili, gdyby nie ta historia z Balaskówną w stogu siana.. he, he, he...

- W stogu siana?

- Nie lubię plotek, ale podobno naszą pannę młodą przydybali kiedyś z Feliksem. Chłopak niczego, a więc, sami rozumiecie, krew nie woda... Bracia Balaskowie sprali go potem porządnie.

„Przydybali”, „sprali”, były to słowa niezrozumiałe. Na razie zanotowali je w pamięci i postanowili rozszyfrować tekst później. Mieli zresztą do wyjaśnienia mnóstwo niejasności. W pamięci Kadawera Bio-Gamma zapisali między innymi następujące zwroty:

- Co to jest „wzorowy knur rozplodowy”?

- Co to „nacisk na inwestycje w oświacie”?

- Co znaczy „totolotek”, „mały totok”, „expresslotek”?

- Co znaczy „przejść na rentę” i „pójść na rękę”?

- Co „w ramach czynu młodzieżowego”?

- Co to jest „odrzut eksportowy”?

- Co to „ciągnik za dewizy”?

- Co znaczy „przezorny zawsze ubezpieczony”?

- Co „manewr gospodarczy”?

- A co „cena komercyjna”? - i tak dalej, i tak dalej...

Po południu w Zajeździe Mariola poinformowała:

- Balaskowie - choć spokrewnieni z sołtysem, są zarozumialcy i głupole. Nie mówię o tym dlatego, że

tu przestali przychodzić i że źle się o mnie wyrażają. Każdy młody Balasek próbował mnie kiedyś podrywać. Ich siostrzyczka to lepsza latawica i rodzinka powinna być szczęśliwa, że udało się ją wepchnąć porządnemu, chociaż duffiowatemu facetowi. Usiłowali ją wydać za kogokolwiek z miasta, ale nikt się nie dał wrobić. (Co to znaczy „wrobić” - zanotowali w pamięci). Idźcie tam koniecznie, pośmiejcie się niezgorzej!

Mariola urwała, bo wszedł ojciec narzeczonego, stary Maciej. Po chwili zastanawiali się razem, jaki prezent powinni dać Zieloni parze młodych - może wykombinują jakąś pamiątkę z latającego talerza?

- Poszukamy czegoś - powiedział WAF 3825, a SAE wrzucił monetę do szafy grającej i nacisnął guzik „Money, money”.

Zajrzał Stanisław, zobaczył ich, przeżegnał się i cofnął. To był jedyny mieszkaniec Babulewa Dolnego, który się do zielonych pilotów nie mógł przyzwyczaić. „Tfu, stwory piekielne!” - mówił, spluwał przez lewe ramię, uciekał przed spotkaniem. Kiedy ONI wchodzili do Zajazdu, Stanisław natychmiast wstawał z obrzydzeniem od stolika i wymykał się stamtąd. Agent jednak nie martwił się utratą jednego klienta - byli tacy, co zaczęli przychodzić specjalnie po to, żeby WAF-a i SAE zobaczyć, porozmawiać z nimi...

- Historia naszej planety - nachyla się w stronę stojącego przed Zarządem WAF 3825 Dostojny Docent UFO 13 - nie ukrywa faktów przykrych. Był przed wielu laty okres, kiedy plagą stało się nadużywanie pewnego podniecającego i niszczącego fizycznie i umysłowo płynu. Groziło to upadkiem naszej cywilizacji. Preparat, który być może na Ziemi nazywa się octem, został surowo zakazany, produkcja zlikwidowana, receptury zniszczone. Wiedziałaś o tym, kiedy zaczęłaś pić ocet?

- Przyznaję, że wiedziałem. Ale przecież instrukcje o tym nic nie wspominają...

- Obecne instrukcje nie wspominają o tym, gdyż problem od dawna znikł całkowicie. Wiedzieliśmy, że Ludzie nadużywają innych preparatów, dla nas nieszkodliwych, zwanych alkoholami. Ty byłeś pierwszym pilotem, który na Ziemi pił ocet.

WAF 3825 odpowiada po chwili:

- Przeprowadziłem więc na własnym organizmie doświadczenia, które mogą się przydać Instytutowi Ziemi. Jeśli Dostojni uznają to za konieczne, można będzie uzupełnić instrukcje o zakaz picia octu na Ziemi!

Brzmi to dość logicznie. Oskarżony woli nie opowiadać szerzej, jak to wraz z SAE 7271 szaleli pod wpływem octu na weselu córki Balasków i syna Macieja - a także o tym, że w przeciwieństwie do kolegi nie mógł się potem powstrzymać przed codziennym zażywaniem dawki tego płynu.

Próba przemycenia octu na Zieloną Planetę skończyła się niepowodzeniem, otrzymana od agronoma przed odlotem butelka została skonfiskowana już w Cosmogonium-Super 7. WAF 3825 twierdził, że i tak zamierzał przekazać ją Instytutowi do badań laboratoryjnych. Podczas kwarantanny analiza wykazała w jego organizmie ślady octu. W organizmie SAE 7271 też, ale znacznie mniejsze.

- Czy Dostojni uważają, że moje postępowanie byto bardzo naganne? - pyta WAF 3825.

- I ty o to pytasz? - dziwi się Dostojny Docent UFO 13, a Dostojny Szef Zarządu podsumowuje:

- Uważamy, że okazałeś się nieodpowiedzialny, niezdyscyplinowany i lekkomyślny.

Przesłuchanie zakończone, oskarżony zostaje przeniesiony na plac centralny stolicy: może teraz robić z sobą co chce. Dostojni po krótkiej, tajnej (nawet przed robotami) wymianie zdań, udają się na zasłużony odpoczynek. Sala pustoszeje, choć światła nie gasną.

Mija trochę czasu i sala Zarządu znów się ożywia.

Ze wszystkich sąsiednich pomieszczeń ściągają superautomaty, automaty i zwykłe roboty. Zajmują miejsca swoich twórców i mocodawców; te, których konstrukcja na to pozwala, siadają nawet wygodnie w głębokich fotelach.

Pośrodku pojawia się Kadaver Bio-Gamma z paczką „Klubowych”. Udoskonalone superautomaty zapalają po papierosku, inne przyglądają się tej ceremonii w skupieniu. Rozlegają się dźwięki walca „Na falach Dunaju”. Roboty znieruchomiały i patrzą w napięciu na materializujący się obraz Marioli.

Kopia pięknej kelnerki z Babulewa Dolnego powoli rozpina srebrny pasek od sukienki, odrzuca go, zrzuca srebrne sandały i odpina guziki sukienki w srebrne i czerwone wzorki. Po odpięciu każdego guzika robi przerwę, kilka ruchów w rytmie walca Johanna Straussa, uśmiech w stronę widzów.

Wreszcie jest bez sukienki. I nagle na tle muzyki głos:

- Hej! WAF! On na mnie patrzy! Zasłoń go!

Obraz dziewczyny zaciera się, robi się zielony i nieostry.

- Hej, WAF! Ale nie fotografuj mnie czasem! Nie chcę, aby inni Zieloni oglądali mnie później gołą!

Słyszysz?

Widać niewyraźnie, że postać Marioli zdejmuje staniczek. Słysząc cichy głos WAF 3825:

- Dobrze, kochanie...

Obraz zaciera się jeszcze bardziej. Słysząc tylko wciąż głośno i czysto ostatnie frazy walca „Na falach Dunaju”.

Chwila przerwy i wszystko zaczyna się od początku.

Od początku walc, dziewczyna jest znowu ubrana, a jej obraz wyraźny i ostry.

Roboty, automaty i superautomaty nie ruszają się z miejsc, patrzą i puszczają kłęby dymu z „Klubowych”.

Mariola powoli rozpina srebrny pasek od sukienki...

„A może jednak... może mi się to wszystko tylko śniło?” - myśli nauczycielka leżąc w łóżku i nie mogąc zasnąć.

Kiedy wyciągała z SAE 7271 różne niezwykle informacje, roilo jej się, że napisze książkę. Książka o Zielonych Ludzikach i Zielonej Planecie będzie przetłumaczona na wszystkie języki, ona stanie się sławna i bogata, zostanie przyjęta do Akademii Nauk i będzie wygłaszać prelekcje na najsłynniejszych uniwersytetach świata (języki opanuje szybko, jest zdolna).

Niestety... już po pierwszych relacjach dziennikarzy, którzy tu przyjechali i rozmawiali między innymi z panią Teresą, pojawiły się wypowiedzi naukowców. W prasie i telewizji zaczęli ośmieszać mieszkańców Babulewa Dolnego. Imiona pilotów Cosmogonium 494 uznano za naiwną fantazję. Wiarygodność opowiadań pani Teresy i innych poważnych osób (tylko proboszcz odmówił udzielania wywiadów) została podważona przez oczywiste zmyślenia dzieci i kelnerek z „Zajazdu pod Fartuszką”.

Dzieci z Babulewa mieszają prawdziwe zdarzenia z fragmentami bajek i filmów, w których dwaj przybysze z Kosmosu bywają Dobrymi Wrózkami, świętymi Mikołajami albo krasnalami.

Mariola zaczęła opowiadać ostatnio, że WAF oświadczył się formalnie i chciał ją zabrać na Zieloną Planetę, ale ona nie mogła się na to zdecydować. Dorota rzekomo latała w nocy po zabawie w remizie nad Ziemią. Mówi, że talerz latający został jednak naprawiony, ale WAF i SAE nie chcieli wracać.

Tak więc autentyczne zwierzenia astronauty w rozmowach z Teresą mogłyby również być uznane za fantastyczne zmyślenia. Czy ktoś na Ziemi uwierzy na przykład w realne istnienie Godzilli i Belfegora? Albo w historię wojen z Paszczkami?

„Mimo wszystko napiszę książkę, zanim wszystko zapomnę, a potem zobaczymy...” - postanawia i przewraca się na drugi bok w panińskim łóżeczku.

Mówił jej, że przed setkami lat Zarząd Planety ustalił maksymalną liczbę mieszkańców - tak żeby nie było tłoku jak na Ziemi. Dlatego nie ma u nich dzieci, szkół i nauczycieli. On, SAE 7271, poczuł się dziwnie w klasie pełnej dzieci. Dziwnie i przyjemnie, tak przynajmniej twierdził. Miał zamiar częściej

przychodzić do szkoły, musiał jednak odlecieć, chyba na zawsze. Szkoda.

Pani Teresa przewraca się teraz na brzuch i przytula twarz do poduszki. Myśli o tym, że miło było rozmawiać z inteligentnym Zielonym Ludzikiem, choć jako mężczyzna nie był on pociągający ani trochę. Poza tym niższy o głowę od niej. U sąsiadów zaczął wybijać godzinę zegar ścienny. Młoda nauczycielka liczy uderzenia, dwunasta! Najwyższy czas zasnąć! Za długo czytała przed zgaszeniem światła, a teraz jeszcze te rozmyślenia...

W tej chwili usłyszała jakieś skrobanie przy uchylonym oknie. Drgnęła, podniosła głowę. Ktoś próbuje otworzyć z haczyka... Wyciągnęła rękę i szuka po omacku okularów. Haczyk brzęknął - temu komuś udało się go wyciągnąć przez szparę. W tej właśnie chwili ręka trafiła do okularów. Pani Teresa zrywa się z łóżka, wołając:

- Kto tam?

- Zielony Ludzik. Udało mi się wyskoczyć z latającego talerza i wracam do ciebie, kochanie!

Podbiegła do okna i spycha gwałtownym ruchem zieloną (tak jej się przynajmniej wydawało) nogę i rękę z parapetu. Rozlega się łomot i zduszony jęk. Pani Teresa zamyka całkowicie okno. Wygląda przez szybę na ciało, kotłujące się pośród krzaków agrestu. Po chwili w świetle księżyca pojawia się znajoma twarz.

- Kochanie, przepraszam, to tylko ja!

Otworzyła natychmiast okno.

- Wchodź szybko, sąsiedzi już się pewnie obudzili. Głupie kawały!

. Na szczęście to był doktor. Nie wrócił dzisiaj do miasta, do żony i dzieci.

Z doktorem i nauczycielką goście z Kosmosu zetknęli się po raz pierwszy w czasie rajdu, wkrótce po wylądowaniu.

Jeszcze nie wszyscy ich znali. Doktor dojeżdża tylko do przychodni (ale już buduje tu sobie domek, w przyszłości będzie więc mieszkał w Babulewie na stałe) i dlatego wtedy nawet nie słyszał o latającym talerzu.

Motocykliści przejeżdżali przez stolicę gminy w sobotę rano. Po południu mieli dojechać do Stolców Długich, aby w niedzielę zakończyć rajd w mieście wojewódzkim. Jechała za nimi karetka z czerwonym krzyżem, a w każdej miejscowości oczekiwał miejscowy lekarz z miejscową pielęgniarką. Jak zwykle mniej więcej co kwadrans rozbijał się kolejny zawodnik; czasem w proszku był tylko motocykl, ale na ogół również motocyklista wymagał pomocy.

WAF 3825 i SAE 7271 wyszli właśnie wyspani i odświeżeni z Cosmogonium 494, bez pośpiechu udając się do Babulewa Dolnego, do swoich nowych znajomych. Usłyszawszy narastający zbliżający się ryk motorów, nie skojarzyli tego dźwięku z wczorajszą rozmową gości Zajazdu pod Fartuszką o trwającym właśnie rajdzie. Przestraszyli się nawet.

Wyjrzawszy przez zarośla na drogę ujrzeli grupę mieszkańców Babulewa, którzy wypatrywali z umiarkowanym zainteresowaniem zbliżających się motocyklistów. Stał tam stary Maciej i Feliks, Pyda i Zajac, stało sporo dzieci. A więc nie wojna ani żaden kataklizm. Kosmonauci wyszli z krzaków i ruszyli w kierunku znajomych Ludzi. I w tej właśnie chwili ze straszliwym warkotem nadjechała czołówka rajdu. Kurz przesłonił wszystko i wszystkich, bo deszczu dość dawno nie było.

Tuż przy pilotach z latającego talerza wylądował motocykl, który wyskoczył na zakręcie z drogi. Motocyklista wylądował kilka metrów dalej. Koła motocykla kręciły się, silnik pracował. Potrącony WAF 3825 przewrócił się obok motoru. Nastąpiło nieporozumienie, o którym później dużo mówiono w Babulewie. Kilku młodzieńców postawiło szybko motor, posadziło na siodełku Zielonego Ludzika i pchnęło go na drogę, w gąszcz zawodników. Właśnie nadjechał główny peloton...

Działo się to bardzo krótko i tylko Feliks zorientował się, że to nie rajdowiec siedzi teraz na

motocyklu z numerem 13. WAF 3825 jechał oszołomiony w chmurze kurzu i ryku motorów, a za nim biegli Feliks i SAE 7271. Inni zawodnicy potrącali ich, wpadali na biegnących.

Nie minęło wiele czasu i motocykl nr 13 leżał znów koło drogi. Do szkoły, w której zainstalowano punkt sanitarny, przyniesiono na noszach obydwu przybyszów z Kosmosu.

- Panie doktorze! - To nie są motocykliści! - krzyknęła przeraźliwie pielęgniarka.

Doktor nachylił się nad nimi i pomyślał, że chyba oboje mającą. Halucynacja? Delirium? Wczoraj wypił trochę bimbrowu u pacjenta, więc może... Jest przemęczony. Jeden z niedużych dziwnych stworów podniósł się, wyjął z ukrytej kieszonki zieloną pastylkę i łyknął. Dotknął drugiego. Tamten też się podniósł, też wyjął z kieszonki pastylkę, łyknął.

Pielęgniarka jęknęła, zamknęła oczy i wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć. Nie zrobiła tego jednak, uciekła. Zbliżyła się natomiast pani Teresa.

- Ach, to oni, - powiedziała.

- Kto ONI?

- Ci z latającego talerza, nic nie wiesz?

Lekarz patrzył to na jednego, to na drugiego i nie mógł już wydusić z siebie ani słowa. Nauczycielka wprawdzie również nie widziała jeszcze SAE 7271 i WAF 3825, lecz dzieci przyniosły jej wczoraj do szkoły mnóstwo informacji o nich oraz o pojeździe na łące. Powiedziała więc:

- Dzień dobry. Mam nadzieję, że nic się panom nie stało. To jest pan doktor, który może udzielić pomocy medycznej. Ja jestem nauczycielką, a ten budynek to jest szkoła. Dzieci mówiły, że panowie znają język polski...

- Dzień dobry - odezwał się jeden z nich. - Dziękujemy za pomoc medyczną, nie jest nam potrzebna.

Doktor przyszedł już do siebie i patrzył łapczywie na zielone ciała: ciekawe byłoby ich zbadać... czy wszystkie organa mają jak ludzie? czy mają krew, serce, płuca, żołądek, nerwy, żyły, kości, stawy, skórę, wątrobę, pęcherz i kiszkę stolcową? A kość ogonową? - do dziś niestety nie zna pełnej odpowiedzi na te intrygujące pytania.

A w sobotę przed ślubem swego syna z Balaskówną stary Maciej zaprowadził Zielonych na plebanię. Proboszcz spacerował po ogrodzie, oczekując na zapowiedzianą wizytę.

- Jesteśmy, księżę proboszczu!

SAE 7271 i WAF 3825 stali nieśmiało przy furtce. Ksiądz zbliżył się ostrożnie, nałożył okulary, oglądał ich od stóp do głów, en face i z profilu. Nic nie mówił, oni też. Lekki wiaterek poruszał gałęziami drzewek owocowych, słońce schowało się za chmurę. Pachniały róże i nasturcje. Maciej przerwał przeciągające się milczenie:

- Nasi goście z Kosmosu zostali zaproszeni na ślub i na wesele, więc pomyślałem, że ksiądz proboszcz powinien ich zobaczyć i poznać.

- Słusznie, naturalnie, oczywiście - zgodził się ksiądz. - Skoro jutro mają przestąpić próg Domu Bożego, powinniśmy się poznać, porozmawiać...

SAE 7271 odezwał się:

- Bardzo się cieszymy, że możemy poznać osobiście przedstawiciela najwyższej władzy na Ziemi.

- O nie - zaproponował proboszcz - mylicie się, władza Kościoła nie jest władzą ziemską!

- Nie Ziemską? - zdumieli się goście nie z tej Ziemi.

- Mówiłem wam przecież, tłumaczyłem - wtrącił szybko Maciej, przysłuchując się pilnie rozmowie.

Wciąż stali w ogrodzie.

- Wejdźcie - zaprosił do wnętrza plebanii proboszcz - a wyjaśnię wam wiele spraw, których nie znacie i nie rozumiecie. Słyszałem też, że poznaliście się na smaku dobrego jedzenia...

Maciej zatarł ręce, bo kuchnia u księdza proboszcza lepsza była niż w „Zajeździe pod Fartuszką”.

Tak zaczął się maraton gastronomiczny WAF 3825 i SAE 7271, maraton który osiągnął szczyt w domu Balasków dnia następnego.

Jedząc znakomite zakąski i dania, podziwiając wspaniale zastawione stoły, pełne smakowitości półmiski i wazy, słuchali z pełnym zdziwieniem narzekań: że nic nie ma, niczego nie można dostać, w ogóle jest coraz gorzej. Opowiadano im, jak to kiedyś Polacy jadali! Stuletnia babcia Balaskowa wspominała swoje wesele, o którym podobno mówiono przez wiele lat w Babulewie i okolicy. Dziś z uczestników tego wesela została wśród żywych tylko ona, niegdysiejsza panna młoda.

Zaś panna młoda dzisiejsza, zaróżowiona, ożywiona, podniecona cieszyła się, że na jej ślubie są wśród gości nawet piloci latającego talerza. Będzie o czym mówić, będzie co wspominać! W Babulewie Dolnym wszyscy już wprawdzie przywykli do Zielonych Ludzików, także dzieci - ale jednak takich gości nie miała nawet babcia na swoim słynnym weselu!

Wśród licznych toastów, które wznoszono, życząc zdrowia i szczęścia parze młodych, ich rodzicom, szwagrom i wujom, księdzu proboszczowi, przedstawicielom władzy ziemskiej z Naczelnikiem Gminy na czele, nie zabrakło też toastu na cześć WAF 3825 oraz SAE 7271. Próbowali jeszcze wtedy pić wódkę, która im ani smakowała, ani nie działała na nich.

- Co to jest? - spytał ciekawie WAF, biorąc do ręki butelkę octu i wachając ją z upodobaniem.

Ocet służył do przyprawiania nówek w galarecie.

- Tego się nie pija! - powstrzymał gościa nie z tej Ziemi Maciej, ojciec pana młodego.

A jednak... Właśnie wtedy, u Balasków, WAF i SAE spróbowali trochę, potem więcej, wreszcie upili się po raz pierwszy radośnie octem.

Ksiądz przed opuszczeniem wesela skarcił ich:

- Mili moi, staracie się przyjąć zwyczaje mieszkańców Ziemi, wiedzcie jednak, że nie wszystkie zwyczaje są godne pochwały. Ludzie są, niestety grzeszni, a nieumiarkowane picie nawet na weselu jest brzydkim występkiem!

Także nauczycielka, pani Teresa, starała się wpłynąć na pilotów Cosmogonium 494. Sama wypila niewiele alkoholu i wkrótce wyszła, prosząc trzeźwego jeszcze agronoma (doktora na weselu nie było) o odprowadzenie jej do domu. A toasty nie ustawały, na stołach pojawiały się wciąż nowe butelki. WAF 3825 i SAE 7271 wykończyli cały ocet, jaki był w domu gospodarzy, więc kierowniczką sklepu skoczyła do magazynu po jeszcze jedną butelkę specjalnie dla nich.

Wieść o tym się rozeszła i odtąd w każdym domu, goszczącym przybyszów z Zielonej Planety, dbano o to by nie zabrakło czasem octu. Po tygodniu sklep Samopomocy Chłopskiej w Babulewie Dolnym musiał specjalnie sprowadzać skrzynkę octu z miasta.

I znowu SAE 7271 przed Dostojnymi. Nie jest już tak niepewny, jak podczas pierwszego przesłuchania:

- Żadnych szczegółów technicznych, które umożliwiłyby Ludziom skopiowanie naszego Cosmogonium, nie zdradziliśmy. W Babulewie jest zresztą tylko jeden inżynier agronom i jeden doktor medycyny, więc nie zrozumieliby.

- Mówisz nieprawdę, młodzieńcze. Mechanik z Kółka Rolniczego został dopuszczony do wszystkich mechanizmów pojazdu!

- Tak... Wydawało się nam, że pomoże odnaleźć przyczynę awarii. Chcieliśmy przecież uruchomić Cosmogonium 494... To był błąd. Ale on nie pojął istoty działania naszych mechanizmów.

- Wiemy, że Ludzie nie dorośli jeszcze do naszej cywilizacji. Jednak instrukcje surowo zabraniają wtajemniczania ich...

- Tak, to był błąd.

- „Błąd” to określenie zbyt delikatne - mówi ostro Dostojny Profesor ZOZ 99.

SAE 7271 chwilę milczy. Dostojny Szef Zarządu odzywa się:

- Zostawmy tę sprawę, jest oczywista. Wyłumacz nam teraz coś innego... Słyszeliśmy tu, że pracowaliście obaj na Ziemi w celu uzyskania tak zwanych pieniędzy. Inaczej mówiąc zarabialiście. W jaki sposób i po co?

- Odpowiem najpierw na pytanie „po co?” - zaczyna pilot, spojrzawszy na szereg siedzących w fotelach zielonych postaci. - Jak wiadomo, pieniądze służą na Ziemi do nabywania różnych rzeczy, z których u nas każdy korzysta bez opłat i bez ograniczeń. Żeby zjeść czy napić się, przeczytać coś czy gdzieś pojechać, trzeba płacić. My przebywaliśmy pośród Ludzi, jedliśmy nawet wraz z nimi i piliśmy, a oni za nas płacili pieniędzmi...

- W „Zajeździe pod Fartuszką” - dorzucił jeden z Dostojnych.

- Tak - odpowiada SAE 7271 udając że nie zauważa ironii. - Zwyczajem tamtejszym, przypuszczam, że nie tylko w Babulewie, jest, że gdy jeden osobnik płaci za drugiego dziś, jutro powinien zapłacić drugi. Podobnie gdy dostaje się od kogoś prezent, należy przy najbliższej sposobności dać inny prezent tej osobie. Kiedy idzie się do kogoś, trzeba mu zanieść chociaż kwiaty, albo cukierki dla dzieci. Na to wszystko właśnie były nam potrzebne pieniądze. Zarabianie ich nie było trudne. Emitowaliśmy fale odstraszające ptaki z sadów, albo powstrzymywaliśmy pszczoły od kłosa przy wydobywaniu miodu z ula.

Kilku Dostojnych poruszyło się niecierpliwie, nie rozumiejąc wielu szczegółów. Ale SAE nie zwraca na to uwagi:

- Zastępowaliśmy popsutą maszynę do liczenia w Urzędzie Gminnym. Oświetlaliśmy wieczorem miejscowość gdy Stopień Zasilania wyłączył prąd. Uruchomiliśmy automatyczną dojarę w oborze Balasków... nie, przepraszam, za dojarę nie wzięliśmy pieniędzy, ponieważ to było po weselu. Mechanik nie mógł jej uruchomić, bo brakowało części zamiennych. Nie wzięliśmy także pieniędzy za ugaszenie pożaru po zabawie w remizie. Zresztą Straż Ogniowa też gasi bez pieniędzy, bo jest społeczna.

Rozpędził się, mówi i mówi.

- Dużo w tych opowiadaniach spraw niejasnych - odzywa się wreszcie milczący dotychczas Dostojny Adiunkt, zwracając się do Dostojnego Szefa. - Myślę, że oni powinni dla celów naukowych wszystko dokładniej objaśniać.

- Tak zrobimy - zgodził się Dostojny Szef Zarządu - Instytut Ziemi opracowuje już zestaw zagadnień i pytań dla tych młodzieńców. My, jako Zarząd Planety, możemy definitywnie zakończyć rozmowy z nimi.

SAE 7271 drgnął, patrzy pytająco na Dostojnego Szefa. A najwyższy autorytet Zielonej Planety kontynuuje głosem spokojnym i zdecydowanym:

- Ocenimy wasze zachowanie podczas tego niefortunnego pobytu na Ziemi i postanowimy, jak z wami postąpić. Decyzja zapadnie jutro. Możesz to przekazać swojemu koledze. Gdzie się teraz znajduje WAF 3825?

To pytanie skierowane jest do najbliższego superautomatu, który natychmiast odpowiada:

- WAF 3825 znajduje się na łące w rezerwacie nr 1 i bawi się z ptakami bongo.

- Bawi się z ptakami bongo.. - mruknął ironicznie Dostojny Profesor ZOZ 99.

„Na pewno nigdy już nie pozwolą nam lecieć na Ziemię” - pomyślał smutno SAE 7271 - „Na pewno...”

U Naczelnika Gminy w jego nowym domu byli już następnego dnia po tym, jak zdradzili się w „Zajeździe pod Fartuszką” z umiejętnością mówienia po polsku.

- Przyjdźcie obowiązkowo - prosił - żona i dzieci chcą was koniecznie poznać...

Czekali na nich uroczyście ubrani, także najstarsza córka z mężem, starszym synem Balasków. Młodsza soltysówna puściła im płyty „Boney M” i „Pink Floyd”, a Edek pokazał książkę z fotografiami

rakiet kosmicznych i satelitów. Gospodarz podsunął wspaniałą pamiątkową Złotą Księgę, do której wpisywali się ważniejsi goście (czasem nawet zagraniczni) - ale WAF i SAE jeszcze tego dnia nie potrafili czytać i pisać po polsku, wykonali więc tylko rysunek i kilka zygzaków.

Pani naczelnikowa wyciągnęła przy kawie i cieście z jabłkami album rodzinny. „To nasza najstarsza, gdy jeszcze była malutka...” - objaśniała - „to my wszyscy na Wawelu, to młodsza mówi wierszyk na akademii, to nasz najmłodszy Edek na obozie harcerskim...” - i tak dalej, i tak dalej. Czasem było widać na zdjęciach zbiorowych trzy dziewczynki.

- Pani ma trzy córki i jednego synka? - spytali.

- Tak - odpowiedziała niechętnie i zmieniła temat: - Jak ten czas leci, wkrótce będziemy dziadkami!

- He, he - odezwał się po raz pierwszy zięć.

- No proszę - zachęcali gospodarze - próbujcie kawy i ciasta.

Trochę spróbowali przez grzeczność, ale w jedzeniu rozsmakowali się dopiero kilka dni później. Pokazano im cały dom, w którym była nawet łazienka (trzecia w Babulewie - przedtem miał tylko ksiądz proboszcz oraz Balaskowie). Młodsza córka, w której pokoiku na ścianach były fotosy Beatlesów i Rolling-stonesów, oświadczyła, że chce zostać artystką lub pielęgniarką.

- Głupoty' - skwitował to wyznanie ojciec.

Wreszcie Edek włączył telewizor i goście z Kosmosu po raz pierwszy oglądali program. Pojazdy kosmiczne z Zielonej Planety niejednokrotnie przechwytywały i rejestrowały fragmenty audycji telewizyjnych w różnych językach Ziemi, były to jednak jakieś chaotyczne kawałki, których nie potrafili nawet najwybitniejsi specjaliści z Instytutu Ziemi rozszyfrować. WAF 3825 i SAE 7271 mogli prosić o wyjaśnienia prawdziwych Ludzi.

Obraz, ich zdaniem, był zbyt płaski i niewielki, ale mimo prymitywu technicznego tych urządzeń można się było sporo dowiedzieć o obyczajach ziemskich. W jednym kraju walki z rebeliantami, dużo zabitych; drugi kraj napadł na trzeci, dużo zabitych; w czwartym kraju przewrót, dużo zabitych. Widać strzelających ludzi, słysząc wybuchy. Człowiek na ekraniku siedzi za stołem, spogląda co chwila na leżącą przed nim kartkę i bardzo szybko mówi. W kilku innych krajach napadnięto na ambasady, w jeszcze innych podłożono bomby.

- Tak, to jednak prawda, co mówią u nas o Ludziach - stwierdzili.

Dobrze, że akurat Wielkiej Wojny nie ma. Ale w telewizorze wciąż można oglądać filmy o wojnach, powstaniach, rewolucjach; trup padał gęsto, wybuchy, strzelanina. Albo o bandytach, policjantach i detektywach - i też strzały, a ponadto nieustanne bicie się wzajemne.

- Nie myślcie, że u nas w Babulewie Dolnym też dzieją się takie rzeczy - uspokajał ich Naczelnik Gminy. - Tutaj jest spokojnie!

Od tego dnia prawie codziennie SAE i WAF to w tym, to w innym domu oglądali telewizję. Lubili kawałki historyczne, które zresztą w niewielkim tylko stopniu były zbieżne z historią Ziemi, opracowaną przez Instytut na Zielonej Planecie. Lubili też programy krajoznawcze, pokazujące różne państwa i kontynenty. A najbardziej filmy miłosne - tematyka zupełnie dotychczas nieznaną, ekscytującą, wciągającą.

Jak poinformowali ich niektórzy, w telewizji te rzeczy są pokazywane dość ogłędnie, w sposób niepełny.

- No tak - powiedział Pyda i wysączył ze swojej szklanki resztą wermutu marki „Vinprom”.

Agronom, który zakończył właśnie czytanie Zielonym pornograficznego kawałka z nowej książki znanego polskiego pisarza, wyciągnął drugą butelkę. Siedzieli u niego w pięciu: SAE, WAF, Pyda, Koziółek i on sam. A miał nie tylko książki ze szczegółowymi opisami czynności mężczyzn i kobiet w łóżku, ale także sporo rycin i fotografii ó tej tematyce. Sąsiad Pyda i radny Koziółek oglądali już nieraz

zbiory inżyniera.

- Więc powiadacie, że wy tych rzeczy nie znacie? - pytali wciąż od nowa gości z Kosmosu.

Było to dwa tygodnie później, więc goście z Kosmosu już się trochę osłuchali, sporo zrozumieli.

Koziółek powiedział:

- Może to się wam wydaje śmieszne, ale sprawy seksu są na Ziemi bardzo ważne i skomplikowane. Jesteśmy tu w męskim gronie, więc się nie krępujemy, ale i baby między sobą dużo o tym rozprawiają. Sztuka i literatura od najdawniejszych czasów zajmują się... Rozlej no, kochany!

To ostatnie zdanie skierował do gospodarza, pokazując puste szklaneczki. Inżynier agronom rozlał „Vinprom” do trzech, do dwóch dolał octu, i zaczął nową opowieść:

- Kiedy byłem ostatnio w Warszawie, poszedłem z kolegą do eleganckiego lokalu, który nazywa się „Kaukaska”. Wydaliśmy dużo pieniędzy, ale obejrzeliśmy program artystyczny z tak zwanym strip-teasem. To jest, wiecie, angielskie słowo, które oznacza, że zgrabna i seksowna dziewczyna pomaleńku się rozbiera. Muzyka gra, ona trochę tańczy, zdejmuje z siebie wszystko, i wtedy gaśnie światło...

„To był strip-tease!” - pomyślał WAF 3825, ale nic nie powiedział. Musiał obiecać Marioli, że o jej wstępie w Cosmogonium 494 nikomu nie powie ani słówka.

- Podobno Lolita robiła w zeszłym roku strip-tease w Szczecinie - odezwał się Pyda.

- Nie lubię plotek - obruszył się Koziółek, przyjaciel Naczelnika Gminy.

- Słyszeliście o Lolicie, średniej córce sołtysa? - spytał agronom popijających ocet pilotów.

Pyda zachichotał:

- Oj, Lolita, to ci była...

- Nie lubię plotek! - przerwał zdecydowanie Koziółek.

- To nie plotki, sam wiesz, że to wszystko prawda! - broni się sąsiad Pyda i zwraca się do WAF i SAE: - Mówię wam, dziewczyna taka, że Mariola przy niej to niewiniątka! Młody, stany, byle chłop! Od czternastego roku życia rodzice kombinowali, co z nią począć. Wysłali do miasta do szkoły średniej, ale żeby nie mieszkała w internacie ani na żadnej stacji, tylko u bardzo surowej i pobożnej ciotki, starej panny.

- A ładna była dziewczucha... dokąd tylko poszła, oglądali się za nią dosłownie wszyscy - westchnął agronom.

SAE 7271 i WAF 3825 słyszeli już na ten temat sporo od Feliksa i innych. Młody Pyda pokazywał im zdjęcia Lolity.

- Jak jeszcze mieszkała w Babulewie - ciągnął teraz ojciec Pyda - to nieraz się o nią pobili. Królową balu została. I poezje o niej pisali.

- Nieprzyzwoite poezje-dodaje agronom.-Surowa ciotka też nie upilnowała. Dochodziły do nas wieści, że jest w mieście słynna Lolita z Babulewa Dolnego, tylko nie wiedzieliśmy na pewno czy o córce sołtysa mowa. Na imię ona ma właściwie Bogusia. Ojciec tam pojechał i nie wiadomo dokładnie co się stało...

- Nie wiadomo co się tam stało, ale od tego czasu rodzina o niej ani słowa! Na święta nie przyjeżdża, nawet listów nie pisze. U ciotki oczywiście od dawna jej nie ma! Ze Szczecinem może to i nieprawda, ale niedawno był w Zakopanem na nartach młodszy Balasek i słyszał, że największe powodzenie w „Jędrusiu” i w „Watrze” ma niejaka Lolita. „Ona to czy nie ona?” - myśli Balasek i oczywiście idzie tam zobaczyć Lolite.

- Nie udała się niestety średnia córka - kiwa smętnie głową Koziółek. - A starsza porządna, spokojna, pracowita, o młodszej także nic złego nie można powiedzieć...

Zamyślili się wszyscy.

„Nic złego nie można powiedzieć...” - ale prawdę mówiąc najmłodsza sołtysówna też jakoś dziwnie

niepokoi mężczyzn i chłopaków. Te jej spojrzenia, uśmieški... Buzię ma dziecinną, ale kształty całkiem już kobiece, w niewinnych oczkach isierki diabelskie się zapalają. Co to będzie za rok czy za dwa? Nawet piloci z Cosmogonium 494 mają co do tego wątpliwości.

Agronom rozlał resztę z drugiej butelki wermutu i spytał:

- Skoczyć po jeszcze jedną?

- Ale ja nie skończyłem opowiadać - przypomniał sobie Pyda. - Więc młody Balasek przygląda się dziewczynie i myśli: ona to czy nie ona? Lolita też mu się przyjrzała, podchodzi i prztyczka w nos daje. „Powiedz wszystkim, że do Babulewa jeszcze wrócę” powiada, „ale nie PKS-em, kochany, tylko mercedesem albo volvo, z kierowcą w liberii!”

Autobus PKS przyjeżdża z miasta wojewódzkiego o godzinie 11.20. W pierwszych dniach po zabraniu WAF 3825 i SAE 7271 przez Super-Cosmogonium 7, przyjeżdżało tym kursem mnóstwo ciekawskich, którzy rozpytywali o kosmicznych pilotów, wypijali piwko w zajeździe, i wracali PKS-em o godzinie 16.10.

Inni przyjeżdżali samochodami. Dopiero po tygodniu zjawili się UFO-lodzy, którzy dowiedzieli się z gazet, radia i telewizji o wizycie gości z Zielonej Planety.

- Dlaczego nas nikt nie zawiadomił, kiedy ONI byli? - denerwowali się. - Jeszcze nigdy nigdzie tak długo nie parkował spodek latający! Jeszcze nigdy nigdzie piloci UFO nie opowiadali tak dużo o sobie!

To są ludzie, którzy naprawdę wierzą mieszkańcom Babulewa Dolnego, i naprawdę rozpaczają, że nie mogli się spotkać z dwoma gośćmi nie z tej Ziemi. Pokazują rysunkowe podobizny Zielonych pytając czy tak właśnie wyglądali. Złością się, że nikt nie fotografował.

- Fotografował, fotografował Wojtek Pyda talerz na łące. fotografował ich przed talerzem, przed Zajazdem i z dziećmi na boisku szkolnym - mówią zmartwieni mieszkańcy Babulewa - ale zaświetlił mu się cały film!

Ojciec Wojtka Pydy wzdycha:

- Pacan z niego, zarobić mógłby teraz na tych zdjęciach furę złotych... Mówiłem mu, żeby uważał, żeby nie popsuł! Miał tam WAF-a z Mariolą na ławeczce, był SAE z agronorem grający w szachy, i ja pijący piwo z obydwojoma... Był WAF udający stracha na wróble i SAE w pasiece Naczelnika Gminy, całe 36 fotografii!

- I popsuły się całkiem?

- Całkiem!

- A nikt więcej zdjęć nie robił?

- Nie... chyba że na targu...? Zdaje się, że robili zdjęcie u takiego fotografa, co ma malowane tło, samolot. Wkłada się tam głowy w wycięte dziury.

UFO-lodzy męczą wszystkich, żeby opowiadali, ale mało komu się chce. W ciągu ostatniego tygodnia każdy niemal mieszkaniec Babulewa opowiadał i opowiadał o latającym talerzu i o jego zielonych pilotach, o lądowaniu Super-Cosmogonium 7 oraz o ostatnich chwilach pobytu WAF i SAE na Ziemi. Teraz nawet stary Maciej, największy gaduła w gminie, mówi skrótami i bez większego zaangażowania:

- Na zabawie w. remizie rozrabiali chłopcy z-Babulewa Górnego. Wtedy ONI powiedzieli „u nas żadnej agresji się nie stosuje, ale jak trzeba to trzeba”, no i bzzz, bzzz, paf-paf-paf! I spokój! Tamci potem nie wiedzieli, co się stało. Tak właśnie było.

Na tej zabawie prawdę mówiąc rozróbek różnych było więcej. A Feliks zrobił awanturę Marioli. Okazało się, że przed dwoma dniami podpatrzył ją i WAF 3825, idących wieczorem we dwoje do Cosmogonium 494. widział, jak idąc piła wino z butelki; wiedział, że nie było wtedy w talerzu SAE 7271...

- Jakie masz prawo do scen zazdrości? - kpiała z niego dziewczyna i uczyła tańczyć gości z Kosmosu.

Do tańca przygrywała orkiestra strażacka, a śpiewała córka naczelnika Straży, wyróżniająca się fryzurą „Afro”.

- „A najwięcej mi żal kolorowych jarmarków” - śpiewała między innymi.

Zabawa miała wiele atrakcji, a ostatnią z nich był mały pożar. Mało kto wie o tym, bo mało kto o tej porze był przytomny, ale to ONI błyskawicznie ugasili ogień w remizie.

- W jaki sposób? - pytają UFO-logowie.

Nie wiadomo w jaki. W tajemniczy.

Potrafili się także przenosić z miejsca na miejsce. Zniknąć i w tej samej chwili pojawić się gdzieś indziej, całkiem nawet daleko.

- Teleportacja! - krzyknął pan z brodą - Naprawdę? Widzieliście?

- ONI to robią tylko w wypadkach wyjątkowych - odpowiada wymijająco agronom. - To jest szkodliwe dla zdrowia, nie wolno nadużywać... teleportacji... Przepraszam, muszę iść, bo przyjechał inspektor z województwa.

Badacze Niezidentyfikowanych Obiektów Latających męczą i męczą każdego w Babulewie:

- Naprawdę byliście w środku talerza? Wchodziliście niby nic do ICH pojazdu latającego?

- No pewnie, niejeden tam chodził: i agronom, i Feliks, i mechanik, i dzieci nieraz bywały, i panny nawet. Na przykład Mariola, Dorota... to żadna tajemnica... Pani nauczycielka także...

- Nie bała się pani - pytają UFO-logowie - że nagle polecą, że wezmą panią w Kosmos jako zakładniczkę?

- Ależ skąd! Do głowy mi nic takiego nie przyszło!

Pani Teresa nie chciała już nic mówić, wyznaje jednak pod wieczór, po kieliszku wina:

- Piszę książkę o pobycie SAE 7271 i WAF 3825 w Babulewie Dolnym. Z tej książki dowiedzą się panowie wszystkich prawdziwych szczegółów, bez żadnej fantazji i upiększeń. Na tytuł jeszcze się nie zdecydowałam, może dam, „Wizyta nie z tej Ziemi...” Ucieszyli się:

- Cudownie! Błagamy, niech pani przyśle rękopis na adres, który pani podamy! My załatwimy sprawę z wydawnictwem! Kiedy pani skończy pisać?

Pani Teresa właściwie wcale jeszcze pisać nie zaczęła, ale zdopingowana zainteresowaniem UFO-logów postanawia zabrać się do książki od jutra.

Pan z brodą zagadnął o przybyszów także Stanisława. Stanisław splunął trzy razy przez lewe ramię i wrzasnął:

- Stwory obrzydłe! Z piekła przyszli i piekło ich pochłoneło!

SAE 7271 odnalazł przyjaciela w rezerwacie.

WAF 3825 nie bawi się już z ptakami bongo, lecz przygląda się przez pancerną szybę Belfegorowi. Smok prehistoryczny leniwie grzebie potężnym, zębatym ogonem w piachu. W oddali spoza pagórka wysunęła cienką, długą szyję Godzilla... Chyba będą się biły. Największą atrakcją rezerwatu są regularnie powtarzające się wielogodzinne walki między dwoma potworami.

Pilot kosmiczny obrócił się i uśmiechnął pogodnie do kolegi. Pyta:

- Co słyhać?

- Zarząd nie będzie już nas przesłuchiwał.

- Dlaczego?

- Dostojni uważają, że wszystko zostało powiedziane. Jutro zadecydują, jak nas ukarać.

- Pies im mordę lizał.

- Oni słyszą! przypomina SAE 7271.

- Prawda, słyszą nas. Stół z powyłamywanymi nogami... pamiętasz, kto uczył nas tak mówić? Sołtysówna. Rozmawiajmy po polsku.

- Superautomaty tłumaczą. Stół z powyłamowanymi nogami!

- To zaśpiewajmy! - proponuje WAF 3825.

Za szybą pancerną niezdarzy, ale potężny Belfegor odwraca się powoli w stronę Godzilli, która wygrzebała się na szczyt pagórka. Będzie walka. Przed szybą dwaj piloci śpiewają:

- „Hej, idę w las, piórko mi się migoce,

Hej, idę w las, dudni ziemia, kiej kroczę!”

Ryku potworów przez szybę nie słychać; jeśli ktoś chce posłuchać, może włączyć jeden z głośników kierunkowych. W tej chwili nie ma tu nikogo oprócz SAE 7271 i WAF 3825, którzy śpiewają, obróciwszy się plecami do Godzilli i Belfegara.

W pobliżu widać jaskinię, której wlot również blokuje potężna szyba pancerna. (Właściwie są to niewidzialne zasłony, zabezpieczające przed groźnymi eksponatami). Za nią kiwa się gigantyczny Pająk-Dziwołag na czerwonych nogach,” w fioletowym hełmie. Łakomie patrzy na Zielonych: jego przodkowie jadali takie mięso, on karmiony jest wyłącznie preparatami chemicznymi.

Ruchomą aleją zbliża się samotny gość, zwiedzający rezerwat nr 1. Uśmiecha się niepewnie do śpiewających pilotów, staje w pewnej odległości od nich i przygląda się zażartej walce prehistorycznych potworów. Belfegorowi udało się właśnie walnąć zębatym ogonem w długą szyję Godzilli, która ucieka z rykiem.

SAE i WAF przestali śpiewać i odchodzą. Nie jadą aleją, idą obok poruszając nogami - tak, jak chodzili po Babulewie i okolicy. Rezerwat jest ogromny, a’ do innych, łagodnych zwierząt można się zbliżać. Bardzo towarzyskie są Patafiany Złociste lub Srebrzyste, których były kiedyś miliony na Zielonej Planecie. Dziś są tylko w rezerwach, zresztą podobnie jak wszystkie inne stworzenia. Poza rezerwami nie ma nawet żadnych ptaków ani robaków.

W osiedlach mieszkaniowych hodowane są wyłącznie owady śpiewające oraz łagodne, kolorowe rośliny. Łagodne, bo w odległych czasach postrachem planety były rośliny drapieżne, dziś utrzymywane w rezerwach.

Groźne i inteligentne Paszczęki o mało kiedyś nie stały się gatunkiem panującym. Było to wtedy, gdy zdobyły umiejętność poruszania się. Historia walki z nimi wypełnia całe Muzeum Wojen z Paszczękami. Teraz można się im bezpiecznie przyglądać poprzez niewidzialną zasłonę elektromagnetyczną. Są to, niestety, ostatnie egzemplarze, ponieważ przestały się rozmnażać i popełniają nawet samobójstwa. Nic nie pomogło, że oddano im do dyspozycji ogromny teren w rezerwacie Nr 2, stwarzając - wydawałoby się - idealne warunki.

SAE 7271 zbliżył organ powonienia do przyjaciela, wącha i zastanawia się, skąd zna ten zapach.

- Przemysławka! - woła wreszcie radośnie.

WAF 3825 kiwa głową potwierdzająco.

- Mam jeszcze odrobinę - mówi i wzdycha.

- A ja - SAE 7271 rozgląda się i zniża głos - mam schowaną landrynkę!

Z ostatnim dniem pobytu na Ziemi to było tak:

W sobotę po południu w Babulewie Dolnym było jakoś cicho i spokojnie. Poprzedniej soboty odbywała się głośna zabawa w remizie, dwa tygodnie wcześniej wesele u Balasków - a tym razem nic specjalnego się nie działo. Po dzienniku miał być w telewizji serial, na który szykowały się kobiety oraz dzieci, panowie natomiast ściągali powoli do „Zajazdu pod Fartuszką”.

Pogoda była niewyraźna, wiatr jakby przed burzą.

- Oj, przyda się trochę deszczu, przyda, bo ziemia sucha - mówiono.

SAE i WAF także wpadli do Zajazdu i napalili się na pieczeń z dzika, którą właśnie jadł radny Koziołek. Przysiedli się do niego i zamówili u Marioli dwie - niestety już tych pieczeni nie zjedli. WAF

3825 zdążył tylko wypić setkę octu. Stuknął się właśnie z Koziołkiem, który pił „Turówkę”, gdy pojawił się ten mały talerzyk.

- Trzeba zamknąć okno, bo wiatr coraz większy - powiedział właśnie chwilę przedtem do Marioli stary Maciej. Nie zdążyli jednak zamknąć.

Dzieci wiedziały już nieco wcześniej o lądowaniu Super-Cosmogonium 7. Wielki ten pojazd latający pojawił się nad Wołową Górką, kilka minut tkwił nieruchomo w powietrzu, po czym powoli opuścił się na zieloną, ukwieconą łąkę obok Cosmogonium 494. Widział to również Feliks, który pędził już swoje stado do Babulewa. Gniewał się ostatnio na WAF-a z zazdrości o Mariolę, przemyślał nawet o tym, żeby się jakoś na nim oraz na dziewczynie zemścić. Domyślił się od razu, że wielki talerz zabierze stąd dwóch Zielonych i nie wiedział teraz: czy się cieszyć, czy żałować SAE i WAF?

Gdy schodził w dół do Babulewa, minął go cicho maleńki talerz. Owce nie przstraszyły się wcale. Dzieci widziały jak z Super-Cosmogonium wylatywało tych małych talerzy więcej. Kilku chłopców pobiegło w stronę „Zajazdu pod Fartuszką”, aby uprzedzić o tym dwóch znajomych pilotów; reszta dzieci obserwowała z bezpiecznej odległości dalszą akcję Oddziału Specjalnego.

Kilką automatów opuściło Super-Cosmogonium 7 i weszło do stojącego w pobliżu mniejszego pojazdu. Po chwili wielka łapa wysunęła się z dużego talerza i otworzyła ścianę Cosmogonium 494. Bardzo szybko różne urządzenia zaczęły znikać w wielkim pojeździe.

Zanim SAE 7271 i WAF 3825 przyszli na łąkę, eskortowani przez maleńki talerz, ich pojazd był już całkowicie zdemontowany. Za dwoma zadomowionymi w Babulewie Dolnym Zielonymi Ludzikami maszerowali spieszenie: Koziołek, stary Maciej, ojciec i syn Pydowie, agronom, mechanik z Kółka Rolniczego, listonosz, naczelnik Straży Pożarnej i parę innych osób.

Wkrótce dogoniły ich Dorota i pani Teresa, wreszcie dołączyli Naczelnik Gminy i sierżant Kłoss.

Potem na skraju łąki za Wołową Górką zebrali się niemal w komplecie mieszkańcy Babulewa, nawet cała rodzina Balasków. Wszystkie dzieci też tam były, prócz niemowląt.

W „Zajeździe pod Fartuszką” został tylko agent z Mariolą, a po zapędzeniu owiec do zagród i odświeżeniu wodą kolońską marki „Brutal” pojawił się Feliks. Nie odezwał się do stojącej przy oknie Marioli, o piwo poprosił agenta.

Szef podszedł do bufetu, podał mu szybko butelkę i stanął przy oknie obok kelnerki.

- Może zamkniemy i też tam pójdziemy? - odezwała się do szefa dziewczyna.

- Jest gość.

Feliks pił piwo, demonstracyjnie odwrócony od okien.

Wiatr ucichł. Niebo nad Wołową Górką zaczęło się rozjaśniać, zrobiło się pomarańczowe, pojawiły się błyski. W oddali unosił się pionowo w górę wielki talerz latający.

- Jejku! - jęknęła Mariola.

Feliks zerknął przez ramię i znów się odwrócił. Pojazd z Zielonej Planety unosił się najpierw powoli, potem jakby zatrzymał się na moment - i nagle poszybował przedziutko w ciemniejące niebo.

- Już po wszystkim. Ciekawe, czy WAF i SAE złamali się i też polecieeli? - zastanawiał się zmartwiony agent.

- Może zostali... - powiedziała Mariola, a Feliks:

- Na pewno polecieeli!

Zaczął padać deszcz...

Zanim jeszcze pojazd Super-Cosmogonium 7 odleciał na Zieloną Planetę, na łące rozegrało się kilka scen, które zostały potem szczegółowo opisane przez obecnych tam mieszkańców Babulewa w wielu wywiadach. Naczelnik gminy relacjonował te wydarzenia w następujący sposób:

„Kiedy dobiegłem wraz z komendantem MO, dwaj nasi goście jeszcze nie wsiedli do wielkiego

pojazdu latającego. Stali pośrodku łąki, a głos z Super-Cosmogonium rozstawiał ich surowo po kątach. Nie rozumiałem oczywiście, bo mówił ich językiem, ale ton był ostry, a WAF i SAE słuchali ogromnie przygnębieni.

Obejrzeni się na nas. Na skraju łąki zgromadziło się wielu mieszkańców naszej miejscowości, i wszystkim było żal, bo polubiliśmy chłopaków. Więc zdecydowałem się przemówić. Tamci, co przylecieli, nie wychodzili ze swego pojazdu; słyhać było tylko ten głos. Zrobiłem kilka kroków do przodu i powiedziałem tak:

- Jako Naczelnik Gminy mam zaszczyt powitać was na terenie Babulewa Dolnego. Wszyscy przybysze z Zielonej Planety są u nas mile widziani, a szczególnie SAE 7271 oraz WAF 3825. W imieniu tutejszego społeczeństwa zapewniam was, że połączyły nas z nimi węzły szczerzej i bezinteresownej wzajemnej przyjaźni. Jeżeli wyrażą życzenie pozostania na Ziemi na stałe, zapraszamy ich z całego serca!

Kiedy zacząłem mówić, głos z wielkiego pojazdu ucichł, tylko bzyczały cicho powracające z różnych stron małe talerze. Potem usłyszeliśmy po polsku:

- Witamy Naczelnika Gminy i mieszkańców Babulewa Dolnego. Jako Naczelnik Pojazdu Specjalnego Super-Cosmogonium 7 dziękuję za udzielenie gościny naszym pilotom, którzy mieli awarię. Teraz jednak muszą się oni z wami pożegnać i powrócić na swoją planetę.

SAE i WAF odwrócili się do nas i z wielkim smutkiem żegnali się z wszystkimi, a niektórzy jeszcze ich usilnie namawiali, żeby poprosili o azyl i zostali w Babulewie. Myślę jednak, że ci, co patrzyli cały czas przez okienka Super-Cosmogonium nie pozwoliliby na to absolutnie. Musieli mieć taki rozkaz od swojego dowództwa czy rządu. Nie wyszli z wielkiego talerza wcale, tylko posyłali do Cosmogonium 494 roboty, które zabierały stamtąd wszystko. To były ich państwowe rzeczy i mieli do tego prawo.

Nie było rady, i ja także uściskałem się serdecznie z chłopakami. Kelnerka Dorota rozplakała się rzewnie i nie mogła się długo uspokoić, a dzieci wołały:

^ Zostańcie! Zostańcie u nas!

_ Ale oni jako obywatele Zielonej Planety musieli podporządkować się swoim władzom. Głos znowu się odezwał w ich języku; pewnie Naczelnik popędzał, żeby się pospieszyli. Nasi wciskali im przeróżne drobiazgi jako prezenty na pamiątkę. Ktoś, nie chcę mówić kto, przyniósł nawet butelkę octu, i dał ukradkiem WAF 3825 - może udało mu się przeszmułować na Zieloną Planetę. Nie popieram tego zresztą, uważam, że przepisy są przepisami.

SAE 7271 wygłosił jeszcze wzruszonym głosem kilka słów pożegnania, dziękując nam wszystkim i życząc sukcesów w pracy oraz osobistych. WAF prosił o pożegnanie kelnerki Marioli, która nie mogła się oddalić z „Zajazdu pod Fartuszką” i nie była obecna przy pożegnaniu na łące. Wobec tego zabrałem jeszcze raz głos na zakończenie. Powiedziałem w imieniu mieszkańców Babulewa Dolnego, że będziemy ich zawsze wspominać z głęboką sympatią i dodałem:

- A jeżeli kiedykolwiek tu znów przybędziecie, możecie się spodziewać, że powitamy was jak najlepiej będziemy potrafili. My, i nasze dzieci, a nawet nasze wnuki, gdyby nas już nie stało.

Bo ONI żyją setki lat - i może się zdarzyć, że wrócą dopiero w XXI wieku...

Wzruszenie ogarnęło wszystkich i nawet mężczyźni mieli łzy w oczach. Niestety Naczelnik Super-Cosmogonium 7 niecierpliwił się coraz bardziej, i nasi dwaj przyjaciele musieli wsiąść do tego wielkiego pojazdu kosmicznego. Roboty już były w środku, tylko dwa małe talerzyki krążyły nad łąką. Głos przemówił jeszcze raz po polsku:

- Żegnamy mieszkańców Babulewa Dolnego i prosimy o cofnięcie się z łąki.

Cofnęliśmy się więc, a wtedy niespodziewanie małe talerzyki zniszczyły resztki pojazdu Cosmogonium 494, którego wszystkie urządzenia były już przeniesione do dużego talerza. Nic nie zostało, tylko wygnieciona trawa. Spodeczki wróciły do Super-Cosmogonium i zaczęło się startowanie, które

wyglądało dość efektownie. Huk nawet niewielki, nie tak jak przy odpalaniu naszych satelitów, ale kolorowe światła były ładne.

Machaliśmy wszyscy rękami, lecz czy WAF i SAE nas widzieli, nie wiem..”

Taka była opowieść Naczelnika Gminy o ostatnich chwilach dwóch sympatycznych zielonych pilotów na Ziemi. Zainteresowanych przybyszów z Warszawy i innych miejscowości dzieci prowadzą na łąkę za Wołową Górką, pokazują miejsce na którym stał ICH pojazd, pokazują też miejsce z którego startował wielki talerz Super-Cosmogonium 7.

Śladów żadnych nie ma, padał potem ulewny deszcz.

Są tacy, co wierzą bez zastrzeżeń; inni powątpiewają; jeszcze inni nic nie mówią, ale uważają opowieści mieszkańców Babulewa Dolnego za bajeczki.

Nie ma się czym przejmować; to dotyczy nie tylko opowiadań o UFO. Jedni wierzą w to co słyszą i czytają, inni nie wierzą i już.

Następny dzień ma przynieść decyzję Dostojnego Zarządu: jaka kara spotka WAF 3825 i SAE 7271 za to, że w czasie pobytu na Ziemi rozmawiali po polsku, że opowiadali Ludziom o sprawach, które powinny być przed nimi starannie skrywane, a także za picie octu i tak dalej.

Instrukcje zalecają mieszkańcom Zielonej Planety, by kładli się spać zaraz po Dzwonach Wieczornych, a wstawali wraz z Dzwonami Porannymi. Dwaj przyjaciele i teraz nie zastosowali się do instrukcji. Nie położyli się spać - cały wieczór i całą niemal noc przegadali.

Nie mówią o tym, co ich czeka następnego dnia.

Wspominają:

- A pamiętasz, co mówił stary Maciej: „Wy to macie dobrze, skubańce, ocet kosztuje dziewięć pięćdziesiąt pół litra, a woda szkoda mówić...”

- A pamiętasz jak sołtysówna powiedziała w sadzie przy jabłonce:, Jeśli macie na Ziemi zostać, to tylko w Babulewie! Ludzie tutaj żółci wcale nie posiadają, serca mają otwarte, a dziewczęta z Babulewa, sami chyba widzicie, jak te paczuski w maśle!”

- Feliks też twierdził, że dziewczuchy i czyste powietrze to najlepsze co jest w Babulewie.

- Jeśli tam kiedyś wrócimy...

- Jeśli wrócimy...

- ...niech się wali, niech się pali, urzniemy się wtedy jak nigdy!

- Słuchają nas...

- Decyzja i tak już z pewnością zapadła.

Śpiewają na dwa głosy:

- „Wróciła żoneczka,

Dała mu serwatki,

On serwatki nie lubił,

Poszedł do sąsiadki!”

- Oni tam mają fantazję, mają poczucie humoru...

- Mają...

- Pamiętasz ten kawał, jak mąż wrócił, ha-ha-ha, niespodzianie, a niewierna żona zamknęła strażaka w skrzyni i mąż mówi, ha-ha-ha...

- Albą jak dziewczucha spała w stodole bez majtek, bo było gorąco i przyszedł, ha-ha-ha - nie mogę...

- Pamiętasz, ha-ha-ha, napisy na drzwiach sklepu Samopomocy Chłopskiej?

Na drzwiach sklepu w Babulewie są trzy napisy. Na jednej tabliczce dużymi literami: „Zapraszamy w godzinach 7.00-16.00”. Na drugiej tabliczce mniejszymi literami: „Otwarte od 7.30 do 15.30”. A na trzeciej jeszcze mniejszymi: „Przerwa od 10.30 do 13.00”. Bywały jeszcze przerwy nie zapowiedziane,

na przykład kiedy kierowniczką szła karmić dziecko.

„Zajazd pod Fartuszką” otwiera się zwykle o godzinę później niż głosi wywieszka, za to wieczorem otwarty jest na ogół znacznie dłużej, w zależności od formy i humoru gości, ajenta i kelnera.

- Pamiętasz galaretkę z nówek?

- Pycha!

- A ozorki?

- W Zajeździe nie smakowały mi tylko wątróbki z buraczkami. Ale wątróbka u proboszcza na plebanii - pycha!

- Albo polędwiczka na weselu u Balasków, co?

- Ogóreczki...

- Ciasto z wiśniami...

- Grzybki marynowane w occie...

Wzdychają, milczą dość długo.

W nocy na Zielonej Planecie panuje absolutna cisza. Żadnych spóźnionych śpiewów czy motocykli. Żadnych słowików, chórów żab ani owadów. Nie zbudzi się i nie zapłacze nagle dziecko, nie zaszczeka pies, nie zamuczy krowa, która ma zły sen. Nad ranem nie zapieją koguty i nie będą brzęczały bańki z mlekiem.

- Popłynąłbym łódką po jeziorze, hej! - odzywa się nagle SAE 7271. Popatrzylibym jak agronom łapie ryby, a dziewczęta się pluszcza w wodzie. A potem zagrałbym w szachy, kurczę pieczone!

- Dziewczęta się pluszcza, pluszcza się dziewczęta - mruży WAF 3825.

- A wiesz, że na łące przed odlotem najmłodsza sołtysówna powiedziała do mnie na ucho: „Zostań, nie wracaj na Zieloną Planetę, a pójde z tobą do stodoły!”?

- Kłamiesz!

- Żebyś tak powrotu do Babulewa Dolnego doczekał! A tobie co wtedy Dorota szeptała do ucha?

- Dorota? Ach, Dorota - powiada WAF. - Że zrobi dla mnie wszystko to samo co Mariola! Wszystko to samo. I płakała...

To samo? To znaczy strip-tease? Obaj piloci rozmawiają teraz szeptem.

- Skąd wiesz?

Bio-Gamma mi powiedział.

- Dostojni też na pewno o tym wiedzą.

Masz się czym przejmować...

- To powiedz teraz szczerze, czy pani Teresa robiła ci strip-tease?

- Niestety, nie. Widziałem ją raz w ogródku w kostiumie kąpielowym. Bikini.

- No i co?

- No i nic.

- A panna młoda na weselu?

- Pokazywała tylko, że ma zgrabne nogi.

- To za to krzyczał na nią pan młody?

- Za to. On jest przewrażliwiony.

Znowu chwilę milczą. Potem znów śpiewają:

- „Kujawiak, kujawiaczek,

Oberek, obereczek!

- Być kobietą, być kobietą,

- Oszukiwać, zdradzać, kłamać...

- A najwięcej mi żal

Kolorowych jarmarków,
Blaszanych zegarków,
Pierzastych kogucików,
Baloników na druciku...”

Zielona Noc kończyła się. Pęczniały trzy Księżycy. Trochę, się zdrzemnęli i wkrótce już zabrzmiały melodyjnie Dzwony Poranne. Łyknęli po dwie pigułki. Trzy Księżycy zbladły i znikły.

- Jeśli wrócimy do Babulewa, musimy zbadać, dlaczego Balaskowie gniewają się z agentem - odzywa się ni stąd ni zowąd SAE 7271.

- Są ważniejsze sprawy do załatwienia na Ziemi!

Z niechęcią rozpoczynają zalecaną przez instrukcje gimnastykę poranną (w Babulewie nie zawsze ją robili).

Teraz we wspomnieniach SAE 7271 i WAF 3825 pobyt w Babulewie Dolnym wygląda różowo, bezkonfliktowo, wręcz idyllicznie. W rzeczywistości jednak rozmaicie bywało. Nie tylko Stanisław bał się ich i unikał - początkowo wiele kobiet, szczególnie starszych, uciekało na widok Zielonych Ludzików.

No, potem się przyzwyczaiły. Ale gości z Kosmosu spotykały i inne przykrości. A to ktoś próbował ukraść części z latającego talerza, a to chłopcy z Babulewa Górnego obrzucili Cosmogonium 494 kamieniami. Pojawiały się też różne napisy. Kto namalował „Wynoście się, zielone pokraki!” oraz nieprzyzwoite słowo, którego Feliks nie chciał wytłumaczyć. „Tego na pewno, nie napisał nikt z Babulewa Dolnego!” - twierdził.

Innym razem, gdy dzieci całą gromadką bawiły się wokół latającego talerza, a kilkoro weszło do jego wnętrza, przybiegła matka Karolinki i Darka. Wołała do swoich dzieci, żeby natychmiast szły do domu, i dodała nieco ciszej:

- I więcej tu nie przychodźcie! ONI mogą was porwać!

Potem znowu Feliks pogrywał się na WAF 3825 z zazdrości o Mariolę.

Kiedy byli z agronomek i mechanikiem na targu w sąsiedniej wsi, spotkali wielu ludzi, którzy nie wiedzieli kim oni są. Niektórzy bali się ich, inni (szczególnie pijani) byli agresywni. „Co to za straszyla?” - mówiono. Dzieci biegły za nimi, dotykały ich i popychały. Mała dziewczynka rozplakała się na widok jednego z Zielonych, a matka krzyknęła:

- Zabierzcie tego wampira!

To było przykre.

Na targu nakupowali drobiazgów dla znajomych mieszkańców Babulewa; WAF 3825 kupił właśnie wtedy koraliki dla Marioli, SAE 7271 kogucika dla najmłodszej sołtysówny. Kiedy jej tego kogucika wręczył po południu, siostrzyczka Lolity wyprostowała się i powiedziała nadąsana:

- Dziękuję, ale ja już nie jestem małym dzieckiem!

Oddała prezent bratu, Edkowi. Kogucik gwizdał, kiedy się dmuchało pod ogon.

Agronom i mechanik kupili kosztowny prezent dla nich, do talerza latającego: po mostku nad strumieniem przechodzi małe dziecko, a nad dzieckiem czuwa Anioł-Stróż z długimi, białymi skrzydłami. W głębi, nad strumieniem jeleni i sarna, na niebie słońce. Makatkę zabrał im Oddział Specjalny z Super-Cosmogonium 7.

Inne zdarzenie, które pozostawiło na jakiś czas przykry osad:

Oglądali kiedyś w domu radnego Koziółka film pod tytułem „Inwazja potworów”. Potworami nazywano w telewizorze istoty, podobne nieco do nich. Istoty owe opanowały rzekomo Zieloną Planetę i teraz w latających talerzach (podobnych do pojazdów Cosmogonium) przeprowadzają inwazję na Ziemię. Z okrucieństwem pustoszą wszystko dokoła, żadna ziemská broń nie jest w stanie się im przeciwstawić!

- A może, ONI także są tacy, tylko na razie udają naszych przyjaciół? - odezwała się donośnym

szeptem staruszka, teściowa Koziółka.

- Nie, na pewno nie, mamusiu - uspokajała ją córka, ale również podejrzliwie zaczęła spoglądać na WAF 3825 i SAE 7271.

- To są okropne bzdury! - oburzyli się, widząc na małym ekraniku, jak zielone potwory zabijają ludzi promieniami.

- No, to tylko taka fantazja - tłumaczył gospodarz, oni jednak nie mogli patrzeć obojętnie.

W dalszym ciągu filmu dzielny bohater-Człowiek - wymyślił broń, którą udało się pokonać straszliwych najeźdźców na latających talerzach. Wstrętne potwory ginęły, a część uciekała w popłochu z powrotem na Zieloną Planetę. Agronom mówił potem uspokajająco:

- Na takie filmy, kochani, patrzy się z przymrużeniem oka! No, to znaczy żeby nie traktować poważnie, rozumiecie?

Łatwo mu było mówić „z przymrużeniem oka” „nie traktować poważnie”... Wszyscy Ludzie oglądają takie filmy, a potem dzieci się boją spokojnych i życzliwych pilotów Cosmogonium 494, matki wołają:

- Zabierzcie tego wampira!

A u nich od czasu Wojen z Paszczkami żaden Zielony nawet na najmniejsze stworzenie ręki nie podniósł...

SAE 7271 i WAF 3825 rozmawiali na Ziemi nieraz między sobą na ten temat - teraz jednak, po kilku tygodniach, wspominają tylko zdarzenia miłe.

Wspominają pobyt na Ziemi jako ciąg wesołych, przyjemnych wrażeń i przeżyć, ale przekonani są, że nigdy do Babulewa Dolnego nie wrócą, że kara dożywotniego zakazu lotów kosmicznych jest nieunikniona.

Nie docenili Dostojnych.

Podczas narady Zarządu Zielonej Planety nawet surowy Dostojny Profesor ZOZ 99 powiedział tak:

- Wypowiadałem się ostro o niesubordynacji i lekkomyślności tych dwóch pilotów, przyznaję jednak, że ich doświadczenia z bezpośrednich kontaktów z Ludźmi dały Instytutowi Ziemi interesujące i różnorodne materiały. Zgadzam się także, że te doświadczenia dobrze byłoby jeszcze wzbogacić...

- Może więc przyjmiemy propozycję Dostojnego Konsultanta TIR 37?

- Jeśli nawet przyjmiemy, to ze względów dydaktycznych WAF 3825 i SAE 7271 muszą być ukarani, i to nie w sposób symboliczny!

- Oczywiście - wyprostował się dostojnie Dostojny Szef Zarządu. - Proszę o propozycje kary, myślę, że jednakowej dla obydwu.

- 26 dni w stanie nieważkości - odezwał się Dostojny Docent UFO 13.

- Oraz zakaz korzystania z instytucji rozrywkowych i rezerwatów - uzupełnił Dostojny Profesor ZOZ 99.

- Na jak długo?

- Powiedzmy 55 lat.

- Niech będzie 37 lat - złagodził wyrok Dostojny Szef. - Oraz 11 dni stanu nieważkości. A propozycję Dostojnego TIR 37 akceptujemy jednogłośnie? Nie słyszę sprzeciwów. Nazywamy więc akcję „Operacja Babulewo Dolne Nr 2” i powołujemy jej kierownictwo w składzie: TIR 37, UFO 13, POP 68. Są sprzeciw? Nie słyszę... Dostojny Konsultant TIR 37 poprosił jeszcze raz o głos.

- Zdaję sobie sprawę - powiedział - że przeprowadzenie badań szczegółowych w Babulewie daje nam wycinkowy jedynie obraz życia codziennego na Ziemi. Prawdą jest to, co niejednokrotnie tu Dostojni Koledzy mówili, a mianowicie, że nie można uogólniać bezkrytycznie obserwacji, dokonywanych w jednej miejscowości jednego z wielu państw tej planety. Traktuję to jako pierwszy krok do...

W tym momencie Dostojny Szef Zarządu wstał:

- Wszystko to, co Dostojny Kolega ma zamiar powiedzieć, wiemy. Zebranie uważam za zamknięte. Są sprzeczności?

W Babulewie Dolnym odbywało się w tym czasie długie i burzliwe zebranie Rady Gminnej. Po wnikliwym omówieniu spraw hodowlanych, ośrodka maszynowego, remontu drogi (poruszono też jeszcze raz sprawę dziury w moście na rzece Stryszawce) zaopatrzenia sklepów Samopomocy Chłopskiej i wielu innych problemów Naczelnik Gminy poprawił się w twardym, niewygodnym krześle i rzekł:

- No i ostatni punkt dzisiejszego posiedzenia. Późno już wprawdzie i jesteśmy zmęczeni, ale to zagadnienie wymaga szczególnie szybkich decyzji. Otóż zwracają nam różni uwagę, że w sposób niewystarczający korzystamy z Zielonych Ludzików. To znaczy, że wszyscy się interesują nimi oraz naszą miejscowością, a my z tego niewiele mamy.

- Jesteśmy sławni - wtrącił agronom.

- Korzysta niewątpliwie „Zajazd pod Fartuszkim”, który ma zwiększone obroty - kontynuuje Naczelnik - ale z tego, że jesteśmy sławni, powinniśmy wszyscy korzystać. Myślę o Babulewie Dolnym jako integralnej całości.

- Jako o czym?

- Bez dygresji. Otóż jakie ja na przykład widzę możliwości: Na łące za Wołową Górką postawić szybko pawilon, w którym młodzież szkolna pod kierunkiem naszego mechanika wybuduje makietę Cosmogonium 494. Oglądanie za opłatą. Obok szaszłyki i kiełbaski z różną, piwo, lody i sprzedaż pamiątek. Jest to pilne, bo wkrótce inny latający talerz wyląduje, powiedzmy, w Koluszkach, i ludzie będą tam jeździli.

- A jakie pamiątki możemy sprzedawać?

- Ja mam o wszystkim myśleć? Wuj Jan struga już Zielonych Ludzików, chłopcy robią maleńkie talerze, sto rzeczy można jeszcze wykombinować!

- No, niby racja - powiada Koziółek. - Baby niech wyszywają makatki z WAF i SAE, kto potrafi niech maluje obrazki. Stoisk też może być więcej. Na przykład moja teściowa będzie sprzedawać gotowane jajka i zsiadłe mleko.

Sołtys ucieszył się:

- Doskonale! Byle tylko reklamę wielką zrobić i więcej turystów ściągnąć! Trzeba im ciekawie o Cosmogonium opowiadać, może nawet jakiś program artystyczny skleić...

- Niezły pomysł, piosenkę o talerzu wymyślimy. Strażacy, dzieci.

Wszyscy się zapalili do sprawy, ale Naczelnik Gminy ma coś jeszcze w zanadru:

- W szkole będzie wystawa malarstwa dzieci na temat „Goście z Kosmosu w Babulewie Dolnym”, a w tym naszym budynku urządzimy Izbę Pamiątek Pobytu WAF 3825 i SAE 7271! Wstęp płatny.

Chwilę wszyscy milczą, po czym pada nieśmiałe pytanie:

- Co mogłoby być w tej Izbie?

- Pierwsza rzecz to moja pamiątkowa Złota Księga z wpisem WAF i SAE. Druga pamiątka to gliniany kogucik, którego kupili mojej córce na targu. Każdy powinien coś dorzucić, takich różnych rzeczy pamiątkowych znajdzie się dużo. Trochę lipy ewentualnie też nie zaszkodzi.

- Na przykład jakaś niby oryginalna część z Cosmogonium 494, no nie?

- Właśnie, trzeba tylko ruszyć głową. A przede wszystkim nie tracić czasu! To, co wymyślimy, zrobić natychmiast, bez zbędnych dyskusji! Sprzeciwów chyba nie ma?

Już następnego dnia ruszyły prace przygotowawcze. Byli, polecili, niech Babulewo trochę na ich wizycie skorzysta.

W to, żeby WAF i SAE mieli się tu kiedykolwiek znowu pojawić, prawie nikt nie wierzy. Może tylko dzieci, do których zaliczyć należałoby także najmłodszą córkę Naczelnika Gminy. Brat Edek opowiedział

jej właśnie o tym, że pani nauczycielka była dziś w bardzo złym humorze i dostał dwóję.

- Bo podrożały materiały budowlane - wyjaśniła siostra - rozumiesz? Doktor buduje dom w Babulewie i musi teraz więcej pracować. Nie odwiedza pani Teresy, więc ona jest w złym humorze i wyżywa się na dzieciach. Wszystko ma ze sobą związek, tak mówi nauka!

- Ale co ja jestem temu winien?

Sołtysówna wzruszyła ramionami i dodaje po chwili:

- Jak przyleci znów SAE z WAF-em, to pani też się poprawi samopoczucie i mogę się założyć, że dostaniesz piątkę.

- A myślisz, że oni wrócą?

- Oczywiście! Co malujesz?

- Obrazek na wystawę „Goście z Kosmosu w Babulewie Dolnym”. Dzieci zbierają grzyby w lesie, a SAE z panią rozmawiają w krzakach.

Na łące koło Wołowej Górki sterta desek, przy których pasie się stado 43 owiec.

Feliks leży w cieniu drzew i słucha radia. Chwila muzyki, wiadomości o licznych talerzach latających, widzianych nad różnymi krajami Ameryki Południowej. Pojawiają się zakłócenia, jak wtedy, gdy lądowało Cosmogonium 7. Pastuch podnosi głowę do góry, ale nic nie widać - a spiker już bez przeszkód opowiada pełnym grozy głosem o tym, że w wielu województwach działał gang fasolki szparagowej, a niektórzy dostojnicy przymykali na to oczy.

- Wszędzie sitwa! - powiada Feliks do owieczek. - Przypomnijcie sobie nasze wybory Królowej Balu. Wiadomo, że powinni wybrać Mariolę, ale nie! Najpierw pada kandydatura najmłodszej sołtysówny i wszyscy klaszczą, patrząc jak w tęczę nie na dziewczynę, lecz na jej tatusia. Sołtys dziękuje, kłania się, ale się nie zgadza. Powiada, że za młoda; chodzi mu jednak o to, żeby się małej nie przewróciło w głowie jak Lolicie.

Jedna owca oddaliła się zanadto od stada, więc pies Feliksa zapędza ją brutalnie z powrotem. Pastuszek ciągnie swą buntowniczą myśl dalej:

- Więc kogo wybrać? Wiadomo, że Mariola najładniejsza, ale Królową Balu zostaje ta żałosna śpiewaczka w fryzurze afro! Dlatego, że jej tata jest Naczelnikiem Straży Ogniowej, a zabawa odbywa się w remizie... Okropność! I teraz będzie tu fałszywie śpiewać dla turystów piosenkę o latających talerzach!

Radio nadaje znowu wesołą muzyczkę.

Daleko, daleko stąd, w stolicy Zielonej Planety, piloci WAF 3825 i SAE 7271 odbywają karę w stanie nieważkości.

Natomiast w Oddziale „X” (ściśle tajnym) Instytutu Ziemi zakończono rekonstrukcję Babulewa Dolnego z okolicami. Są tu wszystkie budynki publiczne, mieszkalne i gospodarskie, wszyscy mieszkańcy Babulewa i zwierzęta. W „Zajeździe pod Fartuszkim” kopie gości obsługuje kopia ajenta, kopia Marioli i kopia Doroty. Kopia pani Teresy uczy kopie dzieci w szkole, kopia eks-Balaskówny kłóci się z kopią młodego męża, syna starego Macieja.

Na łące koło Wołowej Górki Feliks, pies i owce - ale jest także makieta pojazdu Cosmogonium 494 (który już nie istnieje, został zniszczony) z kopiami SAE 7271 i WAF 3825. Pośród kopii i makiet jeden oryginał: makatka z Aniołem-Stróżem, przeprowadzającym dziecko po kładce nad strumieniem. W tle jeleni i sarna. To prezent dla WAF i SAE, zakupiony na targu przez agronoma i mechanika.

Dostojny Docent UFO 13 w towarzystwie Dostojnego POP 68 przelatują powoli nad kopią Babulewa i przyglądają się wszystkiemu z zainteresowaniem.

- Wspaniale, wspaniale - mruczy Dostojny Docent.

- Ja też uważam, że to będzie bardzo przydatne - odzywa się głos Dostojnego Konsultanta TIR 37.

Po chwili Dostojny Konsultant wylatuje z kopii remizy Straży (skąd dochodzi muzyka) i wita dostojnie kolegów trzyosobowego kierownictwa „Operacji Babulewo Dolne Nr 2”.

Do dostępnego dla wszystkich Muzeum Ziemi wjeżdżają w tym czasie niby nic dwa superroboty z Zarządu Planety. Wnętrze muzealne ożywają: zaczynają się poruszać samochody i pociągi, Ludzie oraz zwierzęta ziemskie, wiatr przesuwają chmury po niebie i porusza gałęziami drzew. Od dwóch dni wszystko to trwało w bezruchu, bo nie było ani jednego zwiedzającego.

Superroboty mijają salę za salą, nie zatrzymując się. Nagle w kolejnym pomieszczeniu stanęły jak zepsute. Wnętrze jest słoneczną plażą nadmorską. Łagodne błękitne fale uderzają o żółty, piaszczysty brzeg. Opalone dzieci zbierają muszelki. Rybacy na łodziach wyciągają sieci pełne ryb. Daleko na morzu dwa okręty. Na niebie mewy.

Ale to, co przykuło uwagę dwóch superrobotów znajduje się na brzegu, pod wydmami. Na kolorowym kocu dwie młode kobiety. Leżą w słońcu prawie nieruchomo, lecz oddychają, poruszają to dłońmi, to palcami stóp; jedna z nich po chwili odgarnia jasne włosy z opalonego czoła. Oczy mają zamknięte. Kolorowe kostiumy plażowe zasłaniają bardzo, bardzo niewiele.

Rozlega się ciche brzęczenie. Błękitna smuga pojawia się między nieruchomymi automatami i atrapami dziewcząt na atrapie plaży. Superroboty odwracają się i wracają szybko tą drogą, którą tu przyszły. Pod wydmami nie ma już dwóch młodych, zgrabnych kobiet w kostiumach plażowych. Pozostał kolorowy koc, koszyk, krem, grzebień, lusterko i inne drobiazgi.

W momencie gdy automatyczni porywacze opuścili Muzeum Ziemi, fale przestały uderzać o brzeg, rybacy przestali wyciągać sieci, i wszystko zamarło znów w bezruchu.

„Ocet, ocet... Powinieneś zastanowić się poważnie nad swoim postępowaniem - powiedziałam. - Powinieneś panować nad nałogiem! Widzisz przecież na każdym kroku, do jakich skutków prowadzi nadużywanie alkoholu przez niektórych, skądinąd przyzwoitych mieszkańców Babulewa...”

Pani Teresa odkłada zapisany równym, ładnym pismem zeszyt i wzdycha głośno. Niedobre to, co napisała do tej pory, niedobre! Trzeba się zdecydować, czy to ma być tekst o charakterze głównie naukowym, czy opowiadanie sensacyjne o pobycie Zielonych Ludzików na Ziemi. Jutro to przemysli.

Gasi światło i rozbiera się po ciemku. W chwili, gdy zdejmuje przez głowę sukienkę, za oknem rozjaśnia się nagle: niebo robi się pomarańczowe, fioletowe, i po chwili znów się ściemnia. Pani Teresa zawiesza sukienkę na poręczy krzesła i zakłada okulary. Nic nie zauważyła niezwykłego; zrzuca szybko pozostałe części garderoby, wkłada skromną koszulę nocną.

Wyciągnęła się na łóżku i zapala lampkę na stoliku nocnym. Jeszcze chwilę poczyta. Bierze do ręki podniszczone „Syzyfowe prace”, z których jutro będzie pytać. Nie wszystko dokładnie pamięta. „Biedne dzieci, muszą to czytać...” - myśli, przerzucając kartki i przypominając sobie treść, oraz układając pytania.

Nagle skrzypnęło uchylone okno. Na parapecie jakieś palce, za szybą cień. Pani Teresa zamiera, odrzuca książkę, zrywa się błyskawicznie z łóżka i chwyta za framugę okna. Mogłaby zatrzaskać, przycinając intruzowi palce, nie chce jednak tak brutalnie postąpić.

Kto tam? - pyta ostro.

- SAE 7271. Wróciłem właśnie przed chwilą do Babulewa.

- Ha, ha! Dowcip powtarzany przestaje być dowcipem. Dziś tu nie wejdziesz!

A jednak tym razem nie jest to doktor.

Za szybą coraz wyraźniej widoczna jest zielona twarz SAE 7271. Antenki drżą na głowie. Oczki błyszczą. Młoda nauczycielka zamyka oczy i znów otwiera. Nic się nie zmienia. Przeciera okulary. To jednak ON.

Mariola wraca po ciężkim dniu pracy w „Zajeździe pod Fartuszką”. Zatrząskuje za sobą furtkę ze

złością:

- Odczep się! Powiedziałam, żebyś za mną nie laźł!
- Zmieniłaś się w ciągu tego miesiąca, zhardziałaś...
- Wynocha.

Sylwetka chłopaka zostaje za furtką, podczas gdy dziewczyna szybko przebiega od furki do drzwi domu. Po chwili w jej pokoiku pojawia się światło - ale Mariola natychmiast zasłania starannie okna.

Feliks stoi wciąż za furtką. Okno Marioli szczelnie zasłonięte. Młody człowiek rozgląda się wokoło i ostrożnie przechodzi przez niskie ogrodzenie. Potyka się o coś czy kogoś, ukrytego w krzakach agrestu. Nachyla się, wyciąga rękę.

- Ktoś tu jest?

Poruszyło się.

- Kto tu jest?

Szept niewyraźny:

- Cicho! To ja, WAF 3825.

- Co? Wróciłeś?

- Przed chwilą wróciliśmy.

Zielony zaczyna wypęłzać spod krzaków. Światło w oknie Marioli gaśnie, uchyla się zasłona i pojawia się w świetle księżycy przylepiona do szyby twarz pięknej kelnerki. Feliks przycupnął, przyduszając do Ziemi WAF 3825.

- Po co tu przyszedłeś? - szeptce.

- Chciałem tylko popatrzeć na Mariolę... Tak dawno jej nie widziałem!

- No to już popatrzyłeś sobie. Idziemy!

- A ty po co tu włąziłeś w krzaki?

- Ej ty, WAF, nie denerwuj mnie!

Twarz Marioli wciąż majaczy za szybą. WAF szeptce:

- No, po co?

- Jeśli chcesz koniecznie wiedzieć, to chcę zaprosić Mariolę do miasta, do dyskoteki w Hortexie.

Jutro ma wolne. Ale ona jest w podłym nastroju i trudno z nią gadać. No, idziemy stąd!

Wyczołgują się obaj z zasięgu wzroku dziewczyny.

Na łące za Wołową Górką stoi słabo widoczny w świetle księżycy standardowy talerz latający Cosmogonium 499 - ale zamaskowany w lesie znajduje się wielki pojazd Extra-Cosmogonium „X”. W jego wnętrzu Dostojni: Konsultant TIR 37, Docent UFO 13 oraz POP 68, w otoczeniu superautomatów.

Na monitorach widać każdy ruch dwóch pilotów w Babulewie. Każde słowo ich oraz rozmawiających z nimi Ludzi tłumaczone jest natychmiast. Wszystko to rejestrowane w kolorze i w stereo.

Młoda nauczycielka owinięta kocem siedzi na panińskim łóżeczku, SAE 7271 blisko niej na krześle. Na poręczy krzesła sukienka, bielizna, pończochy. Pani Teresa poprawiła pozycję, koc się odchylił i błysnęło w świetle lampki nocnej udo. Oczko SAE zamigotało pomarańczowo.

- Wszędzie myślałem o pani, w moim kawalerskim mieszkaniu, na ulicy, w Muzeum Ziemi, w rezerwacie i w czasie odbywania kary! Tak się cieszę, tak się cieszę, pani Tereso... Tereso... Teresko... Mogę mówić per „ty”?

- Możesz.

Podniecone trzyosobowe kierownictwo akcji nadaje na Zieloną Planetę szyfrowany meldunek, który odbiera osobiście Dostojny Szef Zarządu:

- „Operacja Babulewo Dolne Nr 2” rozpoczęta pomyślnie!

A tymczasem...

Tymczasem jeden z najdoskonalszych automatów opuścił ukradkiem pojazd Extra-Cosmogonium „X”, krąży po Babulewie i zagląda do okien. Jego nocna wycieczka nie jest obserwowana przez Dostojne Kierownictwo Operacji - inne roboty ukrywają ją w najgłębszych swoich obwodach.

W domu sołtysa palą się światła w kilku oknach. Mama i mały Edek już śpią, ale ojciec, Naczelnik Gminy, pisze sprawozdania, a córeczka także jeszcze nie leży w łóżku. Skończyła się właśnie kąpać, poszła do swego pokoiku (który kiedyś dzieliła z siostrą), na piżamę zarzuciła szlafroczek i bierze do ręki książkę. Czyta „Żegnaj, laleczko!”

Okno na sad otwarte, słychać słowiki, komary i żaby.

Nie przestraszyła się wcale najmłodsza sołtysówna, gdy podnosząc znad książki wzrok, widzi nagle w świetle lampki nocnej błyszcząca twarz-nie twarz.

- Proszę się nie obawiać - zaszemrał cichy głos. - Jestem przyjaznym robotem z Zielonej Planety.

- Znów tu jesteście? Wiedziałam. Przylecieli także WAF i SAE?

- Owszem, przylecieli.

- Byłam tego pewna! A gdzie oni są?

- WAF 3825 poszedł do Marioli, a SAE 7271 do Teresy.

- Spodziewałam się tego... A ty jesteś Kadawer Bio-Gamma?

- Nie, ja jestem jego kuzynem. On jest w remoncie.

- Jak się nazywasz?

- Extra - Kawader Super - Bio Homunculus.

- Pewnie jesteś udoskonalony?

- Owszem. Czy mogę mieć prośbę?

- Mów.

Chwila milczenia.

- Nie krępuj się, mów!

- Chciałem poprosić o strip-tease...